NA UKRAINIE AFERA GONI AFERĘ

Czy skorumpowany „Wowa” to Wołodymyr Zełenski?

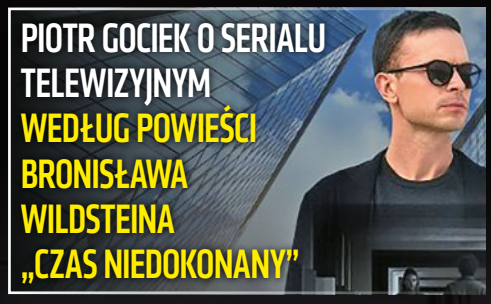


Piotr Semka ostro o atakach na Krzysztofa Wyszkowskiego

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 37/697 7–13 WRZEŚNIA 2026
CENA **14,90 ZŁ** (W TYM 8% VAT)



PIOTR GOCIEK O SERIALU TELEWIZYJNYM WEDŁUG POWIEŚCI BRONISŁAWA WILDSTEINA „CZAS NIEDOKONANY”

Włoscy hierarchowie Kościoła akceptują bluźnierstwo

Wszystkie role Romana Giertycha



ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829

eprasa.pl



HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



TRIUMF NAD NIEMNEM: JAK POLACY PRZEPĘDZILI BOLSZEWIKÓW

LEWY NIEMEŃSKI „Klęska pod Warszawą nie przesądza jeszcze o wyniku wojny" – pisał w telegramie do Lenina gen. Michaił Tuchaczewski. Dopiero cios wyprowadzony przez Polaków nad Niemnem złamał marzenia Kremla o „eksporcie" rewolucji – podkreśla Grzegorz Janiszewski

KLUCZ DO RYGI – Do przeprowadzania wielkiej operacji nad Niemnem Piłsudski musiał przekonać Sejm i Radę Obrony Państwa, ponieważ Polsce groziło nie bezpieczeństwo stania się państwem kadłubowym – mówi w wywiadzie prof. Andrzej Chwalba

NIEUDOLNA POKAZÓWA SĄDOWA Władze postanowiły surowo ukarać uczestników antykomunistycznych zajść. Procesy pokazowe okazały się jednak kompletną „klapą" i ośmieszyły aparat państwowy – pisze Piotr Semka

CUDA LIBAŃSKIEGO PUSTELNIKA – Dysponujemy listą 45 tys. udokumentowanych cudów, do których doszło za wstawiennictwem tego libańskiego świętego – mówi w wywiadzie ks. Andrzej Sochal, autor książek na temat św. Szarbela

LEGENDA BUŁGAROBÓJCY Bazyli II uważany jest za jednego z największych władców w dziejach Bizancjum. Surowy, zdyscyplinowany cesarz żołnierz, który zasłynął tym, że wszystkie wojenne trudy dzielił ze swoim wojskiem – pisze Anna Szczepańska

OCZAROWANIE IWASZKIEWICZA Dawno temu Adam Pomorski napisał, że „długi cień Iwaszkiewicza wciąż zabiega drogę współczesnej literaturze polskiej". Ze wszystkimi tego następstwami, dobrymi i złymi – ocenia Krzysztof Masłoń

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 92d46bc765

Koszty kompleksu niższości



PAWEŁ LISICKI

Rzadko zdarza mi się ostatnio zdobywać na optymistyczny ton, szczególnie jeśli chodzi o rozwój sytuacji w Europie. Tym bardziej ucieszyłem się, czytając, że zdecydowana większość Islandczyków odrzuciła członkostwo w Unii Europejskiej. Ba, poczułem wręcz zazdrość – są jeszcze takie narody w Europie, które mogą decydować o swoim losie, wolne od unijnego kaftana bezpieczeństwa. Ale i dla Polski islandzkie referendum niesie pozytywny przekaz.

Po pierwsze, pokazuje ono, że można. Tak, w świecie, w którym o wszystkim zdają się decydować pieniądze, gigantyczne sumy utopione w prounijną propagandę okazały się nieskuteczne.

Po drugie, dzięki decyzji Islandczyków jaśniej widać prawdziwy stosunek europejskich elit przywódczych do demokracji. Doskonale pokazali to strażnicy świętego europejskiego ognia z Niemiec, a więc komentatorzy liberalnej niemieckiej gazety „Süddeutsche Zeitung". Według nich prawdziwym błędem było… dopuszczenie do referendum. „Odpowiedzialność za decyzję o rozpoczęciu rozmów z UE muszą wziąć na siebie politycy – pani premier i rząd. Przerzucanie tej odpowiedzialności na naród jest wypaczeniem demokracji". Według gazety w ogóle nie należało do referendum dopuścić. Jak wynika z tego, co napisał jej komentator, było to powielenie błędu popełnionego już raz, w Wielkiej Brytanii. „Brytyjskie referendum dotyczące UE było największym politycznym błędem popełnionym przez rząd państwa europejskiego w minionym dziesięcioleciu. Skutki głosowania nad brexitem w 2016 r. były dalekosiężne i negatywne, zarówno gospodarczo, jak i społecznie. Brexit stał się tak odstraszającym przykładem, że wydawało się, iż żaden inny rząd nie będzie aż tak naiwny, żeby obciążać obywateli tak kompleksową decyzją. Czyż nie?" – napisała „Süddeutsche Zeitung".

„Obciążać obywateli tak kompleksową decyzją"? No i pięknie. Jak ja lubię, kiedy przez nieuwagę, w tym przypadku sądzę, że z powodu arogancji i zadufania, na chwilę można zobaczyć rzeczywistość, zwykle przykrywaną warstwami wielosłowia i banałów. Tak, pod tym względem eurokraci – klasa ta obejmuje nie tylko po prostu polityków brukselskich, urzędników, lecz także polityków, propagatorów europejskiej tożsamości i bijących w te same werble dziennikarzy – rzadko mówią tak otwarcie. Zwykle leją krokodyle łzy, a każda przegrana ich polityki okraszona jest opowieściami o smutku, trosce, bólu itd.

W tym przypadku maski opadły i niemiecki komentator napisał to, o czym wszyscy eurokraci myślą, ale czego głośno wypowiedzieć niepodobna. Największym problemem demokracji są ludzie. Niestety, wciąż nie głosują oni tak, jak domagają się tego od nich oświecone elity, i wciąż wydaje się im, że mogą decydować o sobie. Najlepiej zatem byłoby odebrać im to prawo do głosowania i przekazać je mądrzejszym, to jest tym, którzy wiedzą, że daremne jest wierzgać przeciw ościeniowi i że scentralizowana Unia Europejska jest koniecznym celem dziejowego rozwoju. Na szczęście Niemcy, wychowani na Heglu i Marksie, gotowi są wszystkich innych w tej sprawie pouczyć. Przecież nikt inny nie zna się tak dobrze na „dziejowej konieczności" jak oni. Przyszłość Europy to Unia, a Unia to przyszłość. Jeśli głupi lud tego nie rozumie, bo nie dojrzał i nie dorósł, to należy zabrać mu zabawki – prawo do głosowania. Doprawdy nazwanie projektu, zgodnie z którym odbiera się narodowi prawo do wyrażenia swojej woli w referendum i poddaje się ten naród po prostu pod kontrolę polityków z Brukseli, a do tego zmierzałyby rozmowy przywódców Islandii z Unią, „wypaczeniem demokracji" ma w sobie coś groteskowego.

Po trzecie zaś, i to już bezpośrednio dotyczy Polski, mam nadzieję, że informacja o wynikach głosowania na Islandii i o coraz większym sprzeciwie wobec Unii w Norwegii może nieco Polaków otrzeźwi. Wiem, nie jest to proste. Biorąc pod uwagę polski kompleks niższości – żeby żyć, wystarczy papugować Zachód – ruch odrzucający Unię wciąż jest słaby i rachityczny. Dla dużej grupy zakompleksionych Polaków wciąż najważniejsze jest poczucie przynależności. Cena nie gra roli, byle tylko być po „właściwej stronie historii".

Dlatego rosnące koszty członkostwa w UE wywołują w Polsce słaby opór. Z projektu budżetu państwa, który przedstawiło Ministerstwo Finansów na 2027 r., wynika, że polska składka członkowska do Unii Europejskiej ma wynieść dokładnie 47 mld 572 mln 445 tys. zł. To najwyższa kwota od momentu wejścia Polski do UE! Wspaniale. Tak, to się nazywa gest. Dla porównania: w budżecie na 2026 r. na ten cel, czyli na składkę, przewidziano ponad 41,5 mld zł. Oznacza to wzrost planowanej wpłaty do UE o ok. 6 mld zł, z czego 2 mld zapisane są… na wszelki wypadek. Bo polskie ministerstwo nie wie jeszcze, jakie będą potrzeby unijnego budżetu!

Naprawdę kompleks niższości bardzo dużo nas kosztuje. ©℗

eprasa.pl 92d46bc765



TEMAT TYGODNIA

16 ŁUKASZ WARZECHA
WSZYSTKIE ROLE ROMANA GIERTYCHA
Harcownik w todze

19 ROZMOWA Z MEC. JERZYM KWAŚNIEWSKIM
PALESTRA I POLITYKA

KRAJ

22 PIOTR SEMKA
KRZYSZTOF WYSZKOWSKI, CZYLI NOTARIUSZ SOLIDARNOŚCI
Ataki na kawalera Orderu Orła Białego

25 JAN FIEDORCZUK
PROBLEM RAFAŁA. WIELKI PRZEGRANY POLSKIEJ POLITYKI

28 ROZMOWA Z RYSZARDEM CZARNECKIM
LEPPER, BRAUN I „DEEP STATE"

30 ROZMOWA Z DR. LEONEM POPKIEM
MIAŁEM W RĘKACH ZMASAKROWANE CZASZKI DZIECI

KULTURA

34 PIOTR GOCIEK
NA RÓWNOWAŻNI
Serial telewizyjny na podstawie powieści Bronisława Wildsteina „Czas niedokonany"

37 GRZEGORZ KONDRASIUK
JESIEŃ W POLSKICH TEATRACH

NIE PRZEGAP

38 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, GRA, WYSTAWA, KSIĄŻKI

OPINIE

42 MICHAŁ KRUPA
„NIESPODZIEWANY" ATAK NA USA
Czy CIA wcześniej wiedziała o planowanym zamachu

45 ROZMOWA Z ABIGAIL FAVALE
TRZYMAJCIE SIĘ OD TEORII GENDER Z DALEKA

48 KRYSTIAN KAMIŃSKI
AMERYKAŃSKI PROTEKTOR PRZESTAJE CHRONIĆ

50 FILIP MEMCHES
PRZECIW „ZGRAI PIEKIELNEJ"

52 PAWEŁ CHMIELEWSKI
WŁOSCY HIERARCHOWIE KOŚCIOŁA AKCEPTUJĄ BLUŹNIERSTWO

HISTORIA

54 GRZEGORZ MAJCHRZAK
POSŁANIE Z GDAŃSKA
45. rocznica apelu Solidarności

ŚWIAT

58 JACEK PRZYBYLSKI
WOJNY ROBOTÓW
AI zdecyduje o życiu i śmierci?

62 MACIEJ PIECZYŃSKI
CZY SKORUMPOWANY „WOWA" TO WOŁODYMYR ZEŁENSKI?

66 TERESA STYLIŃSKA
OJCIEC, A NAWET DZIADEK NORWEGÓW

EKONOMIA

68 PIOTR WŁOCZYK
TRUMPOWSKIE „CZARNE ZŁOTO" ZNAD ORINOKO
Donroe w praktyce

70 JACEK PAŁKIEWICZ
NADCHODZI GODZILLA

NAUKA



74 ANDRZEJ SOLECKI
TRAGEDIA W NEPALU – WINA CZŁOWIEKA CZY PROCES NATURALNY?
Twórczy akt żywiołu

FELIETONY:

SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, POSPIESZALSKI (8), JASTRZĘBOWSKI (9), GMYZ, GOCIEK (12), ŻEBROWSKI, KOPER (57), PRZYBYLSKI (61), GABRYEL, WARZECHA (65), KOMUDA (76), KOWALCZUK, KARWELIS (79), WIEROMIEJCZYK (80), SIEDLECKA (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl 92d46bc765

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK **DO RZECZY**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Filip Memches, Anna Zalewska**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski *(korespondent z USA)*, **Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić** *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Michał Krupa, Andrzej Krzystyniak, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Andrzej Nowak, Jacek Pałkiewicz, Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Adam Wielomski, Dariusz Wieromiejczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Zbigniew Zapert, Łukasz Zboralski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska, Lidia Lemaniak, Alina Piekarz, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Aleksander Majewski, Dawid Sieńkowski**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Agata Błaszczyk-Stefaniak, Weronika Trzeciak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Anita Walczewska/East News**

WYDAWCA: **Do Rzeczy SA**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00

Wydawca tytułu, Do Rzeczy SA, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

PMPG POLSKIE MEDIA SA | spółka notowana na GPW | POLSKI WYDAWCA

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Do Rzeczy SA
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: +48 508 040 890
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Joanna Nowakowska, Joanna Gosek,
dystrybucja@pmpg.pl, tel. 539 953 631, 508 040 664

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl
Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumeratаprasy@poczyta.pl, www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl
Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829

NAKŁAD KONTROLOWANY

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione. © Ⓟ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Krzyż wyrwany z korony", Krzysztof Kawęcki, „DRz" nr 33/2026

Szanowni Państwo,
dziękuję za tekst Pana Krzysztofa Kawęckiego, który przybliża problematykę symboli i znaków państwowych w związku z pracami nad nową ustawą o symbolach państwowych, prowadzonymi przez Zespół Ekspercki przy Ministerstwie Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Kształt korony na głowie Orła Białego – godła narodowego – i jej symbolika były przedmiotem zarówno rozważań oraz dyskusji, jak i decyzji o charakterze politycznym przy pracach prowadzonych w latach ubiegłych nad poprzednimi wersjami ustawy o symbolach państwowych.

Dotyczyły one nie tylko korony, lecz także innych elementów postaci Orła Białego, a wyniki tych dyskusji przekładały się na jego wizerunek graficzny i uregulowania prawne.

Jak bardzo skomplikowana jest to dziedzina, można stwierdzić na podstawie unikalnej pracy Pana Andrzeja-Ludwika Włoszczyńskiego pt. „Projekt Orli Dom – od herbu małego RP do marki Polska", która zawiera wiele rozwiązań, projektów, m.in. dotyczących korony Orła Białego, a także obszerne uzasadnienie historyczne i heraldyczne dla proponowanych zmian graficznych, zmierzających do uporządkowania wizerunku i barw polskiego godła narodowego.

Praca ta (tzw. czerwona) była opublikowana w 2017 r. i znajduje się w obiegu publicznym. Należy więc mieć nadzieję, że będzie potraktowana jako „wzorzec" przez wyżej wymieniony Zespół Ekspercki Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Konsultantem heraldycznym wyżej wymienionej pracy był mój brat – śp. Krzysztof Józef Guzek, heraldyk i weksylolog, który był również autorem wielu prac na temat symboliki państwowej – w szczególności Orła Białego i barw flagi państwowej, dlatego tematyka ta jest mi bliska.

Mam nadzieję na kolejne publikacje z zakresu tej tematyki – ważnej i zasługującej na popularyzację.

Z poważaniem
Anna Jaszczyńska,
członek Polskiego Towarzystwa Weksylologicznego

Przewlekłe zdziecinnienie – nowa choroba autoimmunologiczna Polaków

Szanowni Państwo,
przytwierdzone pancernie zakrętki do butelek, debaty nad systemem zwrotu butelek, przełomowe rozporządzenia UE w sprawie opakowań i odpadów, gra w płcie, zabawa w rodzinę z „psieckiem", publiczne pieniądze na astrologię i horoskopy oraz dla różnych naukowców typu pani Mróz-Gorgoń, według której część Polaków mówi po mandaryńsku, już nie wspominając o gigantycznych kwotach wypłacanych skorumpowanej oligarchii ukraińskiej, przy jednoczesnym zadłużaniu Polski na miliard złotych dziennie, wymiana złośliwości na X pomiędzy najważniejszymi politykami, nazywanie prezydenta Trumpa „tatusiem" przez szefa NATO, pana Ruttego itd. – to ewidentne przejawy infantylizmu Zachodu.

Najjaskrawiej objawił się on w lipcu tego roku, po napływie dziesiątków tysięcy Afrykanów do hiszpańskiej Ceuty.

Z dziecięcej bezradności zaczęło się wzajemne oskarżanie, niektórzy posunęli się nawet do kłamstw.

Minister Sikorski oświadczył na przykład, że to jego formacja polityczna zbudowała mur na granicy z Białorusią, minister Żurek poczuł się więc zmuszony do powołania zespołu aż 100 prokuratorów do walki z mową nienawiści.

Wygląda to na, że już od czasów Pokolenia '68 europejskie elity cierpią na chroniczne zapalenie migdałków w formie przewlekłego zdziecinnienia.

Żeby nie dopuścić do rozwoju choroby autoimmunologicznej, migdałki zwykle się wycina. Przywiędłe dzieci kwiaty pewnie też już pora ściąć.

Z poważaniem
Ewa Kowynia

eprasa.pl 92d46bc765



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Nowe Niemcy w Hettstadt

Oczy całych Niemiec są skierowane na Saksonię-Anhalt. Gdy będą Państwo czytać niniejszy felieton, będzie już tam po wyborach landowych. W sondażach przoduje Alternatywa dla Niemiec (AfD), która notuje 42–43 proc. głosów poparcia. Jeśli Zieloni bądź SPD nie zmieszczą się nad progiem wyborczym, AfD zdobędzie większość pozwalającą jej stworzyć samodzielny rząd w landzie.

Bohaterem sukcesu AfD jest Ulrich Siegmund, lider tej partii w Saksonii-Anhalt. Jego sukcesy są w dużej mierze efektem przesady, z jaką jest atakowany od wielu miesięcy przez mainstream. „Der Spiegel" umieścił zdjęcie Siegmunda na okładce z napisem „najniebezpieczniejszy człowiek w Niemczech".

I oto przyjeżdżam do saksońskiego miasteczka Hettstadt, aby obejrzeć tego polityka na żywo. W drodze pod scenę mijam dziesiątki osób, które mają z sobą bądź okładki „Spiegla" z wizerunkiem Siegmunda na okładce, bądź ich odbitki ksero. Kandydat AfD w drodze na scenę chętnie podpisuje je grubym mazakiem.

Ulrich Siegmund urodził się w 1990 r., dokładnie 22 dni po zjednoczeniu Niemiec. To ułatwia mu ucieczkę od definiowania się, czy jest byłym „dederonem" czy już dzieckiem narodowej jedności. Ale na widowni zdają się dominować „ossis". I Siegmund jest dla nich symbolem ich podmiotowości w stosunku do nielubianych arogantów z zachodu. „Kto jest z Sachsen-Anhalt?" – pyta główny bohater imprezy, i dziesiątki tysięcy rąk wznoszą się w górę. „Niezależnie od tego, jakie będą wyniki wyborów, to my tutaj piszemy historię i pozdrawiamy inne landy. Bo to, co się tutaj zaczyna, będzie miało kontynuację w całej Republice Federalnej. I to będą nasze Niemcy!".

Taka retoryka „jednościowa" dominuje niemal w całym wystąpieniu. Siegmund namawia, żeby kupować koszulki, plakaty i gadżety z symbolami AfD i wzywa: „Nie bójcie się ich nosić i pokazywać publicznie". „Chcemy żyć w normalnym państwie z dobrą polityką socjalną, z migracją, której stawia się granice, z bezpieczeństwem na ulicach!" – mówi dalej. Na własne oczy widzę, jak bardzo samo rzucenie wyzwania berlińskiej elicie wystarcza, by ok. czterotysięczny tłum oklaskiwał polityka do upadłego. Aż 90 proc. widowni to tzw. normalsi. Dziennikarz, który szukałby na potrzeby reportażu z tezą jakichś ekstremistów, wyłapałby z tłumu może 10–15 młodzieńców w koszulkach firmy „Lonsdale", marki lubianej przez „nazioli" z racji zbitki „NSDA" wewnątrz nazwy.

Zaczynam rozumieć, jaka jest stawka tej gry. Jeśli Siegmund udźwignie samodzielną władzę i pokaże, że AfD sprawnie rządzi – otworzy furtkę swojej partii do zdobycia władzy w kolejnych landach. Ale jeśli okaże się, że jednościowa retoryka nie kryje fachowości – Alternatywa dużo straci. Ale może być jeszcze inaczej. Znów zostanie stworzona egzotyczna koalicja od lewa do prawa, aby tylko otoczyć AfD „murem ochronnym". I wtedy wiara uczestników wiecu w Hettstadt w nadejście nowych „naszych Niemiec" znów rozkwitnie. ©℗



FOT. JAP

CZARNY TYDZIEŃ NA STACJACH PALIW

To nie był dobry tydzień dla kierowców. W poniedziałek przed stacjami ustawiały się długie kolejki tych, którzy chcieli załapać się jeszcze na ceny z niższym podatkiem VAT. We wtorek po północy ceny benzyny i diesla błyskawicznie poszybowały w górę. Później na ceny zaczęła wpływać sytuacja na Bliskim Wschodzie. W czwartek benzyna 95 była już najdroższa od niemal czterech lat. Z kolei diesel szybko zbliżał się do poziomu 9 zł. Wiele stacji przystosowało już pylony do „jedynki" z przodu. ©℗

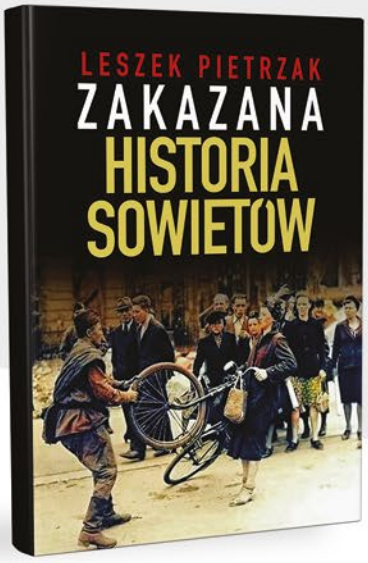
eprasa.pl 92d46bc765

Oferta promocyjna

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY" I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"



W PREZENCIE

KSIĄŻKA

LESZEK PIETRZAK
„ZAKAZANA HISTORIA SOWIETÓW"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~1353~~ ZŁ

547,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 806 ZŁ

Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

- Wpłata na konto bankowe: Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, nr konta: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006. W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
- Na stronie: www.subskrypcja.dorzeczy.pl.

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki czemu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon.-pt. od 10:00 do16:00) INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl 92d46bc765



RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Tańczący z dolarem

Przyzwyczailiśmy się już, że z Waszyngtonu płyną nieustannie oświadczenia o ostatecznym zwycięstwie nad Iranem, nadchodzącym zadaniu mu ciosu tak wielkiego, jakiego świat nigdy jeszcze nie widział. W zalewie takich „niusów" przeoczyliśmy zapowiedź sekretarza skarbu Scotta Bessenta nałożenia na Teheran „najostrzejszych sankcji w historii", które „doprowadzą do całkowitej izolacji irańskiej gospodarki". Niesłusznie.

Owe zapowiadane „najostrzejsze w historii" sankcje dotknąć mają bowiem nie tyle sam Iran, ile wszystkich, którzy będą z nim handlowali, a polegać mają, w uproszczeniu, na odcięciu ich od dolara. Czy to możliwe? Owszem, dzięki dolaryzacji świata USA kontrolują większość jego przepływów finansowych. Mało kto o tym wie, że kupując w sklepie towar i płacąc za niego kartą, przepuszczamy nasz grosz przez serwery za oceanem. Nie inaczej jest z rozliczeniami idącymi w miliardy. Wszyscy w ten czy inny sposób korzystają z amerykańskiej bankowości, bo tak jest wygodnie i tak się opłaca.

Rzecz w tym, że również wszyscy (no, niedosłownie) „handlują" z Iranem. Łańcuchy produkcji i dostaw są dziś dłuższe niż kiedykolwiek w historii, dosłownie owijają się wokół świata: w każdym produkcie są półprodukty, a w nich ćwierćprodukty. Kto ciekaw, proszę spróbować prześledzić, jaką drogę przechodzi kwarcyt, zmieniając się w polikrzemowe procesory, obecne choćby w każdym smartfonie.

Próba realizacji pogróżek Bessenta oznaczać może prawdziwą finansową wojnę światową, do której Chiny, główny „handlujący z Iranem", wydają się przygotowane. Stworzyły już bowiem mechanizmy używania cyfrowej waluty (nawiasem mówiąc: my też powinniśmy pilnie zająć się cyfrowym złotym) pozwalające dolara ominąć. Mało kto z nich na ten moment korzysta, bo USA uchodziły zawsze za wzór stabilności i pewności, więc ich waluta również. Ale w tej sytuacji…

Jednak może to tylko takie gadanie, żeby poruszyć kursami na giełdzie i trochę na tym zarobić? Miejmy taką nadzieję… ©℗



JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Ratujmy szkołę

Łatwo jest buntować ludzi, gdy sam pan niczym nie ryzykuje – usłyszałem w reakcji na mój tekst „Obywatelskie nieposłuszeństwo". Owszem, wiem, że odmowa uczestnictwa dziecka w obowiązkowych zajęciach tzw. edukacji zdrowotnej to konfrontacja z nauczycielami i dyrekcją. Wiem też, że nie każdy jest gotów na otwarte zderzenie z systemem, jak znana mi mama wielodzietnej rodziny. Wielu zakłada, że po pobraniu ze strony ratujmyszkole.pl oświadczenia i wypisaniu dziecka z edukacji seksualnej pozostałe, wrogie treści da się zneutralizować w domu. „Nie przesadzajcie! Owszem, widzimy dziwne zmiany, ale nie ma powodów do paniki". Taka postawa to odmowa wiedzy. Czy wystarczającym ostrzeżeniem nie były zakazy prac domowych, redukcja kanonu lektur i właśnie obowiązkowa edukacja seksualna? Na szczęście, po protestach, udało się część groźnych zmian odwrócić. To pozorny sukces. Trzeba jasno powiedzieć – niszczenie polskiej szkoły trwa, a dowodem jest program „Kompas Jutra". Eliminacja tożsamościowych wątków, zastąpienie lekcji biologii i geografii w klasach V–VI zajęciami z przyrody, redukcja katechezy, stałe obniżanie poziomu do możliwości uczniów nieznających języka – to realizacja programu OECD „Learning Compass 2030". To, że zmiany w polskiej szkole narzuca organizacja gospodarcza, dowodzi, że celem jest formatowanie potrzebnego na międzynarodowym rynku pracy, wypłukanego z tożsamości, globalnego obywatela. Tymczasem nadreprezentacja Polaków wśród absolwentów prestiżowych europejskich uczelni każe zapytać: Skąd oni się wzięli?

Odpowiedź jest prosta: przygotowała ich polska, publiczna szkoła. W tym kontekście atak na jakość naszej edukacji realizowany przez instytucje spoza Polski ma dodatkowy wymiar. Dlatego sprzeciw wobec degradacji poziomu nauczania nie jest tylko walką o nasze dzieci.

To sprawa przyszłości i suwerenności Polski. ©℗

eprasa.pl 92d46bc765

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA



ĆWIERKOT

Chwile ulotne



SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

Co trzeba robić, żeby znaleźć dobrą, wysokopłatną pracę w Orlenie? Stop. Odpowiedzi, uprzedzam, są nieobiektywne. Stop. Trzeba pić wódkę z Władimirem Putinem, być zastępcą komunistycznej kreatury Jerzego Urbana wydającego ściek „NIE", walczyć ile sił o pieniądze dla esbeków i ubeków, i coś tam być może jeszcze. Stop. Robotę w Orlenie, w dziale bezpieczeństwa znalazł właśnie Andrzej Rozenek, spełnia wszystkie warunki. Stop.

W Wałbrzychu doszło do bójki na stacji benzynowej w ostatni dzień wakacji, znaczy 31 sierpnia. Stop. Data jest ważna, bo był to ostatni dzień obowiązywania niższych cen benzyny i każdy chciał zatankować pod korek. Stop. Ktoś się jednak wepchnął w kolejkę, ludzie zaczęli na siebie krzyczeć, a potem się okładać. Stop. Jeden pan zaczął lać drugiego pałką teleskopową i zadzwoniono po policję. Stop. Okazało się, że tłukli się między sobą tylko policjanci, tak, wszyscy byli policjantami w cywilu! Stop. Są w życiu mym chwile ulotne, gdy dla policji żywię uznanie.

Dziennikarze zapytali ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego Waldemara Żurka, dlaczego nie zatrzymano, nie przesłuchano i nie zabezpieczono majątku pana doktora Dawida Kacprzyka mimo upływu prawie trzech miesięcy od wybuchu afery w Szpitalu Południowym. Stop. Pan minister nie powiedział, że to dlatego, że Kacprzyk należał do Koalicji Obywatelskiej, reprezentował w szpitalu interesy partii Tuska, na SOR-ze w szpitalu przyjmował bez kolejki polityków z partii Tuska i w przypadku zatrzymania mógłby się tą zbędną wiedzą podzielić. Stop. Tego nie powiedział! Stop. Powiedział natomiast, że… dobra, kogo obchodzi, co powiedział?

Ależ wdzięczna historia: 76-letni, lecz nadzwyczaj żwawy Władysław Serafin, kiedyś PZPR, potem PSL, został skazany na sześć lat więzienia za wyłudzenia kredytów ze SKOK Wołomin i pranie pieniędzy. Stop. Wina raczej nie budzi wątpliwości, ale… Stop. Po nieprawomocnym wyroku pan niegdyś poseł „się odpalił", czyli nagrał filmik i umieścił w mediach społecznościowych. Stop. A na filmiku oskarża ludzi z PSL z nazwiskami o kradzieże, łapówki, twierdzi, że ma dowody i ujawni. Stop. Ja tam nie wiem, czy jest wiarygodny, ale jest wkurzony i jak zacznie mówić, to nie wiadomo, co powie. Stop. Strzeżcie się seryjnych samobójców! ©℗

eprasa.pl 92d46bc765



ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA

GWIAZDOBZDUR

NIANIA SEZONOWA

Influencerka Andziaks chciałaby zatrudnić opiekunkę. Jednak nie „dochodzącą", ale taką, na którą stać tylko bogatych ludzi – panią, która zamieszka z rodziną, jak w serialach. Sęk w tym, że internetowa celebrytka wraz z mężem już ma w domu sporo pomocy i w ich „skromnej" willi (żart; willa wcale nie jest ani skromna, ani mała) mogłoby zrobić się zbyt tłoczno. – Myślałam o ściągnięciu Filipinki. Wszystko fajnie, tylko z tą Filipinką trzeba mieszkać. Ja nie widzę tego, żeby niania z nami mieszkała. Mi się to nie podoba. I tak na co dzień mamy dwa razy w tygodniu panią Lesię, tutaj Rafał się kręci. I tak jakby nie jesteśmy sami – wyznała Andżelika Zając.



FOT. ADAM JANKOWSKI/REPORTER

W dyskusję włączył się jej mąż, Luka. Zauważył, że wpuszczenie obcych osób do domu wymaga budowania relacji i zaufania. – To jest kwestia zaufania, poznania człowieka i wpuszczenia go do rodziny, ale spanie to już jest too much nawet dla mnie – stwierdził. Mimo wątpliwości Andziaks nie skreśla pomysłu zatrudnienia niani na dłużej. Andżelika rozważa przyjęcie pomocy, jednak tylko sezonowo. – Jak ktoś pyta mnie o nianię, to szczerze chciałabym na ten czas jesienno-zimowy, później nie. To ułatwiłoby mi pracę – podsumowała. Miałaby grabić liście i odśnieżać podjazd?

POLSKI? NIEKONIECZNIE

Jeden z najbardziej utalentowanych wokalistów, Igor Herbut, zabrał głos na temat swojego pochodzenia. I choć samo narzuciło się określenie go w pierwszym zdaniu jednym z „najbardziej utalentowanych POLSKICH wokalistów", to trzeba było się wstrzymać. Herbut, który urodził się w Przemkowie na Dolnym Śląsku, od dawna podkreśla, że kluczowe dla niego są łemkowskie korzenie. W jego domu pielęgnowano język i zwyczaje przodków. Muzyk wielokrotnie zaznaczał, że w rodzinnych rozmowach dominował łemkowski. Język polski funkcjonował „obok". – Czuję się Łemkiem i tylko Łemkiem. Pierwszym moim językiem był łemkowski. W domu mówiło się po łemkowsku, jeździło się do łemkowskich rodzin, na łemkowskie watry, na łemkowskie święta, śpiewało się łemkowskie pieśni. Jednocześnie gdzieś z boku był polski, na podwórku, w przedszkolu, w telewizji. Łemkowie mówią w obu językach, po polsku mówią bez wyczuwalnego akcentu – powiedział w rozmowie z serwisem Warszawa Nasze Miasto. Herbut podkreśla, że od początku muzycznej kariery dbał, by w jego twórczości pojawiały się także utwory wykonywane po łemkowsku. – Na płytach zespołu LemON znajdują się piosenki w języku łemkowskim. Moje pochodzenie jest słyszalne nie tylko w słowach moich piosenek, lecz także w muzyce. W zaśpiewach, których używam, w sposobie wyrażania emocji, w tym, jak używamy brzmień instrumentów, w rozdzierających, melancholijnych skrzypcach, w natchnionych bębnach. Ponadto w wywiadach do mediów zawsze staram się przemycić jak najwięcej informacji o swojej kulturze – wskazał. Pańskie prawo, panie Igorze, ale trochę szkoda. Bycie Polakiem jest super.

FANI MÓWIĄ: NIGDY W ŻYCIU!

Polski show-biznes żył ostatnio inbą wokół zapowiadanego sequela kultowej komedii romantycznej „Nigdy w życiu!". Zaczęło się, gdy Joanna Jabłczyńska, odtwórczyni roli Tosi w filmie sprzed lat, ogłosiła, że zabraknie jej w kolejnej części. Po fali oburzenia w Internecie i kilku gorzkich wywiadach aktorki przedstawiciele produkcji ogłosili, że Jabłczyńska po prostu przegrała casting, który wygrała Agnieszka Żulewska. Wściekli fani zaczęli grozić bojkotem produkcji. Milczenie przerwała w końcu Katarzyna Grochola, autorka powieści i producentka projektu. Padły mocne słowa, bo pisarka zarzuciła Joannie szerzenie nieprawdy. Zapowiedziała też wystąpienie na drogę sądową. „Szanowni Państwo, w związku z rozpowszechnianiem przez panią Joannę Jabłczyńską nieprawdziwych informacji dotyczących udziału Agnieszki Żulewskiej, znakomitej aktorki i prawego człowieka, postanowiłam jako producentka podjąć stosowne kroki prawne w jej obronie. Będę Państwa informować na bieżąco. Dobrego wieczoru! Katarzyna Grochola" – czytamy w oświadczeniu na Instagramie. Pod postem szybko pojawiły się nieprzychylne komentarze, ponieważ większość opowiedziała się po stronie Jabłczyńskiej. „Ta, to na pewno bardzo pomoże... Daliście plamę i tyle; Pani Katarzyno, zawsze Panią lubiłam i ceniłam, ale tym wpisem straciła Pani moje uznanie i pewnie wielu innych czytelników; Niech się Pani już bardziej nie pogrąża, wstydu Pani nie ma, naprawdę! Pani Joanno, jesteśmy z Panią na dobre i na złe; No i to jest początek końca tego filmu!; Jak stracić wierną fankę jednym postem? Właśnie tak!; Tosia jest tylko jedna...; Cokolwiek pani nie zrobi, film i tak skazany jest na porażkę. I pani w tym też zasługa" – oburzają się internauci. ©℗

eprasa.pl 92d46bc765



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, rozpoczął się rok szkolny, a wraz z nim kolejne pozytywne zmiany w polskich szkołach. Otósh uczniowie na szkolnych stołówkach będą mogli doświadczyć większej różnorodności pokarmowej, a przede wszystkim zmniejszony zostanie wolumen zjadanego przez osobodzieci mięsa, a co za tym idzie – przyczynimy się do wzrostu poziomu szczęśliwości na planecie i zredukujemy ślad węglowy. Fantastycznie, prawda?

To jest naprawdę spoko, iż takie rzeczy w polskich szkołach się dzieją, jeszcze nie tak dawno nawet nie pomyśleliśmy, iż to możliwe, iż za czarnkowskiej nocy edukacyjnej w stołówkach były pewnie na zmianę kotlety schabowe, mielone i z piersi kurczaka, iżby w ten sposób indoktrynować dzieci tradycyjną polskością.

A teraz patrzymy w jadłospis stołówki szkoły naszych osobodzieci i widzimy curry z ciecierzycą albo zupę krem z zielonych warzyw. I nawet jeśli dzieci tego nie zjedzą, to dowiedzą się o takim zjawisku, poszerzą horyzonty, staną się bardziej świadomymi obywatelami, no po prostu świetna sprawa i tak coś czujemy, iż nie możemy ukryć swojego entuzjazmu wobec tych zmian.

Oczywiście istnieje ryzyko, iż co bardziej wsteczni janusze będą się awanturować, iż ich osobodziecko nie chce jeść zupy krem z brokułów albo przez cały dzień chodzi głodne, bo nie dostało udka z osobokurczęcia. Nic dziwnego, iż jeżeli przez pierwszych siedem czy tam osiem lat życia dziecko rosło wyłącznie na diecie mięsno-ziemniaczanej, to nie może dziwić, iż na widok soczewicy reaguje lękiem. Szkoła jednak ma kształtować nowoczesnego obywatela i Europejczyka, więc po pierwszym szoku powinna przyjść stabilizacja i pogodzenie się ze zmodyfikowanym jadłospisem.

Natomiast: czekamy na więcej! Ufamy, iż nie jest to już krańcowy etap reformy i do końca roku szkolnego zupełnie wyeliminujemy mięso, nabiał i inne produkty



zwierzęce z edukacyjnej przestrzeni publicznej. Czekamy, aż szeroko dostępna stanie się matcha, jakiś wegański ramen, może kiełki sushi, to owszem – wymaga pogłębionej zmiany mindsetu, ale jest jak najbardziej do zrobienia.

A tak w ogóle, kochani, to nie spodziewaliśmy się, iż za tego rządu to mięso wyjdzie ze szkół szybciej niż religia, jesteśmy naprawdę zaskoczeni.

Powiedzcie, czy śledziliście ostatnio w mediach relacje z tych dwóch światów: spotkania osoby zamieszkującej Pałac Prezydencki (policzcie w końcu te głosy!) Nawrockiego z młodymi gdzieś nad polskim morzem – no serio, cepelia w chooy, jeszcze w Zakopanem można było to zrobić xD – a także Campusu Polska, gdzie wybitni intelektualiści, politycy i artyści popadali w zadumę nad kondycją i przyszłością tego kraju?

Bo my nie. To znaczy widzieliśmy, że u osoby paraprezydenckiej wystąpił Skolim, a na Campusie Mery Spolsky, co ze sceny odważnie i bezkompromisowo krzyczała „jestem suką", ale tak poza tym to nie mieliśmy jakoś czasu, co nie zmienia faktu, że to of kors Campus Polska jest miejscem, w którym toczymy poważne rozmowy wśród poważnych ludzi, a nie jakieś debaty w piasku.

Podobały nam się nawet te gramatyczne wątpliwości ministry Nowackiej, to jak ona odważnie i wbrew trudnościom poszukiwała słowa „gospodyni", to naprawdę robi wrażenie, iż osoba na tak eksponowanym stanowisku nie spoczywa na laurach, ale wciąż dba o rozwój swoich kompetencji językowych.

Choćby dla takich migawek warto Campus śledzić i mamy nadzieję, że będą kolejne edycje i kolejne inspiracje! ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Zwykli Polacy

Wyjrzyj, Jarku, dyskretnie przez szparę. Tak jak chciałeś, pierwsze trzy osoby do komisji zaufania publicznego przyprowadziłem.

Czyś ty, Mariusz, oszalał?! Rysio Terlecki? Horała? Ten trzeci to Czarzasty?

No, ale przecież sam powiedziałeś...
Niby co?

Jak cię zapytałem, skąd wziąć zwykłych Polaków do komisji, to powiedziałeś: „Wyjdź przed Sejm i złap, kto tam będzie akurat przechodził". Oni przechodzili, to ich złapałem.
Ludzi od Mateusza i z lewicy?!

No przepraszam, nie zaznaczyłeś, że ci nie mogą być. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Byłem zaprogramowany na rozbicie starego porządku i urwanie się Sowietom".

LECH WAŁĘSA, *były prezydent, w TVP Info*

eprasa.pl 92d46bc765

dwaj panowie g

Z postępów praworządności w ten kraju. Otóż plan przejęcia Trybunału Konstytucyjnego i w rezultacie ograniczenia kompetencji prezydenta do wręczenia orderów jest już prawie zapięty na ostatni guzik. I to do tego stopnia, że obecny uważający się za prokuratora krajowego niejaki Korneluk postanowił się udać na trzytygodniowy urlop, by nie brać w tym udziału. Różne rzeczy możemy powiedzieć o Korneluku, ale facet wie, że śmierdzi to kryminałem, a czyn zamachu stanu jest zagrożony w Polsce Trybunałem Konstytucyjnym.

Plan wygląda tak, że po powołaniu Berka na sędziego Trybunału Konstytucyjnego jest planowane zwołanie posiedzenia tego gremium, ale nie na słynnej Alei Szucha, gdzie urzęduje Bogdan Święczkowski. Posiedzenie zaplanowano pod adresem Chopina 1. Nawiasem mówiąc, to budynek, który przylega do siedziby Waldemara Żurka, która mieści się jedną przecznicę dalej, czyli przy Alei Róż. Nawiasem mówiąc, Żurek urzęduje w gabinecie, który za okupacji zajmował Franz Kutschera.

Następnie Trybunał ma dokonać obalenia Świeczkowskiego jako prezesa Trybunału. Kolejnym krokiem jest ograniczenie kompetencji prezydenta przez stwierdzenie niekonstytucyjności przepisów dających prezydentowi decydujący wpływ na powoływanie prokuratora krajowego. Żurek przy okazji chce bowiem upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. Wykopać Korneluka, z którym jest w konflikcie, a na funkcji szefa prokuratury usadzić Marka Wełnę, który w tej chwili nadzoruje sprawę Zondacrypto.

À propos Zondacrypto. Nasze wiewiórki z okolic Nowogrodzkiej bardzo się oburzyły, kiedy tydzień temu napisaliśmy, że Piesiewicza nikt w PiS nie lubił. To w kwestii tego, że nikt się nie będzie wychylał w obronie zatrzymanego szefa PKOl. Otóż zdaniem wiewiórek był czas, gdy Radosław Piesiewicz był lubiany, gdyż inaczej nie zostałby wybrany na stołek w Polskim Komitecie Olimpijskim. Jako akuszerów tej kandydatury i gorących lobbystów jego osoby nasze wiewiórki wskazują dwie osoby: osobę byłego prezydenta Andrzeja Sebastiana oraz osobę Jacka Sasina.



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Zachęceni powyższymi informacjami popytaliśmy tu i ówdzie o to, co i z kim robił Piesiewicz w czasach, kiedy nie miał jeszcze zegarka. Okazało się, że szybko został przejęty przez ówczesnego premiera, znaczy przez ojca Mateusza. Podobno ten ostatni miał nawet dzwonić po marszałkach województw, by wspomagali PKOl.

eprasa.pl 92d46bc765

Tymczasem w partii. Oficjalnie jest dobrze, bo niby w sondażach PiS blisko PO, a morawianie pod progiem. Nieoficjalnie trwa praca koncepcyjna nad wymianą kandydata na kandydata na premiera, czyli Przemysława Czarnka. Przodują w tym maślarze, którzy niby byli po stronie Czarnka, ale tylko wtedy, gdy ścierał się w partii z banksterem Mateuszem. W ramach tej pracy koncepcyjnej pojawił się pomysł, by podmienić go na Bełatę Szydło.

Ktoś może zapytać, czy to znaczy, że w kąt poszła koncepcja, by nowym Czarnkiem został Tobiasz Bocheński. Otóż nie, zwłaszcza w głowie samego Bocheńskiego. Który przyczaił się, nie występuje publicznie, ograniczył aktywność i dzięki temu nie popełnia błędów. I czeka sobie na właściwy moment. Zresztą ci, którzy widzą go jako kandydata na kandydata, właśnie taką taktykę mu doradzili. Na prawicy, widzicie, jak zawsze – kandydatów na Napoleonów dużo więcej niż tronów.

Zieloni bracia z PSL już chyba się pogodzili z faktem, że następne lata spędzą nawet nie na ławach opozycji, lecz w ogóle poza Sejmem. Skąd o tym wiemy? Otóż w gmachu MSZ zarządzono ustanowienie w polskich placówkach dyplomatycznych stanowisk radców do spraw rolnych. Na razie chodzi o 16 placówek. Ale jak znamy apetyty braci z wierzchu zielonych, a w środku czerwonych, liczba ta niebawem wzrośnie. Tak czy inaczej, do placówek dyplomatycznych poszły już iskrówki, że trzeba pozmieniać statuty placówek i wpisać do nich nowe stanowiska.

Szefowa Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji postanowiła urządzić łapankę na youtuberów, którzy nie porejestrowali swoich kanałów w radzie. Jedną z pierwszych ofiar padła znana celebrytka Natalia Siwiec, której przysolono 180 tys. Wprawdzie Siwiec ma najlepsze lata za sobą, ale mniejsza o to. Plotka głosi, że wybrano ją na cel, ponieważ podejrzewano, że może być krewną Marka Siwca, czyli prawej ręki Wołodii Czarzastego. Znanego też jako Wielki Przewodniczący Czao.

Skoro już o postaciach kiedyś bardzo znanych: doszła do nas wiadomość, że jedno z dużych wydawnictw szykuje premierę fascynującej książki. Ma to być biografia Grażyny Kulczyk. Aż trudno nam wyrazić w słowach, jak bardzo jesteśmy podekscytowani. Ostatnio podobne uczucia targały nami, gdy nie chciało nam się czytać książki Jolanty Kwaśniewskiej. A teraz, rozumiecie, nie chce nam się czytać jeszcze bardziej. Co za emocje!

Wybory w Krakowie się rozkręcają. Podczas badania zasięgów głównych kandydatów w mediach społecznościowych odkryliśmy ciekawą rzecz. Otóż na Instagramie okazało się, że nawet wyżły głównego faworyta wyborów Łukasza Gibały mają większe zasięgi niż profil osoby ludzkiej, jaką jest kandydatka PO i PSL, czyli Monika Piątkowska. Dodajmy – wyżły są suczkami. Przychodzi nam w tej sytuacji znana fraza hip-hopowa sprzed prawie ćwierć wieku: „Hej suczki, znamy wasze sztuczki!".

Do rodzinnego Krakowa po wyborach wybiera się sam wicepremier dwojga nazwisk Kosiniak-Kamasz. O tym, że ma zostać dyrektorem szpitala wojskowego, już w tej rubryce wspominaliśmy. Ale okazuje się, że aby ugruntować swoją pozycję w grodzie Kraka, Władek chce pobudować drogi, które mają mieć oczywiście znaczenie strategiczne. Pod tym hasłem będzie można je wybudować z funduszy przeznaczonych na obronność. Cóż możemy powiedzieć: całkiem sprytne!

Wracając do Kosiniaka-Kamasza – przypomniało nam się, jak w naszej rubryce nazywaliśmy go Tygryskiem-Kamyszem. Gdyż „chodź, tygrysie", mówiła do niego żona. A wspomnienia powróciły, gdy okazało się, że amerykański ambasador Tom Rose nazywa wiceministra obrony narodowej Cezarego Tomczyka mianem Rambo. Ułożyliśmy z tej okazji wierszyk. „Czy Tygrysek czy Rambo, w MON-ie jedno szambo".

Skoro już o samorządzie. Chcieliśmy zwrócić uwagę na skromną wiadomość z Interii, która jakoś nie przebiła się do szerszej publiki. Otóż dziennikarze rozesłali zapytania do sponsorów, ups, przepraszamy, partnerów słynnego mityngu Rafcia Trzaskowskiego znanego jako Campus Polska lub – np. w naszej rubryce – jako Campus Polen Der Zukunft. I okazało się, cytujemy, że: „wszystkie miasta, które zdecydowały się na zawarcie umowy promocyjnej z organizatorami Campusu Polska, są zarządzane przez osoby związane z Koalicją Obywatelską lub osoby, które startowały w ostatnich wyborach z poparciem partii Donalda Tuska". Niby człowiek wiedział, ale dobrze mieć to czarno na białym.

Przy okazji – niektórzy dziwią się, dlaczego impreza Rafcia teraz nazywa się tylko Campus Polska, a kiedyś nazywała się Campus Polska Przyszłości. To proste. Rafcio już nie ma przyszłości.

Kronika imprezowa. Miejsce akcji – poza Europą, w kierunku dalekowschodnim. Czas akcji – niedawno. Bohaterowie – grupa europosłów w oficjalnej delegacji. Kwiat Europy, Francja, Czechy, Grecja, ale i Polska miała swojego przedstawiciela. To Arkadiusz Mularczyk. Gospodarze podejmowali delegację gościnnie, w zacnych przybytkach. I nawet poprosili gości o wybór win. Mularczyk, jak słyszeliśmy, bez mrugnięcia okiem wybrał dla delegacji takie za 5 tys. euro od flaszki. Gospodarze trzymali fason. Zapłacili też bez mrugnięcia okiem. Cóż możemy rzec, Mularczyk nam zaimponował. Gospodarzy rozumiemy – w karcie było też wino za 10 tys. euro od flaszki, więc mogli trafić gorzej.

Na zakończenie ważna wiadomość z okazji nadejścia września, miesiąca jakże ważnego dla odwiecznych przyjaznych relacji niemiecko-polskich. Otóż specjalnie na tę okazję zachowaliśmy dwa cytaty z wypowiedzi znanych Niemców mieszkających obecnie w Polsce. Otóż piłkarz Sebastian Kerk grający w Zagłębiu Lubin, powiedział, że w Polsce jest bezpieczniej niż w Niemczech i dzieci mogą się bawić beztrosko poza domem, a imigrantów nie ma. Zaś Fredi Bobič, dyrektor sportowy Legii Warszawa, oświadczył: „Przez całe życie nigdzie nie czułem się tak bezpieczny, jak w Polsce". Teraz już wiecie, o co będą te najbliższe wybory. ©℗

eprasa.pl 92d46bc765


G20
FREEDOM 250
ASHEVILLE 2026
UNITED STATES
UNITED STATES
POLAND
CENTRAL BANK



FOT. NBP

POLSKA NA SZCZYCIE GRUPY G20

Prezes NBP prof. Adam Glapiński oraz minister finansów Andrzej Domański 31 sierpnia i 1 września wzięli udział w spotkaniu ministrów finansów i prezesów banków centralnych państw grupy G20 w Asheville w Karolinie Północnej w USA. To kolejny raz, kiedy przedstawiciele władz w Warszawie wzięli udział w spotkaniu najpotężniejszych gospodarczo państw świata (pierwszy raz prezes NBP i minister finansów reprezentowali Polskę podczas prac grupy G20 w kwietniu obecnego roku).

Chociaż Polska nie jest formalnie pełnoprawnym członkiem tego gremium, to dzięki zaproszeniu od prezydenta USA nasz kraj bierze udział w tegorocznych spotkaniach grupy jako uczestnik, a nie jedynie obserwator. Dzięki decyzji Donalda Trumpa szef polskiego MSZ Radosław Sikorski weźmie więc udział w październikowym szczycie szefów dyplomacji grupy G20.

Polska dostała również zaproszenie na główny szczyt liderów G20, który ma się odbyć w połowie grudnia w posiadłości Donalda Trumpa w Doral, niedaleko Miami. Gospodarz Białego Domu zaprosił już na to wydarzenie prezydenta Karola Nawrockiego. Przy tej okazji planowana jest też oficjalna rozmowa prezydentów USA i Polski.

Władze w Warszawie konsekwentnie zabiegają o stałe miejsce w tym prestiżowym gronie.

(jap) © ℗

Polska.pl 92046bc765



Łukasz Warzecha



FOT. TOMASZ JĘDRZEJOWSKI/GAZETA POLSKA/FORUM

Harcownik w todze

Znany adwokat jako poseł Koalicji Obywatelskiej ma zagospodarowywać najtwardszy elektorat, właśnie ten od wyśpiewywania „je...ać PiS!", czyli ośmiogwiazdkowy. W tej roli jest dobry, w roli sejmowej już niekoniecznie. Trudno byłoby znaleźć nawet bardzo wstrzemięźliwego polityka, który wskazywałby na merytoryczną stronę działalności poselskiej Romana Giertycha

Giertych do wora, wór do jeziora!" – w tym roku mija równo 20 lat od czasu, gdy to hasło pojawiło się podczas demonstracji młodych przeciwników rządu Prawa i Sprawiedliwości przed Ministerstwem Edukacji Narodowej. Działo się to w czerwcu, gdy dzisiejszy poseł Koalicji Obywatelskiej był 35-letnim wówczas ministrem edukacji i wicepremierem w rządzie Kazimierza Marcinkiewicza. To stanowiska były ceną, jaką PiS płacił za koalicję z Ligą Polskich Rodzin, której Giertych był przywódcą. Ciekawie byłoby dotrzeć do ówczesnych demonstrantów, którzy dzisiaj dobiegają czterdziestki, i zapytać ich, jak podoba im się przemiana ich ówczesnego przeciwnika.

Przemiana ta zaiste jest głęboka: od narodowca – zgodnie z rodzinnymi tradycjami ukształtowanymi przez ojca Macieja i dziadka Jędrzeja, od prezesa Młodzieży Wszechpolskiej, publikującego we „Wszechpolaku" oraz „Najwyższym Czasie!", po naczelnego hejtera prezesa PiS i obrońcę w takich sprawach jak ta obejmująca Przemysława Krala. Dawny Giertych mógłby nie rozpoznać obecnego.

WSZĘDZIE POTRZEBNY, ALE WCIĄŻ ASPIRUJĄCY

Być może najbardziej rzucającą się w oczy cechą Giertycha Anno Domini 2026 jest jego wszechstronność. Patrząc na działania posła KO, można przypomnieć sobie słynny dowcip o śp. Józefie Oleksym: Oleksy wsiada do taksówki, taksówkarz pyta: „Dokąd jedziemy?", na co Oleksy: „Wszędzie. Wszędzie jestem potrzebny". Podobnie Giertych – jest potrzebny w ławach poselskich, jest potrzebny w mediach społecznościowych, gdzie odgrywa rolę jednego z najważniejszych zagończyków koalicji, potrzebują go także jego rozliczni wysoko postawieni klienci – od Donalda Tuska przez Geralda Birgfellnera po Radosława Sikorskiego. Jest jednak istotna różnica w stosunku do byłego premiera z lewicy: Józef Oleksy pełnił wiele ważnych funkcji z szefem Rady Ministrów na czele, podczas gdy Roman Giertych pozostaje politykiem aspirującym. Od czasu zasiadania w ministerstwie przy Alei Szucha żadnej funkcji państwowej nie pełnił. Na objęcie stołka zajmowanego dzisiaj przez Waldemara Żurka ma jeszcze tylko nieco ponad rok.

Wiele osób może sobie zadać pytanie, co się działo w głowie Romana Giertycha w okresie, kiedy wycofał się z polityki i przebywał w czymś w rodzaju czyśćca, aby wyłonić się z niego ostatecznie w 2015 r. jako kandydat do Senatu w warszawskim okręgu numer 41. Dostał wtedy – jako kandydat niezależny, ale już popierany przez polityków Platformy Obywatelskiej – ponad 51 tys. głosów. PO nie wystawiła w tym okręgu innego kandydata. Głównym konkurentem dla Giertycha był wtedy Konstanty Radziwiłł, popierany przez PiS, który zdobył prawie 100 tys. głosów. Giertych do Senatu zatem nie wszedł.

Określił się już jednak jednoznacznie. W grudniu 2015 r., gdy przez Polskę przetaczały się protesty fanatycznych antypisowców z Komitetu Obrony Demokracji, Giertych wziął udział w jednym z nich w Warszawie, podczas którego utrwalono jego skoki na murku przy chodniku. Były minister edukacji był wyposażony w tubę,

eprasa.pl 92d46bc765

przez którą pokrzykiwał „Hop, hop, hop! Precz z Kaczorem!". Jako że Roman Giertych jest mężczyzną postawnym – mierzy 1,97 m – efekt był groteskowy. Filmik nagrany przez jedną z uczestniczek demonstracji do dzisiaj krąży w sieci także jako baza dla niezliczonych przeróbek.

Dwie kadencje później poszło mu lepiej w wyborach do Sejmu, choć zdecydował się na ryzykowny krok, będący połączeniem dobrego PR i performance'u: wystartował w województwie świętokrzyskim w okręgu 33 – tym samym, w którym na liście PiS na pierwszym miejscu pojawił się Jarosław Kaczyński. Tyle że Giertych z premedytacją wziął na liście KO ostatnie, 32. miejsce. Prezes PiS dostał ponad 177 tys. głosów, jego zaprzysięgły przeciwnik – jedynie 23 622, ale i tak pod względem liczby głosów oddanych na kandydatów z tej listy uplasował się na drugim miejscu i mandat zdobył. Zaprocentował wizerunek twardego wroga PiS i samego Jarosława Kaczyńskiego, wspierany przez wielką liczbę fanatycznych wręcz zwolenników w mediach społecznościowych.

NIE PRZEPRACOWUJE SIĘ

Opisana wyżej migawka z politycznej kariery obecnego posła KO, gdy ten w 2015 r. podskakiwał na murku, jest symboliczna. Roman Giertych jest klasycznym harcownikiem: ma zagospodarowywać najtwardszy elektorat, właśnie ten od podskakiwania i wyśpiewywania „je…ać PiS!", czyli ośmiogwiazdkowy.

W tej roli jest dobry, w roli sejmowej już niekoniecznie. Trudno byłoby znaleźć nawet bardzo wstrzemięźliwego polityka, który wskazywałby na merytoryczną stronę działalności poselskiej Romana Giertycha i chwalił go za celne interpelacje czy pracę w komisjach. Od początku kadencji Giertych występował na posiedzeniach plenarnych zaledwie 16 razy. Dla porównania w podobnej wielkości klubie PiS Przemysław Czarnek ma na koncie 64 wypowiedzi w roli posła (oraz dwie jeszcze jako członek rządu), Sebastian Kaleta – także 64 wypowiedzi, wiceprzewodnicząca klubu Barbara Bartuś – a więc pełniąca funkcję analogiczną jak od niedawna Giertych – występowała aż 326 razy, zaś szef klubu PiS Mariusz Błaszczak – 27 razy jako poseł.

Roman Giertych skierował 11 interpelacji. Znamienne, że właściwie wszystkie te, którym nadano bieg, miały mocny konfliktowy i partyjny rys. Posłowie korzystają z tego narzędzia często po to, żeby wyjaśnić jakąś wątpliwość prawną, kwestię ważną dla swoich wyborców, dopytać danego urzędnika czy członka rządu o statystyki lub detale jakiegoś rozwiązania. Interpelacje mają więc w większości charakter niemal techniczny, choć oczywiście odpowiedzi na nie służą następnie wsparciu politycznej narracji.

O co natomiast pytał Giertych? O odszkodowania dla osób skarżących Polskę w związku z niewykonaniem w czasach rządów PiS wyroków Europejskiego Trybunału Praw Człowieka; o działalność Funduszu Sprawiedliwości („Uprzejmie informuję, że w moim przekonaniu istnieje pilna potrzeba wszczęcia śledztwa dotyczącego jednego z wątków przestępczej działalności Funduszu Sprawiedliwości, który nieco wykracza poza główny zakres powołanego już Zespołu nr 2. Chodzi o sprawę tzw. Krzysztofa Suwarta, czyli pseudonimu kilku dziennikarzy, którzy w ponad 300 artykułach na portalu Wirtualnej Polski wychwalali rząd i atakowali opozycję"); o sprawę śledztwa, do którego Giertych podłączał Kanał Zero („W nawiązaniu do pojawiających się publicznie informacji dotyczących Jakuba K. i Konrada P., zatrzymanych w październiku 2023 roku w sprawie dotyczącej nielegalnego rozpowszechniania cudzych utworów oraz czerpania korzyści majątkowej z uprawiania prostytucji przez inne osoby, […] a także informacji, że portal UncensorVPN, którego właścicielem ma być Jakub K., sponsorował Kanał Zero, do którego zapraszani są różni politycy, zwracam się z prośbą o odpowiedź na pytania: […] Czy w ramach tych postępowań badany jest wątek prania brudnych pieniędzy i czy inwestowanie w media mogło mieć taki charakter?"); o sprawę szkód poniesionych z powodu zerwania przez Polskę umowy na zakup śmigłowców Caracal. Zatem interpelacja jest dla posła Giertycha nie tyle narzędziem ustalenia detali czy faktów, ile raczej sposobem na uderzanie w przeciwników politycznych. Przede wszystkim w PiS, ale również w media, które uznaje za nieprzychylne – tu wyróżnia Wirtualną Polskę (choć trudno ją przecież uznać za medium PiS-owskie) oraz Kanał Zero.

Roman Giertych nie przepracowuje się również w sejmowych komisjach. Należy raptem do jednej – sejmowej Komisji do spraw Łączności z Polakami za granicą – podczas gdy standardem jest członkostwo przynajmniej w dwóch. Grzegorz Płaczek, szef klubu Konfederacji, jest członkiem czterech, Przemysław Wipler – trzech, Krzysztof Paszyk, szef klubu PSL, należy aż do sześciu (oraz jednej podkomisji), zaś Klaudia Jachira, klubowa koleżanka Giertycha, do czterech komisji i trzech podkomisji.

Giertych przydaje się zatem Tuskowi jako jednoczący betonowych przeciwników PiS w obozie KO, ale jego postawa niesie też za sobą ryzyko. Taki radykał może bowiem – o ile jego działania nie będą ściśle kontrolowane i odpowiednio PR-owsko ustawiane – spowodować, że najtwardsi wyborcy będą mieli nieustające poczucie niedosytu z powodu ich zdaniem niedostatecznych działań odwetowych KO wobec PiS, a to z kolei może spowodować zniechęcenie i niepójście na wybory. To zaś największe dzisiaj zagrożenie dla Donalda Tuska. Wątpliwe, aby w przyszłym roku powtórzyła się rekordowa frekwencja i mobilizacja z 2023 r. Czy i na ile kierownictwo KO ma kontrolę nad poczynaniami wiceszefa klubu – nie sposób powiedzieć.

Ograniczona aktywność poselska Romana Giertycha może mieć związek z tym, że jednocześnie nie zrezygnował on ze swojej adwokackiej praktyki, która budzi zainteresowanie znacznie większe niż jego działania jako posła. Potrafi się z nimi jednak w zadziwiający sposób łączyć, czego najnowszym przejawem jest ustanowienie właśnie posła KO pełnomocnikiem przez założyciela Zondacrypto, Przemysława Krala. Oczywiste jest, że zaraz po tym, gdy ten fakt został ujawniony, pojawiły się pytania o konflikt interesów. Obrońca korzysta z przywileju tajemnicy adwokackiej i jest przez swojego klienta dopuszczony do informacji, które mogą nigdy nie zostać upublicznione. Zarazem ten sam obrońca jest posłem rządzącego ugrupowania, które – podobnie zresztą jak właściwie wszystkie pozostałe – bierze udział w licytacji, kto bardziej zawinił w sprawie Zondy. Trudno sobie wyobrazić, aby nie miał pokusy, by w jakiś sposób swoją uprzywilejowaną pozycję wykorzystywać.

eprasa.pl 92d46bc765

„Nie jest problemem Giertych. To próba odwrócenia uwagi od istoty sprawy przez prawicę" – oznajmił jednak Zbigniew Konwiński, szef klubu KO. I dodał: „Ja pamiętam rolę mecenasa Giertycha, chociażby w kwestii Funduszu Sprawiedliwości, i to, jak wiele zrobił chociażby tymi wszystkimi dowodami, które ujawnił przy pomocy pana Mraza. To była, to była naprawdę duża robota wykonana przez mecenasa Giertycha". Takie stanowisko Konwińskiego nie jest zaskoczeniem – wszak wszystko wskazuje na to, że Przemysław Kral zamierza się ratować, podsuwając rządzącym to, czego oczekują. Podobnie zresztą jak zrobił wspomniany przez szefa klubu KO Tomasz Mraz, były dyrektor Departamentu Funduszu Sprawiedliwości w Ministerstwie Sprawiedliwości za rządów PiS. Odczytując w ten sposób strategię Krala, trudno się dziwić, że na swojego obrońcę wybrał właśnie Giertycha, doskonale ustawionego w politycznych kręgach partii władzy. Z jego punktu widzenia to idealne połączenie.

W KWESTIACH ŚWIATOPOGLĄDOWYCH BEZ ZMIAN

Jest w wizerunku Romana Giertycha ciekawy wątek, który dla wpatrzonych w niego Silnych Razem może być problemem. W lipcu 2024 r. Sejm głosował ustawę znacząco łagodzącą przepisy antyaborcyjne. W klubie KO zarządzono dyscyplinę, co w przypadku głosowania nad zagadnieniem światopoglądowym tej wagi było samo w sobie skandaliczne. Dobry obyczaj każe, by przy tego typu decyzjach pozostawić posłom wolną rękę. Ostatecznie zwolennicy aborcji głosowanie przegrali, a Giertych, choć był na sali, nie zagłosował w ogóle. Jak wkrótce potem napisał na X: „Wiele moich poglądów ewoluowało, ale nie jestem Moniką Pawłowską à rebours. Dzisiaj ze względu na szacunek do poglądów jednak zdecydowanej większości wyborców KO oraz do dyscypliny klubowej postanowiłem nie brać udziału w głosowaniu nad projektem Lewicy". Aborcjoniści się oburzyli, jednak taka postawa Giertycha nie powinna być zaskoczeniem. Politycznie w większości spraw radykalnie odszedł od swoich dawnych poglądów, ale w najbardziej fundamentalnych światopoglądowych kwestiach się nie zmienił. Monika Pawłowska, którą wspominał w swoim wpisie, jest przykładem postawy odwrotnej. Posłanka, która zaczynała w Wiośnie Roberta Biedronia, czyli na skrajnej lewicy, przez Porozumienie Jarosława Gowina trafiła do PiS, a dzisiaj jest przy Mateuszu Morawieckim. Gdy zmieniała front, pracowicie kasowała ze swoich mediów społecznościowych wpisy opatrzone czerwonymi błyskawicami.

O Romanie Giertychu zaś wielokrotnie mówiono, że jest numerariuszem Opus Dei. Prałatura nie ogłasza jednak – co zrozumiałe – listy swoich członków, zaś sam Giertych nigdy się tym nie chwalił. Można jednak przyjąć, że jego przynależność do Dzieła została w milczący sposób potwierdzona przez wikariusza regionalnego Opus Dei ks. Stefana Moszoro-Dąbrowskiego w bardzo interesującym wywiadzie, jaki w 2024 r. przeprowadziła z nim dla Onetu Magdalena Rigamonti. Postać Giertycha przewija się w tej rozmowie wielokrotnie jako przykład rzekomego wpływu Opus Dei na ważnych polityków, a ks. Moszoro-Dąbrowski co prawda nie potwierdza wprost, że polityk do Dzieła należy, ale też w żadnym wypadku temu nie zaprzecza.

Rigamonti skupiła się w rozmowie na przykładzie Marcina Romanowskiego, indagując ks. Stefana tak, jakby odpowiadał za działania byłego wiceministra sprawiedliwości. Gdy rozmowa schodzi na temat rachunku sumienia, dziennikarka Onetu pyta: „Myśli ksiądz, że minister Romanowski też taki rachunek robi?". Nie pada jednak pytanie, czy robi go Roman Giertych, a byłoby co najmniej tak samo zasadne.

Gdy Magdalena Rigamonti wspomina Giertycha, ks. Moszoro-Dąbrowski odpowiada: „Jest sobą. Ma swoją historię". Jest to historia bez wątpienia niezwykła.

Co powiedział Roman Giertych:

- „PiS przez osiem lat nie wprowadzało zmian wedle normalnych standardów demokratycznych – oni chcieli zainstalować tu Rosję! Wszyscy musimy być tego świadomi". **Marzec 2024 r.**
- „Ja tylko widzę sytuację, w której obwodowe komisje wyborcze zostały w sposób nielegalny, i to mogę powiedzieć z całą odpowiedzialnością, przejęte w większości przez ludzi typu pana Olszańskiego, jakichś braci kamraci, którzy się zbierali w jakichś grupkach. I nagle brat kamrat wystawiał kilkanaście tysięcy członków do obwodowych komisji wyborczych". **Czerwiec 2025 r.**
- „Mam uprzejme pytanie do Marszałka Sejmu: na jakiej podstawie pan Marszałek chce zaprzysiąc Karola Nawrockiego na Prezydenta RP?". **Lipiec 2025 r.**
- „Czy kandydatura Berka jest zgodna z prawem? Jest. Czy merytorycznie ma on kwalifikacje na sędziego TK? W stu procentach. Czy największy klub parlamentarny ma zgodnie z konstytucją prawo przedstawić merytorycznego kandydata do TK? Ma prawo i obowiązek. To o co Wam chodzi?". **Sierpień 2026 r.**
- „Nikomu nie wolno odmówić pomocy prawnej, chyba że istnieje ważny powód. W tej sprawie cel obrońcy był i jest idealnie zbieżny z moimi zobowiązaniami politycznymi do rozliczenia PiS. Nie tylko więc nie miałem żadnego ważnego powodu, aby odmówić pomocy, ale miałem bardzo ważny powód, aby się jej podjąć. Wasze czepianie się tego, że te dwa cele są zgodne, świadczy albo o braku rozeznania, czym jest pomoc adwokacka, albo z obawy przed konsekwencjami politycznymi tej afery, które oczywiście mogą być bardzo poważne, a które się niektórym nie podobają. Przez trzy lata tłumaczono, jakimi jesteśmy fujarami, że słabo rozliczamy. Jak się zaczęły rozliczenia na poważnie, to nas atakujecie, że to nie my powinniśmy je robić. Uprzejmie przypominam, że taką podstawą prawną nie jest nawet najgrzeczniejsza i wydana w najbardziej przytulnych okolicznościach prośba prezesa Jarosława Kaczyńskiego". **Sierpień 2026 (o byciu pełnomocnikiem Przemysława Krala)**
- „Moim zdaniem, ze względu na to, że Karol Nawrocki nie uzyskał od SN orzeczenia o ważności wyborów i sprawuje swoją funkcję jakby warunkowo, to przyznawanie przez niego Orła Białego i ułaskawień wiążące się prerogatywami o charakterze królewskim, nie powinno być uznawane za ważne". **Wrzesień 2026 r. (o Orderze Orła Białego dla Krzysztofa Wyszkowskiego)**

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 92d46bc765



Z mec. Jerzym Kwaśniewskim, prezesem Instytutu Ordo Iuris
rozmawia Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska

Palestra i polityka



FOT. ORDO IURIS

ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA: Czy toga i mandat poselski w ogóle dają się pogodzić?

JERZY KWAŚNIEWSKI: Formalnie tak. Konstytucja w art. 103 wylicza, jakich funkcji i urzędów z mandatem nie wolno łączyć. Wolnych zawodów na tej liście nie ma. Ustawa o wykonywaniu mandatu każe posłowi zgłaszać marszałkowi dodatkowe zajęcia i zakazuje takich, które mogłyby podważać zaufanie wyborców, ale adwokatury nie wyklucza. Z kolei Kodeks etyki adwokackiej mówi w par. 9, że z naszym zawodem nie wolno łączyć zajęć ograniczających niezależność adwokata, a w par. 4 dodaje, że adwokat odpowiada dyscyplinarnie także za działalność publiczną. Tak, dobrze pani redaktor słyszy: również w działalności publicznej, a nawet w życiu prywatnym adwokat musi przestrzegać zasad etyki zawodowej. Teoretycznie powinno to powodować istotne ograniczenie dla „polityków w togach" w zakresie używanego języka, sposobów komunikacji, a nawet prowadzenia kampanii wyborczej.

Nie ulega też wątpliwości, że wybór adwokata do pełnienia ważnych funkcji publicznych musi rzutować na to, jak zasady etyki regulują jego praktykę zawodową. Zmiany nie będą wielkie, jeżeli poseł adwokat prowadzi w swojej kancelarii sprawy odległe od świata polityki. Problem zaczyna się, gdy w jego aktywności politycznej i zawodowej przenikają się ci sami ludzie, ale w różnych rolach, raz jako klienci, raz jako przełożeni partyjni, raz jako oręż w politycznej walce. Wtedy etyka zawodowa każe wybrać: albo przyjmuję tę sprawę, albo w tej sprawie działam tylko jako polityk. To wszystko z dbałości o interes klienta, bo z połączenia ról bardzo blisko do konfliktu interesów.

Wyobraźmy sobie sytuację, w której wpływowy poseł adwokat obejmuje obroną podejrzanego w głośnej aferze, a w toku pracy dowiaduje się, że klient może uzyskać status małego świadka koronnego, jeżeli złoży wyjaśnienia obciążające… politycznych sojuszników adwokata. Czy poseł adwokat będzie gotowy poświęcić swoje polityczne interesy dla obrony klienta? Takie ryzyko trzeba wyeliminować już na początku, unikając podejmowania się spraw, które w oczywisty sposób graniczą z interesem politycznym adwokata.

Co się dzieje, gdy polityk i adwokat mieszkają w jednej osobie? Gdzie zaczyna się konflikt ról?

Dokładnie w punkcie, w którym adwokat przestaje pytać, co służy klientowi, a zaczyna kalkulować, co przysłuży się jego karierze politycznej. Kodeks etyki adwokackiej jest w tym punkcie prosty i w par. 6 stanowi, że celem czynności zawodowych adwokata jest ochrona interesów klienta. Żaden inny cel nie powinien zagrażać pierwszeństwu interesu klienta. Klasyczna nauka o konflikcie interesów zna nie tylko kolizję między klientami, lecz także kolizję z interesem własnym pełnomocnika. A interes polityczny to interes własny w najczystszej postaci, przecież wynik, a czasem samo wszczęcie procesu, bywa dla polityka cenniejsze niż honorarium. Wytyczne OECD w sprawie zarządzania konfliktem interesów w służbie publicznej z 2003 r. rozróżniają przy tym konflikt rzeczywisty, pozorny i potencjalny, i każą zarządzać wszystkimi trzema. Standardy OECD prowadzą do wniosku, że trzeba unikać sytuacji, w których postronny obserwator nie potrafi odróżnić czynności zawodowych od aktów partyjnych i politycznych.

Zresztą wtedy rykoszetem obrywa zaufanie do całej palestry, a zgodnie z par. 1 ust. 2 Kodeksu etyki adwokackiej naruszeniem godności zawodu jest już takie postępowanie, które mogłoby poderwać zaufanie do zawodu.

A jeśli adwokat publicznie zapowiada, że jego celem jest usunięcie określonych polityków z życia publicznego, a potem staje w postępowaniach, które ich dotyczą?

W zasadach etyki oraz orzecznictwie dyscyplinarnym przesądzono, że adwokatowi nie wolno się posługiwać groźbą postępowania karnego jako środkiem nacisku, i to również groźbą zawoalowaną. Sąd Najwyższy dodał, że adwokatowi wolno mówić ostro, ale obowiązuje go

eprasa.pl 92d46bc765

kwalifikowana forma, czyli umiar, współmierność i oględność. Polityk ma pełne prawo zapowiadać rozliczenie rywali, taka jest natura demokratycznego sporu. Adwokat występujący w sprawach tych samych osób już tego komfortu nie ma. Wolno chcieć wygrać sprawę i o tym mówić. Ale zapowiadanie, że wymiar sprawiedliwości posłuży do eliminacji przeciwnika, to co innego. W oczach obserwatorów brzmieć to wówczas może jak powoływanie się na wpływy. A z pewnością szkodzi zaufaniu do wymiaru sprawiedliwości.

Czy pełnomocnik może prowadzić sprawę równolegle na sali i przed kamerami?

Tak, ale z ograniczeniami. Szczegółowej instrukcji udziela par. 18 Kodeksu etyki adwokackiej: adwokat powinien unikać roli rzecznika prasowego swojego klienta, a wypowiedzi medialne mają służyć rzeczowej potrzebie. Ten sam przepis każe też unikać publicznego demonstrowania osobistego stosunku do klienta i uczestników postępowania. Jest też orzeczenie dyscyplinarne starsze od Internetu, które zniosło próbę czasu zdumiewająco dobrze i również dzisiaj warto je przypominać. Otóż w 1984 r. sąd dyscyplinarny przyjął, że korzystanie przez adwokata z pomocy dziennikarza przy prowadzeniu jakiejkolwiek sprawy jest wysoce niewłaściwe. Platformy społecznościowe niczego w tych zasadach nie zmieniły poza skalą rażenia.

Bywa, że polityk wykonujący zawód adwokata podkreśla, iż sprawy o publicznym ciężarze prowadzi pro bono. Czy nieodpłatność zdejmuje problem etyczny?

Nie zdejmuje! Przecież kodeks etyki obowiązuje adwokata nawet w życiu prywatnym, a co dopiero w działalności zawodowej, nawet świadczonej bez honorarium. Tajemnica, niezależność, umiar i zakaz konfliktu obowiązują identycznie za wynagrodzeniem i bez niego. Pro bono to piękna tradycja palestry, gdyż wyrównuje dostęp do prawa tym, których na prawnika nie stać. Ale gdy czynny polityk bierze nieodpłatnie sprawy splecione z własną działalnością publiczną, uprawnione staje się pytanie, czym klient naprawdę płaci – własną twarzą, a może własnym interesem procesowym?

Wyobraźmy sobie układ: adwokat jest zarazem politykiem obozu rządzącego, a po drugiej stronie stołu negocjacyjnego siedzi prokuratura, którą kieruje minister z tego samego obozu. Wszystko legalne. Gdzie problem?

Właśnie w tym, że wszystko jest legalne. Panem sytuacji jest w świetle procedury karnej prokurator. Prokuraturą kieruje jednak minister sprawiedliwości jako prokurator generalny. Ustawa daje mu nawet władzę informacyjną nad śledztwem, bo pozwala przekazywać mediom wiadomości z toczącego się postępowania. Teraz proszę w ten mechanizm wstawić obrońcę, który jest jednocześnie współgospodarzem politycznego zaplecza władzy. Nawet przy krystalicznej uczciwości wszystkich uczestników obywatel nie ma żadnego narzędzia, by odróżnić skuteczność obrończą od skuteczności politycznych koneksji i nacisków. Naturalnie pojawiają się pytania o polityczne motywacje decyzji procesowych prokuratury. A to podważa zaufanie do wymiaru sprawiedliwości, a także do palestry. Bo obywatel nie musi widzieć dowodu nieprawidłowości, żeby przestać ufać. Wystarczy, że nie może sprawdzić.

Telefon od adwokata, który jest zarazem prominentnym posłem z politycznego zaplecza rządu, ma wielką moc sprawczą w każdym demokratycznym kraju. Rynek od razu wycenia tę dwuznaczność, a klient jest gotów zapłacić za nadzieję, że „mandat pomoże". Tymczasem tej nadziei nie powinno się dać kupić w żadnej kancelarii. Również dlatego adwokat poseł musi niezwykle starannie separować sprawy zawodowe od spraw politycznych

Czy sam mandat parlamentarny daje klientowi adwokata przewagę nad innymi uczestnikami postępowania?

Kompetencyjnie w mniejszym stopniu, niż się sądzi. Poseł ma prawo do informacji od administracji i spółek państwowych, może występować z interwencją poselską, ale do akt postępowania przygotowawczego żaden z tych przepisów go nie dopuszcza. Realna przewaga leży w nieformalnych, politycznych instrumentach oddziaływania. Przecież telefon od prominentnego posła z politycznego zaplecza rządu ma wielką moc sprawczą w każdym demokratycznym kraju. Mandat poselski może zatem uchodzić za rynkowe aktywo pełnomocnika. Rynek od razu wycenia tę dwuznaczność, a klient jest gotów zapłacić za nadzieję, że „mandat pomoże". Tymczasem tej nadziei nie powinno się dać kupić w żadnej kancelarii. Również dlatego adwokat poseł musi niezwykle starannie separować sprawy zawodowe od spraw politycznych, na każdym kroku unikając połączenia tych dwóch światów.

Tajemnica adwokacka z jednej strony, obowiązki parlamentarzysty z drugiej. Da się to rozdzielić?

Obawiam się, że nie jest to w pełni możliwe. Wiedza z akt i wiedza z komisji sejmowych wypełniają głowę jednego człowieka. Poseł współtworzący prawo karne wie ze swoich obron, jak ono działa w sprawach jego klientów, a klient pełnomocnika zasiadającego w sejmowych komisjach, także tych pracujących nad kodeksami, ma dostęp do przewagi informacyjnej, o której inni uczestnicy postępowań mogą pomarzyć. Ujawnienie czegokolwiek byłoby deliktem, lecz wykorzystanie wiedzy bez jej ujawnienia nie zostawia śladów. Skoro rozdzielenie tych sfer jest niemożliwe, pozostaje unikać ich zetknięcia: nie brać spraw związanych przedmiotowo z własną aktywnością parlamentarną.

A gdyby jutro togę z mandatem łączył polityk bliski panu ideowo?

Podpisałbym się pod każdym słowem tej rozmowy. Proponuję prosty mechanizm unikania nawet pozorów konfliktu interesów lub utraty niezależności: kto uczestniczy we władzy publicznej, ten nie powinien równocześnie występować w sprawach oczywiście z władzą publiczną i debatą polityczną powiązanych.

Prawnicy Instytutu Ordo Iuris żadnej władzy publicznej nie sprawują. W dniu,

eprasa.pl 92d46bc765

w którym ktokolwiek z naszego grona by po nią sięgnął, musiałby dostosować się do tej żelaznej reguły. Zaufanie do wymiaru sprawiedliwości i palestry jest dobrem wspólnym obu stron politycznej barykady. Dziś opisany mechanizm transparentności będzie może zawadą dla jednej strony, ale jutro stanie się przeszkodą dla drugich. A skorzystają z niego wszyscy, dla których wymiar sprawiedliwości powinien być wolny nawet od pozorów upolitycznienia.

Osobnym, budzącym szczególne wątpliwości przypadkiem jest sytuacja, gdy aktywny na obu polach mecenas polityk reprezentował w przeszłości obecnego szefa rządu i jego rodzinę. Nie budzi to podejrzeń, że ów premier może przymykać oko na działalność adwokata ze względu na prywatne powiązania?

Od razu odsunę insynuację: nikomu nie wolno zakładać, że adwokat złamie tajemnicę zawodową albo że szef rządu kupuje sobie spokój spolegliwością wobec adwokata polityka. Takich rzeczy nie wolno zarzucać bez jednoznacznych dowodów i ja tego nie zrobię. Ale pytanie o samą konstrukcję jest w pełni zasadne. Relacja obrońcy z klientem tworzy najściślejszą więź zaufania, jaką zna prawo, i ta więź nie wygasa nigdy, bo tajemnica obowiązuje po kres życia. Gdy łączy ona czynnego polityka obozu władzy z osobą kierującą rządem i jej bliskimi, to w samym centrum państwa powstaje węzeł, którego opinia publiczna nie ma jak prześwietlić. Czy pozycja takiego adwokata w obozie wynika z zaufania politycznego czy z wdzięczności dawnego klienta? Czy cierpliwość zwierzchników wobec jego kontrowersyjnych wystąpień to kalkulacja partyjna czy pochodna tamtej dawnej więzi? Obywatel nie zna odpowiedzi i znać jej nie może, skoro treść tej relacji na zawsze pozostanie tajna. Dlatego mądre państwo nie pozwala takim węzłom powstawać. Przede wszystkim adwokat polityk powinien unikać spraw swoich politycznych zwierzchników. Wracamy tu do niezależności, o której już mówiliśmy: obejmuje ona także unikanie konfliktu między interesem klienta a osobistym interesem adwokata.

Jak oceniać wpisy w mediach społecznościowych, w których bez konkretów formułuje się zawoalowane groźby pod adresem oponentów politycznych? To przekroczenie granicy?

Pani redaktor ma na myśli konkretny wpis, więc uprzedzę lojalnie: ocenę konkretnego adwokata zostawiam rzecznikowi dyscyplinarnemu i sądom dyscyplinarnym, od tego są. Wspomniałem już o prostej zasadzie etyki zawodowej, wedle której adwokatowi nie wolno się posługiwać groźbą lub zapowiedzią postępowania karnego jako środkiem nacisku, także w formie zawoalowanej, żartobliwej czy ironicznej. Jeżeli ktokolwiek, a już szczególnie czynny obrońca, publicznie komunikuje przeciwnikom, kim się teraz „zajmuje" i kto będzie następnym kandydatem do współpracy ze śledczymi, to gra strachem przed procesem karnym jak instrumentem polityki.

Dodam też, że Kodeks etyki adwokackiej jasno wskazuje w par. 48, że „adwokat nie powinien podejmować się prowadzenia sprawy przeciwko osobie, z którą ma poważny zatarg osobisty". Jeżeli ktoś wygraża w mediach społecznościowych lub tradycyjnych, żąda rozliczeń, a może nawet drwi – niech pozostawi te relacje na poziomie politycznych debat. Nie wolno mu zaprząc majestatu wymiaru sprawiedliwości do osobistych porachunków pod pozorem prowadzenia sprawy klienta, który w takim układzie byłby jedynie pretekstem dla ataku na osobistego wroga, a jego interes mógłby mieć mniejsze znaczenie niż pognębienie politycznego przeciwnika.

Wreszcie, gdy adwokat publicznie sugeruje, że to on rozdaje te karty w postępowaniu karnym, to albo przypisuje sobie władzę, której nie ma, albo chwali się rzeczywistym wpływem, a stąd już tylko krok do płatnej protekcji, która jest przestępstwem. Oba te scenariusze są nieakceptowalne z perspektywy dobra wymiaru sprawiedliwości. Na marginesie dodam, że szczególnie szkodliwe jest swoiste chełpienie się kolejnymi świadkami jak trofeami, w celu zastraszania politycznych oponentów. Wolę adwokata, który o sprawie mówi raz – po zakończeniu sprawy, rzeczowo, w interesie klienta i w uzgodnieniu z nim.

Adwokat polityk może odpowiadać krytykom tak: jestem prawnikiem, reprezentowanie ludzi to mój zawód. Brzmi sensownie. Ale czy gdy klient jest osobą nieobojętną politycznie, to etyka zawodu pozwala odmówić reprezentacji?

Ten argument przekonuje do chwili, w której doczytamy stosowne przepisy ustawy. Prawo o adwokaturze stanowi w art. 28, że adwokat co do zasady ma obowiązek przyjąć sprawę, ale może odmówić udzielenia pomocy prawnej z ważnych powodów. Konflikt interesów jest właśnie tym ważnym powodem odmowy. Co więcej, jest powodem obligatoryjnym, bo kodeks etyki nie zostawia tu adwokatowi wyboru. Co zrobi obrońca w dniu, w którym interes klienta każe milczeć, a interes polityczny każe mówić? Gdy korzystne dla klienta zakończenie sprawy osłabi polityczne rozliczenia, na których pełnomocnikowi najbardziej zależy? „Jestem adwokatem, to mój zawód" brzmi dobrze, ale warto pamiętać, że to zawód, który ma reguły, a pierwszą z nich jest priorytet interesu klienta.

Czy NRA powinna zabrać stanowisko, w sytuacji gdy do Naczelnej Rady Adwokackiej płyną publiczne apele o przyjrzenie się działalności adwokata będącego czynnym politykiem? Jak wygląda taka procedura?

Pani redaktor pyta w istocie o dwie różne rzeczy, więc rozdzielmy dwie drogi. Pierwsza to odpowiedzialność indywidualna. Tu Naczelna Rada Adwokacka nie jest właściwa. Zawiadomienie może złożyć każdy, ale trafia ono nie do NRA, lecz do rzecznika dyscyplinarnego izby, który prowadzi dochodzenie i decyduje o wniosku o ukaranie. Orzeka sąd dyscyplinarny izby, od orzeczenia służy odwołanie do Wyższego Sądu Dyscyplinarnego, a od jego orzeczeń przysługuje kasacja do Sądu Najwyższego. Inna sprawa to określanie standardów pracy adwokackiej i tu widzę zadanie dla NRA. Konstytucja w art. 17 powierza samorządom zawodowym pieczę nad należytym wykonywaniem zawodu „w granicach interesu publicznego i dla jego ochrony". Jeżeli praktyka łączenia mandatu z togą rodzi wątpliwości systemowe, to dojrzały samorząd odpowiada uchwałą o zasadach: generalną, pisaną na przyszłość, jednakową dla adwokatów wszystkich barw politycznych. Taka uchwała nikogo z polityki nie wyklucza, przypomina tylko, że togi nie zdejmuje się na czas kampanii. Palestra, która sama pilnuje swoich zasad, nie musi się obawiać, że któregoś dnia zrobi to za nią ktoś inny.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 92d46bc765



Piotr Semka

Był i jest sumieniem Solidarności, przypominał o jej podstawowych zasadach. A jego walka z Lechem Wałęsą o prawdę była też przypomnieniem istotnej zasady, że legenda solidarnościowa nie może być oparta na żadnym kłamstwie czy wypieraniu niewygodnych faktów. Dlaczego postać Krzysztofa Wyszkowskiego wzbudza taką furię w salonie liberalno-lewicowym?



Prezydent Karol Nawrocki odznacza Orderem Orła Białego Krzysztofa Wyszkowskiego, Gdańsk, 31 sierpnia 2026 r. FOT. ADAM WARŻAWA/PAP

Krzysztof Wyszkowski, czyli notariusz Solidarności

To zdjęcie widziałem wiele lat temu i uderzyło mnie ono swoim symbolizmem. Fotografia przedstawia podpisanie przez Lecha Wałęsę i przedstawiciela strony komunistycznej Mieczysława Jagielskiego Porozumień w Stoczni Gdańskiej 31 sierpnia 1980 r. Moją uwagę przykuła stojąca z boku chuda postać w koszulce z napisem „Solidarność". To Krzysztof Wyszkowski, który jako działacz Wolnych Związków Zawodowych był doradcą Komitetu Strajkowego. Znając późniejsze losy Wyszkowskiego, pomyślałem sobie, że wygląda na tym zdjęciu jak ktoś w rodzaju notariusza. Ktoś, kto przez kolejne lata uznawał za swój obowiązek świadczyć i przypominać o intencjach zawartej umowy. I tę rolę Krzysztof Wyszkowski odgrywał przez kolejne 46 lat od podpisania Porozumień Gdańskich.

Był sumieniem Solidarności – w końcu to on przeforsował to określenie jako nazwę biuletynu strajkowego stoczni w sierpniu '80. I to on przypominał o jej podstawowych zasadach. A jego walka z Lechem Wałęsą o prawdę była też przypomnieniem istotnej zasady, że legenda solidarnościowa nie może być oparta na żadnym kłamstwie czy wypieraniu niewygodnych faktów. W tym sensie współzałożyciel WZZ stał się obrońcą autentyzmu idei, które powstały w Trójmieście w latach 1977–1989.

HOŁD I FURIA

„Krzysztof Wyszkowski to wojownik. Z całą pewnością wierny swoim ideałom, tym, które niesie od lat 70-tych... Wypowiada [...] przekonania w sposób zdecydowany, bezpośredni, nieznoszący kompromisu. Bez takich osób „Solidarność" »nigdy by nie powstała«". Tymi słowami Karol Nawrocki poprzedził odznaczenie Krzysztofa Wyszkowskiego Orderem Orła Białego „w uznaniu znamienitych zasług dla Rzeczypospolitej Polskiej, w szczególności dla przemian demokratycznych i wolnej Polski" oraz za „osiągnięcia w działalności państwowej i publicznej". Fakt odznaczenia najwyższym polskim orderem twórcy Wolnych Związków Zawodowych wywołało prawdziwą furię w obozie liberalno-lewicowym. Władysław Frasyniuk wprost zakwestionował opozycyjną przeszłość Wyszkowskiego. Na portalu X napisał, że warto byłoby „zapytać osoby związane z gdańskim podziemiem o działalność Wyszkowskiego". Jak zaznaczył: „Ja nigdy o nim nie słyszałem od moich kolegów z Gdańska, z którymi jednak przez całą konspirację utrzymywałem kontakt. Być może to odznaczenie jest konsekwencją szargania dobrego imienia

eprasa.pl 92d46bc765

przywódcy Solidarności Lecha Wałęsy". Frasyniuka wsparł Bogdan Zdrojewski: „Władysław Frasyniuk ma rację. Wojna na ordery kiereszuje naszą historię. Kluczowe postacie (są) pomijane". Eurodeputowana z KO Kamila Gasiuk-Pihowicz posunęła się nawet do paranoicznej tezy, że odznaczenie Wyszkowskiego 31 sierpnia br., w przededniu pogrzebu Wandy Traczyk-Stawskiej, którą były działacz Solidarności kiedyś skrytykował, było świadomą prowokacją.

Jeszcze ostrzej pisali publicyści „Gazety Wyborczej". Bartosz Wieliński ogłosił, że: „Karol Nawrocki zhańbił Order Orla Białego". I dodał: „Idąc tą logiką, nie można wykluczyć, że kolejnym Kawalerem Orderu Orła Białego zostanie ubóstwiany przez skrajną prawicę morderca, czczony jako »ostatni żołnierz wyklęty«. Rafał Kalukin z „Polityki" pisał z kolei na łamach portalu „Kultury Liberalnej": „Kiedy w dniu rocznicy porozumień sierpniowych [Karol Nawrocki] odznaczał Krzysztofa Wyszkowskiego Orderem Orła Białego, nie było w tym chyba cynizmu. Nawrocki wygląda, jakby nie zdawał sobie sprawy, że robi coś nieprzyzwoitego".

Ta próbka wrogich komentarzy pokazuje, że można tak jak Frasyniuk podawać w wątpliwość oczywiste zasługi Wyszkowskiego w tworzeniu Wolnych Związków Zawodowych i ruchu Solidarności. Przyrównywać go jak Wieliński do mordercy i wreszcie uznawać odznaczenie kogoś tak zasłużonego dla polskiej historii jako „coś nieprzyzwoitego".

Skąd taki amok wrogości? Dlaczego postać Krzysztofa Wyszkowskiego wzbudza taką furię w salonie liberalno-lewicowym?

ROBOTNIK ZAUROCZONY GOMBROWICZEM

„Pamiętam scenę oczekiwania na widzenie z ojcem pod więzieniem UB na warszawskiej Pradze. Ciemno, mokro, wczesnym rankiem. Mama trzyma mnie na rękach. I w pewnym momencie wchodzę do jakiejś wielkiej sali. Podchodzimy do jakiejś gęstej siatki metalowej. Widzę, że ktoś próbuje przepchnąć palec przez tę siatkę. Ale wystaje tylko opuszek palca. Mama wskazuje mi: »Patrz, to tata«".

Tak urodzony w 1947 r. Krzysztof Wyszkowski wspominał swoje pierwsze świadome spotkanie z ojcem. Stefan Wyszkowski był żołnierzem powojennego oddziału podziemia niepodległościowego pod dowództwem ppor. Mariana Bernaciaka „Orlika". Skazany w 1951 r. na trzy lata więzienia zmuszony był do pracy przy budowie Pałacu Kultury i Nauki.

Po aresztowaniu męża matka, która była wtedy w ciąży, została przesiedlona do suteryny. Jak wspomina Wyszkowski: „To była okropna nędza. Było nas troje rodzeństwa i walczyliśmy o kawałek starego chleba, który mama przypiekała na patelni. Mieszkaliśmy w piwnicy porośniętej grzybem, spaliśmy na łóżku piętrowym [...], na dwór wychodziliśmy zimą oddzielnie, po kolei, bo nie starczało ubranek dla wszystkich trojga od razu".

Ojca zwolniono z więzienia w grudniu 1954 r., ale nadal wszyscy musieli mieszkać w piwnicy. Wyszkowski wspomina: „Antykomunizmu w domu w jakimś bezpośrednim przekazie nie było. Tylko edukacja historyczna". Dzięki rozbudzonemu przez ojca zainteresowaniu historią młody Krzysztof zaczął odwiedzać bibliotekę w Olsztynie, dokąd przeniosła się w końcu lat 50. cała rodzina Wyszkowskich. Tam po pewnym czasie chłopak zdobył zaufanie bibliotekarek i dopuszczały go do zbioru zamkniętego, gdzie mógł czytać dzieła Józefa Piłsudskiego. Zwrócił uwagę wówczas na słowa późniejszego Marszałka, który w końcu XIX w. uznał, że nową siłą niepodległościową będą robotnicy. I to na nich trzeba się skupić. Gdy podjął naukę w liceum, jego wychowawca i szef komórki PZPR w szkole wbijał im do głowy, że mają być elitą, która będzie budować socjalizm w Polsce. Te zapowiedzi tak zraziły Wyszkowskiego, że porzucił szkołę i został prostym robotnikiem. „Chciałem odsunąć od siebie pokusę bycia kolejnym trybikiem systemu, który tak bardzo odrzucałem. I bycie robotnikiem dało mi poczucie bycia kimś wolnym". W 1975 r. wraz z bratem przenosi się do Gdańska. Jego adres zostaje przesłany do paryskiej „Kultury" i Wyszkowski zaczyna otrzymywać regularne przesyłki z wydawnictwami emigracyjnej literatury. Zachwyca się dziełami Witolda Gombrowicza i wydaje je na podziemnym powielaczu.

Szybko zbliża się do Bogdana Borusewicza i gdańskiego środowiska KOR-owskiego. Zaczyna odwiedzać warszawskie salony. Poznaje Adama Michnika i Jacka Kuronia. Wyszkowski wspomina: „Z zaskoczeniem stwierdziłem, że podstawowa idea KOR, jaką miało być pomaganie robotnikom, z biegiem czasu zeszła na dalszy plan. O wiele ważniejsi stali się literaci, intelektualiści, a ja uważałem, że podstawą myślenia o obaleniu systemu musi być praca z robotnikami". I wtedy impuls przyszedł z Katowic, gdzie w lutym 1978 r. Kazimierz Świtoń założył pierwszy komitet Wolnych Związków Zawodowych. Za jego przykładem Wyszkowski zakłada w kwietniu 1978 r. komitet Wolnych Związków Zawodowych Wybrzeża. Ta idea ukazuje swoją siłę w czasie strajków w Stoczni Gdańskiej w sierpniu 1980 r.

Ale to nie oznacza, że o idee Wolnych Związków nie trzeba było walczyć. Wtedy po raz pierwszy Wyszkowski zderza się ze środowiskiem ekspertów, głównie z Warszawy, takich jak np. Tadeusz Mazowiecki czy Bronisław Geremek, którzy uważają, że hasło niezależnych związków jest nie do wywalczenia. W końcu ten konflikt wygrywają Wyszkowski razem z małżeństwem Gwiazdów i dochodzi do wywalczenia NSZZ „Solidarność". Wyszkowski po latach komentuje to tak: „Solidarność to był taki masowy WZZ". Karnawał Solidarności lat 1980–1981 to dla niego ciężka harówka przy budowaniu 10-milionowego związku.

SAM PRZECIW (NIEMAL) WSZYSTKIM

Stan wojenny zamroził tamte podziały. Ale Krzysztof Wyszkowski przypomniał sobie o nich po rozpoczęciu obrad Okrągłego Stołu, wiosną 1989 r. Obserwował je jako współpracownik gdańskiego wideostudia, które z ramienia strony solidarnościowej miało kręcić materiał do filmu dokumentalnego o obradach. Wyszkowski szybko zauważył, że są jak gdyby „dwa" Okrągłe Stoły. Jeden ten oficjalny, a drugi faktyczny, na którym podejmowane są najważniejsze strategiczne ustalenia. I – co charakterystyczne – w tej grupie „wybranych i wtajemniczonych" odnalazł tych samych doradców Solidarności, którzy dziewięć lat wcześniej sprzeciwiali się hasłu Wolnych Związków jako czemuś zbyt radykalnemu. 1 kwietnia 1989 r., czyli na samym

eprasa.pl 92d46bc765



Podpisanie Porozumień Gdańskich przez Lecha Wałęsę i wicepremiera Mieczysława Jagielskiego w sierpniu 1980 r. Na drugim planie po lewej stoi Krzysztof Wyszkowski

FOT. ERAZM CIOŁEK/PAP

końcu obrad okrągłostołowych, pytany o przyczyny swojego krytycyzmu wobec obrad, odpowiadał: „Jestem przekonany, że jest to największa mistyfikacja od początku PRL. Mistyfikacja z udziałem opozycji. Dotychczas władze robiły takie mistyfikacje, [ale] wielkich oszustw dokonywała sama władza i rolą opozycji było demistyfikowanie takich imprez [...]. Ta mistyfikacja jest próbą stworzenia nowej fasady dla starego systemu". Wyszkowski w tamtej wypowiedzi zaznaczał, że istotą zdrady społeczeństwa przez opozycję, która głosiła, że jest jej przedstawicielem, było przyjęcie wspólnie z komunistami tezy, że społeczeństwo jest niedojrzałe do radykalnych zmian. Jak mówił: „Stąd tezy o zagrożeniu narodowo-populistycznym, o iranizacji [określenie przyrównujące ewentualną wolną Polskę do teokracji w Iranie – przyp. P.S.] i to, co nawet Wałęsa powiedział o niedojrzałości Polaków do demokracji". Wyszkowski który był niezwykle przenikliwym obserwatorem Okrągłego Stołu, szybko zrozumiał. że wytwarza się nowa groźna jakość – sojusz tzw. mądrych z lewicy solidarnościowej i tzw. reformatorskiego nurtu PZPR, którzy chcą uzyskać monopol władzy w nowym etapie historii Polski. I z tym monopolem Wyszkowski walczył i walczy przez kolejne 37 lat. I dlatego ściągał i ściąga na siebie tak gigantyczną nienawiść przedstawicieli obozu okrągłostołowego. Przez pewien czas łudził się, że Lech Wałęsa będzie zdolny do przeciwstawienia się temu obozowi. Potem, gdy zorientował się, że Lech Wałęsa zawarł z okrągłostołowcami taktyczny sojusz, którego przypieczętowaniem było obalenie rządu Jana Olszewskiego, rozpoczął walkę o wyrwanie z pozostałościami układu komunistycznego III RP. Rozpoczął walkę o lustrację.

Wyszkowski podjął ją bez względu na grożące mu konsekwencje. Był jednym z pierwszych osób, które wezwały Lecha Wałęsę do rozliczenia się ze swoją haniebną przeszłością konfidenta Służby Bezpieczeństwa. I tak zaczęły się jego wieloletnie zmagania, które kosztowały go liczne procesy, pozwy, wyzwiska i zniesławienia.

Najbardziej dramatycznym momentem tego pojedynku był wyrok sądu w Gdańsku w 2011 r. Werdykt sądowy nakazywał mu, aby na jego koszt stacja TVN w najlepszym czasie reklamowym zamieściła sygnowane jego nazwiskiem przeprosiny poświadczające, że Lech Wałęsa nigdy nie był agentem „Bolkiem".

Wyszkowski był wnikliwym obserwatorem Okrągłego Stołu, szybko zrozumiał, że wytwarza się nowa groźna jakość

Wyszkowski stwierdził, że nie jest w stanie potwierdzić swoim nazwiskiem nieprawdy. Wtedy zaczęła grozić mu bardzo realna sytuacja, w której Wałęsa zamieściłby na swój koszt ogłoszenie wspierającej go stacji, a potem jej gigantyczny koszt obciążyłby Wyszkowskiego. W ramach egzekucji komorniczej pozbawiony mógłby być np. mieszkania i całego majątku. Wyszkowski nie zląkł się tej groźby i nie zgiął karku przed lustracyjnym kłamcą. Na szczęście w 2013 r. ten wyrok kolejnej instancji uchylił groźbę zrujnowania życia byłemu opozycjoniście. Niegdysiejszy założyciel Wolnych Związków zawodowych uważał, że legenda opozycji przedsierpniowej, a potem Solidarności jest nie do utrzymania, jeśli ma być zbudowana na utrzymywaniu parasola kłamstwa nad Lechem Wałęsą.

W tym sensie Wyszkowski potwierdził swoją odwagę z lat 70., gdy współzakładając Wolne Związki Zawodowe, musiał liczyć się z zagrożeniem życia. Krzysztof Wyszkowski udowodnił, że był i jest nadal człowiekiem niepokornym.

Jego przeciwnicy od lat usilnie starali się sprowadzić go do roli hejtera i nienawistnika. Robią to nadal, choć po odebraniu wdowie po gen. Kiszczaku oryginału teczki „Bolka" jego krytycy powinni go przeprosić za wieloletnie nazywanie go oszczercą w stosunku do Wałęsy. Odznaczając go Orderem orła Białego, Karol Nawrocki wskazał na wagę osobistej odwagi. Na pewien typ ludzi, którzy w każdym społeczeństwie są bardzo potrzebni. I których nie ma zbyt wielu, bo naturalną skłonnością natury ludzkiej bywa unikanie ryzyka i niestawiania wymogu prawdy ponad zagrożenie czy to represją fizyczną, czy to sądową, w postaci np. gigantycznej kary finansowej.

Krzysztof Wyszkowski nie jest człowiekiem łatwym. Jego niepokorność niesie ze sobą pewne skutki. Są one kłopotliwe dla jego obrońców, gdy np. używa zbyt ostrego języka lub zbyt ostrych porównań. Ale tak to już bywa z ludźmi, którzy nazywają pewne rzeczy po imieniu. Ich odwaga powinna być ceniona znacznie wyżej niż to, czy czasami używają jednego określenia za dużo. Krytycy Wyszkowskiego zazwyczaj wynoszą pod niebiosa Lecha Wałęsę, który także potrafi swoich przeciwników obrażać w najgorszy sposób. Gdy jest to Wałęsie wypominane, próbuje się ucinać dyskusję przytaczaniem jego historycznych zasług. W wypadku Wyszkowskiego tej zasady się nie uznaje. Krzysztof Wyszkowski przez wszystkie lata III RP stawiał niewygodne pytania. Czuł się jako towarzysz walki prostych robotników WZZ w latach 70., zobowiązany do troski, aby solidarnościowa legenda nie obrastała kłamstwem. I zadbał o to skutecznie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 92d46bc765

Problem Rafała



Jan Fiedorczuk

Prezydent Warszawy jest coraz większym obciążeniem dla ugrupowania Donalda Tuska, co przyznają sami politycy Koalicji Obywatelskiej. Po wyborczej porażce w 2025 r. jego wpływy osłabły na tyle, że nawet pozycja tego polityka w Warszawie jest zagrożona

Rafał Trzaskowski był wiecznie dobrze zapowiadającym się „młodym działaczem" Koalicji Obywatelskiej (wcześniej Platformy Obywatelskiej). Cudownym dzieckiem nadwiślańskiego liberalizmu i politycznym odpowiednikiem Kuby Wojewódzkiego w jednym. Zna języki obce (co nadal wśród części społeczeństwa budzi sensację), wywodzi się z inteligenckiej rodziny i miał wszelkie zadatki na zrobienie wielkiej kariery. W międzyczasie jednak „młody działacz" przekroczył 50 lat, a jego osiągnięcia na arenie europejskiej, krajowej czy samorządowej są wyraźnie rozczarowujące. Patrząc na to, jak roztrwoniony został jego, niewątpliwie spory, potencjał polityczny, postać Trzaskowskiego wydaje się największym „niewypałem" polskiej polityki ostatnich kilkunastu lat.

AFERA Z „OCZKIEM W GŁOWIE"

Seria skandali w ursynowskim Szpitalu Południowym okazała się największą aferą, z którą rząd Donalda Tuska musiał się mierzyć od przejęcia władzy w 2023 r. Początkowo sprawa miała dotyczyć pojedynczego lekarza – byłego już radnego KO, Dawida Kacprzyka, oraz „saloniku VIP" organizowanego dla polityków rządzącej formacji. Szybko jednak się okazało, że jest to zaledwie wierzchołek góry lodowej. Wkrótce portale Zero oraz Onet zaczęły informować o patologicznej sytuacji w prosektorium szpitalnym, gdzie miało dochodzić do fałszowania dokumentów, handlu zwłokami oraz bezczeszczenia ciał. Kolejnym zwrotem w sprawie okazały się oskarżenia byłego ordynatora chirurgii, Emila Jędrzejewskiego, który w rozmowie z Kanałem Zero opowiadał o nieprawidłowościach na SOR i wadliwych procedurach medycznych, mających prowadzić do śmierci pacjentów.

Po ujawnieniu patologii w Szpitalu Południowym oczy wszystkich zwróciły się w kierunku prezydenta Warszawy. Rafał Trzaskowski odwołał zarząd placówki, rozwiązał radę nadzorczą, a następnie – gdy afera nie przycichła – zdymisjonował dwie wiceprezydent Warszawy: Aldonę Machnowską-Górę i Renatę Kaznowską. Szczególnie odejście Kaznowskiej wzbudziło dyskusje, gdyż politycy KO nieoficjalnie przyznawali, że miała ona de facto „zarządzać miastem". Nawet jeżeli były to przesadzone opinie, to nie ulega wątpliwości, że odejście tak doświadczonego urzędnika stanowi dla Trzaskowskiego (który nigdy nie przejawiał ochoty do zarządzania miastem) znaczący problem. Z kolei druga zdymisjonowana wiceprezydent, Machnowska-Góra, była zaliczana do najbliższych ludzi prezydenta stolicy. Innymi słowy, aby gasić aferę, Trzaskowski musiał uderzyć we własne najbliższe środowisko. Na marginesie warto zauważyć, że równo dekadę temu po wybuchu afery reprywatyzacyjnej Hanna Gronkiewicz-Waltz również musiała poświęcić dwóch swoich zastępców (Jarosława Jóźwiaka i Jacka Wojciechowicza). Ofiara jednak poszła wówczas na marne – pozycja ówczesnej prezydent w partii zaczęła się gwałtownie pogorszać, aż w końcu była ona zmuszona pożegnać się z funkcją prezydenta miasta.

Sam Rafał Trzaskowski nie tak dawno wymieniał Szpital Południowy jako właśnie tę inwestycję, z której jest najbardziej dumny. „To moje oczko w głowie" – przekonywał. Donald Tusk w oficjalnych wystąpieniach starał się maksymalnie dystansować od afery, jednak poza światłem kamer ponoć ostro beształ wiceszefa KO. „Tusk wściekł się na Trzaskowskiego. Jego działania były spóźnione, a krytykowanie przez niego polityków za pracę w spółkach szkodzi rządowi" – powiedział w rozmowie z „Super Expressem" jeden z polityków KO, który chciał pozostać anonimowy. Ekspert do spraw marketingu politycznego, dr Sergiusz Trzeciak, przyznaje, że reakcja Trzaskowskiego na aferę w Szpitalu Południowym faktycznie była spóźniona, a dymisje dwóch wiceprezydentów stolicy zostały wymuszone przez opinię publiczną. „Przypomina to gaszenie pożaru benzyną" – ocenił dr Trzeciak.

Na kanwie szpitalnej afery prezes stowarzyszenia „Tak dla CPK" i Fundacji Polskiego Rozwoju Maciej Wilk ogłosił pod koniec czerwca rozpoczęcie przygotowań do Stołecznej Operacji Referendalnej w celu odwołania Rafała Trzaskowskiego oraz rady miasta. Inicjatywa ma marne szanse powodzenia ze względu na radykalnie proplatformerską strukturę warszawskiego elektoratu, niemniej jeżeli organizatorom uda się doprowadzić do przeprowadzenia głosowania, to samo referendum będzie wizerunkową porażką Trzaskowskiego oraz KO. Reperkusje tegoż procesu mogą bowiem być o wiele poważniejsze w polityce krajowej niż

eprasa.pl 92d46bc765



FOT. PAWEŁ WODZYŃSKI/EAST NEWS

samorządowej i wpisywać się w szerszy ciąg zdarzeń związany m.in. z sensacyjnym odwołaniem prezydenta Krakowa sprzed kilku miesięcy.

SAM W STOLICY

Po przegranych wyborach prezydenckich w 2025 r. Rafał Trzaskowski wycofał się z polityki krajowej i – jak się zdawało – podjął decyzję o skupieniu się na polityce warszawskiej. W rzeczywistości jednak jego sytuacja na scenie samorządowej wygląda niewiele lepiej niż na scenie krajowej. W przestrzeni publicznej od dawna mówiono o tym, że Trzaskowski jest jedynie figurantem, a realną władzę w warszawskiej KO sprawuje Marcin Kierwiński, szef stołecznych struktur partii.

Wymowna w tym kontekście była sytuacja, gdy niedługo po przegranych wyborach prezydenckich Trzaskowski chciał przeforsować swój projekt dotyczący wprowadzenia prohibicji w Warszawie. Projekt zatopił wówczas Jarosław Szostakowski, szef klubu KO w Radzie Warszawy i zaufany człowiek Kierwińskiego. Trzaskowski wycofał swój pomysł, a radni przyjęli zaproponowane przez Koalicję Obywatelską stanowisko w sprawie okrojonego pilotażowego projektu wprowadzającego nocną prohibicję w dwóch dzielnicach – Śródmieściu i Pradze-Północ. Dopiero po kilku miesiącach Trzaskowskiemu udało się przeforsować swoją propozycję.
Z nieoficjalnych doniesień wynikało, że to właśnie Kierwiński – za zgodą premiera – ośmieszył prezydenta Warszawy, blokując jego inicjatywę. W przestrzeni medialnej natychmiast zaczął dominować przekaz, że Trzaskowski nie panuje nad sytuacją we własnym mieście.

Fakt, że znaczący głos w sprawach polityki w stolicy ma Kierwiński, dostrzegają przedstawiciele zarówno prawicowej, jak i lewicowej opozycji. „Decyzję o wprowadzeniu zakazu nocnej sprzedaży alkoholu w Warszawie wymusił na Trzaskowskim Kierwiński. Nie była to wola samego prezydenta, lecz efekt politycznych układów" – stwierdził w rozmowie z portalem DoRzeczy.pl poseł PiS, Sebastian Kaleta. „Rafał Trzaskowski jest uśmiechniętą twarzą, którą się pokazuje do mediów, ale realnie władzę w Warszawie ma Marcin Kierwiński" – uważa z kolei Adrian Zandberg.

To właśnie szef warszawskich struktur KO ma decydujący wpływ na to, kto zostanie wpisany na listę partii w następnych wyborach samorządowych, a ponoć bez jego aprobaty nikt w Warszawie nie ma szans, by sięgnąć po kierownicze stanowisko. Kwestiami kadrowymi Kierwiński ma kierować już od 2018 r., gdy Trzaskowski został prezydentem Warszawy. W 2024 r. krążyły pogłoski, że to właśnie szef MSWiA – po wyczekiwanej zmianie w Belwederze – zostanie nowym prezydentem stolicy. Jak wiemy, plany te pokrzyżowała wygrana Karola Nawrockiego.

Co ciekawe, po wyborczej porażce w 2025 r. ze strony działaczy związanych z włodarzem Warszawy zaczęły pojawiać się zarzuty, że Kierwiński torpedował kampanię Trzaskowskiego. „Ludzie zaczęli głośno mówić o tym, że nie mogli się doprosić plakatów i ulotek, Kierwiński nie odbierał telefonów, widać było, że nie chciało mu się mobilizować członków partii" – przyznał jeden z polityków KO w rozmowie z „Gazetą Wyborczą". Nawet jeżeli byłaby to prawda, to trudno uwierzyć, aby ktokolwiek przyznał, że Karol Nawrocki wygrał wybory, bo Kierwiński nie wydał kilku plakatów.

PARTIA TRACI CIERPLIWOŚĆ

Po wybuchu afery w szpitalu konflikt między prezydentem Warszawy a szefem MSWiA nabrał znowu na sile. „Zwolennicy obu spierają się, czy to Kierwiński nie panuje nad strukturami partii, czy Trzaskowski nie wie, co dzieje się w mieście" – stwierdził jeden z polityków KO w rozmowie z TVN24. Inny z kolei dodał, że stronnicy Trzaskowskiego z radością przyjęliby „opcję atomową", czyli rozwiązanie struktur warszawskich. Co dzisiaj jest już jasne, Donald Tusk nie zdecydował się na takie rozwiązanie. Zwłaszcza że w oczach opinii publicznej to nie szef MSWiA, którego jednak powszechnie mało który wyborca wiąże ze stolicą, jest winny kompromitacji w szpitalu, tylko prezydent miasta. W niedawnym sondażu SW Research przeprowadzonym dla „Wprost" 44,5 proc. badanych przyznało, że Trzaskowski powinien zrezygnować z funkcji prezydenta. Przeciwnego zdania było 31,2 proc. respondentów.

Sami politycy KO nieoficjalnie przyznają, że są wściekli na prezydenta

eprasa.pl 92d46bc765

Warszawy. Nawet zmiany przeprowadzone w ratuszu są postrzegane jako spóźnione i niewystarczające. „Należało to zrobić wtedy, kiedy Rafał odwoływał zarząd i radę nadzorczą Szpitala Południowego. Należało wtedy ciąć do kości i liczyć, że uda się politycznie zamknąć temat. Wygrało podejście »poczekajmy i zobaczymy«" – stwierdził w rozmowie z Interią polityk KO.

Inny działacz partii zauważa, że „problem Rafała stał się problemem ogólnopolskim". „Teraz wszystko zmierza w kierunku tego, że to sam Rafał stanie się problemem ogólnopolskim dla partii. Na pewno już bardzo dużo stracił na tej aferze" – ocenia polityk formacji Donalda Tuska. To jednak nie koniec kłopotów. Po wybuchu afery prezydent Warszawy zapowiedział odpolitycznienie stołecznych spółek, czemu przyklasnął sam szef rządu. Członkowie warszawskich struktur nie podzielają jednak entuzjazmu premiera, gdyż boją się utraty fruktów i nie kryją irytacji, że za aferę Trzaskowskiego konsekwencje poniosą oni wszyscy. „Morale w warszawskiej Platformie szoruje teraz po dnie" – przyznał rozmówca portalu.

UPADEK „CUDOWNEGO DZIECKA" KO

Utrata pieniędzy i wpływów to jedno, ale aby zrozumieć, skąd bierze się ta narastająca frustracja polskich liberałów, trzeba spojrzeć z nieco szerszej perspektywy na pozycję Trzaskowskiego. Jako „cudowne dziecko" polskiego liberalizmu, uczeń Bronisława Geremka i wychowanek Donalda Tuska, był on w oczach działaczy Platformy niejako predestynowany do sprawowania najważniejszych funkcji w państwie. Co więcej, wyrastając w kontrze do przaśnego wizerunku Bronisława Komorowskiego, dawał lewicującej części KO nadzieję na przeprowadzenie gwałtownych reform obyczajowych w kraju. Tymczasem skończyło się na szumnych zapowiedziach. Owszem, jako prezydent Warszawy Trzaskowski objął patronat nad paradami LGBT, wydał słynny dekret dotyczący zdejmowania krzyży czy przeforsował kilka inwestycji pokroju Muzeum Sztuki Nowoczesnej, jednak ciężko uznać te działania za epokowe osiągnięcia w dziejach polskiego liberalizmu. Progresywny elektorat oczekiwał zmian o charakterze ogólnokrajowym, a zatem – zdobycia Belwederu i „dorżnięcia watahy", a nie pomachania tęczową flagą na ulicy Marszałkowskiej. Trzaskowski nie podołał temu zadaniu ani w 2020 r., ani w 2025.

Ciężko też powiedzieć, aby jego kariera samorządowca była w jakikolwiek sposób udana. W kuluarach od lat mówiło się, że wiceszef KO nie jest zainteresowany zarządzaniem miastem, a w rzeczywistości marzy, jeżeli nie o funkcji prezydenta lub premiera, to przynajmniej szefa MSZ albo o prestiżowej posadzie w unijnych strukturach. Jeżeli więc warszawska prezydentura była przez niego od początku traktowana jako trampolina do „wielkiej polityki", to nie powinno dziwić, że miasto, którym miał zarządzać, zostało de facto oddane jego zastępcom oraz szefowi warszawskich struktur partii.

Progresywny elektorat oczekiwał zmian o charakterze ogólnokrajowym, a zatem – zdobycia Belwederu i „dorżnięcia watahy", a nie pomachania tęczową flagą na ulicy Marszałkowskiej. Trzaskowski nie podołał temu zadaniu ani w 2020 r., ani w 2025 r.

Poza aferą szpitalną Trzaskowski musiał w 2023 r. mierzyć się z aferą korupcyjną oraz powracającymi zarzutami dotyczącymi epidemii nepotyzmu w stolicy. Ledwie kilka tygodni temu „Gazeta Wyborcza" opisała całą sieć ludzi związanych z KO (polityków, ich rodzin, znajomych itp.), którzy oblegli domy kultury w Warszawie. Nie brakuje też zarzutów dotyczących zarządzania samym miastem – uderzania w kierowców poprzez rozszerzanie Stref Płatnego Parkowania, zwężania ulic, braku nowych miejsc parkingowych, a także drastycznego wzrostu opłat czy dewastowania miasta pod dyktando deweloperów.

GORZKI KONIEC?

W czerwcu, już po wybuchu afery w Szpitalu Południowym, przeprowadzono sondaż zaufania do polityków. Rafał Trzaskowski odnotował duży, gdyż sięgający aż 5,6 pkt. proc., spadek. Z sondażu wynika, że nadal ufa mu 32,5 proc. Polaków, ale tendencja jest spadkowa, a w ogólnym zestawieniu zajął dopiero siódmą pozycję. Wyprzedzili go nie tylko Mateusz Morawiecki czy Włodzimierz Czarzasty, lecz także partyjni konkurenci – Donald Tusk i Radosław Sikorski (odpowiednio: trzecie i drugie miejsce). Z kolei w lipcowym sondażu zaufania IBRiS dla Onetu Trzaskowskiego… w ogóle nie uwzględniono w badaniu. Najwyraźniej redakcja uznała, że jest to schodzący polityk, którego nie warto już brać pod uwagę.

Poważnym problemem Rafała Trzaskowskiego jest ponadto brak poważniejszych perspektyw w polityce. W 2029 r. kończy się bowiem jego druga kadencja jako prezydenta Warszawy. Zgodnie z nowelizacją Kodeksu wyborczego z 2018 r. prezydentów miast obowiązuje dwukadencyjność, co oznacza, że Trzaskowski nie będzie mógł ponownie startować w warszawskich wyborach. Jego pozycja w Koalicji Obywatelskiej jest słaba, jego wizerunek w polityce krajowej – fatalny. Nie chodzi nawet o poziom sympatii, tylko o wizerunek człowieka, który najpierw uległ Andrzejowi Dudzie, a następnie Karolowi Nawrockiemu. „Teraz czar prysł, a mit Rafała upadł z hukiem. Będzie musiał całą swoją karierę budować na nowo" – przyznaje gorzko jeden z polityków KO w rozmowie z Interią.

Jak miałaby jednak wyglądać jego dalsza kariera? W 2029 r. Trzaskowski będzie już się zbliżał do sześćdziesiątki i wątpliwe jest, aby zadowolił się funkcją szeregowego posła. Wydaje się, że w gruncie rzeczy pozostało mu niewiele ponad przecinanie wstęg na oficjalnych uroczystościach w Warszawie i odliczanie dni do końca kadencji, po której będzie mógł wybrać się na emeryturę do Parlamentu Europejskiego. Oczywiście jeżeli kierownictwo partii pozwoli mu wystartować.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 92d46bc765



Z Ryszardem Czarneckim, politykiem, historykiem i działaczem sportowym, byłym wiceprzewodniczącym Parlamentu Europejskiego
rozmawia Ryszard Gromadzki

Lepper, Braun i „Deep State”



FOT. RADEK PIETRUSZKA/PAP

RYSZARD GROMADZKI: Sprawa giełdy kryptowalut Zondacrypto może pozbawić prawicę szans na zwycięstwo w przyszłorocznych wyborach parlamentarnych?

RYSZARD CZARNECKI: Ofiary po stronie prawicy będą, ale liberalno-lewicowy rząd Tuska jest tak niewydolny i słaby, że nie ma mowy o tym, żeby ta sprawa mogła zatopić prawicę. To może być uderzenie, jak słyszę, w niektórych prawicowych polityków i dziennikarzy. Sprawa Zondacrypto nie będzie jednak miała takiego znaczenia, jak w swoim czasie „afera podsłuchowa” związana z kelnerami. Nie będzie to raczej punkt zwrotny w polskiej polityce.

Jarosław Kaczyński podczas niedawnego zjazdu Klubów „Gazety Polskiej”, odpowiadając na pytania dotyczące secesji byłego premiera Morawieckiego i grupy jego zwolenników z Prawa i Sprawiedliwości, kilka razy użył określenia „zdrada”. Czy to oznacza, że mosty między PiS a stowarzyszeniem Morawieckiego zostały definitywnie spalone?

To oczywiste, że na centroprawicy i prawicy toczy się ostra walka o elektorat. Jest to starcie między PiS-em a stowarzyszeniem, a za chwilę partią Mateusza Morawieckiego na centroprawicy, a na prawo od nich między Konfederacją a Koroną Polską Grzegorza Brauna. W sytuacji, w której ktoś, tak jak premier Morawiecki, wyprowadza z partii pokaźną grupę parlamentarzystów, siłą rzeczy retoryka używana przez adwersarzy była, jest i będzie twarda. Walka toczy się o to, kto dotrze ze swoją narracją do wyborców, którzy głosowali na PiS w 2023 r. w wyborach parlamentarnych, w 2024 r. w wyborach europejskich oraz w 2025 r. w pierwszej turze wyborów prezydenckich. To dlatego skala napięć, którą mamy dziś między prezesem PiS a szefem „Rozwoju Plus” nie dziwi. Przy takim rozłamie, jaki miał miejsce, zresztą największym w dziejach Prawa i Sprawiedliwości, co notabene zostało zauważone w całej Europie, obie strony będą starały się przeforsować swój punkt widzenia, chcąc zyskać – albo nie stracić – jak najwięcej wyborców. Taka jest polityczna logika.

Jak pan opisze swój obecny status w PiS?

Jestem w tej chwili zawieszony w prawach członka Prawa i Sprawiedliwości. Sprawa została upubliczniona z nieznanych mi powodów na początku sierpnia, ale dotyczy konferencji, którą prowadziłem w lutym tego roku, w siedzibie Parlamentu Europejskiego z udziałem BJP – rządzącej Indiami partii premiera Narendry Modiego. Oprócz przedstawicieli hinduskiej partii mówcami byli tam liderzy Konfederacji Korony Polskiej Grzegorza Brauna.

Rozmawiał pan z prezesem Kaczyńskim o swojej sytuacji?

Nie będę ujawniał moich rozmów z Jarosławem Kaczyńskim czy innymi politykami. Sytuacja, która była powodem mojego zawieszenia, miała miejsce siedem miesięcy temu.

Będzie się pan odwoływał od decyzji władz PiS?

Postępowanie w tej sprawie trwa.

Skoro PiS pana nie chce, dołączy pan do partii Grzegorza Brauna?

Powiem tylko tyle, że jestem zwolennikiem szerokiego, niepodległościowego paktu senackiego, gdzie powinny być reprezentowane wszystkie środowiska prawicowe. Oczywiście można dyskutować, czy taki pakt powinien przybrać postać

eprasa.pl 92d46bc765

bloku partii czy też może raczej komitetu obywatelskiego, gdzie poszczególne formacje będą rekomendować kandydatów i wtedy nie będzie to porozumienie stricte międzypartyjne. Na poziomie wyborów do Sejmu taki pakt jest czystym „political fiction", ale możliwy jest, a wręcz niezbędny do odzyskania izby wyższej.

Czyli w przeciwieństwie do władz PiS sprzeciwia się pan objęciu Grzegorza Brauna kordonem sanitarnym?

W szkole radziłem sobie jako tako z matematyką i wiem, że jeśli chodzi o wybory do Senatu to w niektórych okręgach prawica i tak przegra bez Brauna, w innych być może wygra bez Brauna, ale w kilku, może nawet 10 okręgach szerokie porozumienie, nawet nieformalne wszystkich formacji prawicowych obecnych w Sejmie RP może zdecydować o tym, czy prawica będzie miała większość w Senacie. Czy, mówiąc wprost, uzyska tych kilka decydujących o większości mandatów. Wszystkie wyliczenia, nawet różniące się od siebie, pokazują jedno: tylko szerokie porozumienie sił patriotyczno-konserwatywnych daje realne szanse na „odbicie" Senatu. Z kolei żeby sprawnie rządzić, konieczna jest kontrola nad izbą wyższą. Uważam, że jedną z kilku istotnych przyczyn przegranej Prawa i Sprawiedliwości w wyborach 2023 r. była kontrola opozycji nad Senatem i wykorzystywanie go do uderzania w rząd. Jeśli szeroko rozumiany obóz patriotyczny chce rządzić Polską, musi mieć większość w izbie wyższej parlamentu. To „oczywista oczywistość".

W swoim czasie współpracował pan blisko z Andrzejem Lepperem. Widzi pan analogie między nim a Grzegorzem Braunem? Lider Korony dość często odwołuje się do postaci Leppera.

Obaj są kandydatami wyborców antyestablishmentowych. To ich charakteryzuje. To po pierwsze. Po drugie, widzę też między nimi praktyczną analogię. W 2005 r., podczas wieczoru wyborczego po pierwszej turze wyborów prezydenckich, w których Lepper uzyskał fenomenalny wynik: 15,11 proc. poparcia, zapowiedział on, że w drugiej turze nie poprze ani Lecha Kaczyńskiego, ani Donalda Tuska. Po rozmowie ze mną zmienił zdanie. Ze strony śp. prezydenta Lecha Kaczyńskiego w tych negocjacjach uczestniczyli Adam Bielan i Michał Kamiński. Po paru dniach Andrzej Lepper oficjalnie ogłosił, że poprze w drugiej turze prezydenta Warszawy, nie stawiając przy tym żadnych warunków. Uważam, że to przeważyło szalę na korzyść śp. prezydenta Rzeczypospolitej. Po pierwszej turze wyborów prezydenckich w 2025 r. Grzegorz Braun był dość sceptyczny co do tego, jak ma się zachować przed drugą turą. Nie było dla niego wcale oczywiste, że ma poprzeć wprost Karola Nawrockiego czy może wezwać do głosowania negatywnego – przeciwko Trzaskowskiemu – czy też w ogóle się nie wypowiadać. Ostatecznie zdecydował się jednak na poparcie wprost dr. Nawrockiego. Uczynił to w sposób bardziej spektakularny niż Sławomir Mentzen – i do tego bezwarunkowo. Jeśli zestawić poparcie, jakie Grzegorz Braun uzyskał w pierwszej turze wyborów prezydenckich i jaką przewagę nad Trzaskowskim zdobył w drugiej turze Karol Nawrocki, to czy się to komuś podoba, czy nie, to właśnie głosami wyborców Brauna prezes IPN zwyciężył. Jak widać, między Lepperem a Braunem pewne analogie wręcz się nasuwają mimo ewidentnych różnic, które istnieją między nimi.

Andrzej Lepper jest tragiczną postacią w polskiej polityce. Wierzy pan w jego samobójstwo?

Zdecydowanie odrzucam oficjalną wersję o jego samobójstwie. Mówiłem o tym publicznie wiele razy, także podczas przesłuchania w prokuraturze w związku z tą sprawą. Znałem śp. Andrzeja Leppera. Przypomnę, że byłem we władzach Samoobrony, startowałem z jej listy do Parlamentu Europejskiego, ale także przygotowałem program tej partii, gdy chodzi o politykę zagraniczną, sprawy Polaków za granicą oraz kulturę narodową i sztukę. Z tej racji miałem okazję wielokrotnie z nim rozmawiać, a także czasem wspólnie jeździć po kraju. To był człowiek o bardzo silnym charakterze, mocno przywiązany do rodziny. Tacy ludzie nie popełniają samobójstw. Według rozpowszechnianych pogłosek przyczyną samobójstwa Leppera miały być ogromne długi. Uważam, że to wierutna bzdura. On doskonale wiedział, że gdyby nawet trafił z powodu długów do więzienia, przedstawiałby to, po części słusznie, jako represję polityczną. A jego zwolennicy uważaliby go za więźnia politycznego. Kiedy wyruszaliśmy gdzieś w Polskę, rozpoczynał podróż od telefonu do żony, pytał o rodzinę, a potem o zwierzęta w gospodarstwie, co się ocieliło, jak strusie itd.

Człowiek twardo stąpający po ziemi...

Powtarzam: tacy ludzie nie popełniają samobójstw. On był naprawdę silny psychicznie.

Kto wobec tego był zainteresowany jego usunięciem? Gdzie należy szukać zleceniodawców zabójstwa lidera Samoobrony?

Uważam – być może kogoś tym zaskoczę – że zleceniodawców usunięcia śp. Leppera nie należy szukać wśród kręgów politycznych w Polsce. W moim przekonaniu dyspozycja mogła wyjść z zewnątrz, albo – co bardziej prawdopodobne – ze strony ludzi, którzy obawiali się wiedzy Leppera o różnych powiązaniach na styku biznesu i polityki i bali się, że może on tę wiedzę ujawnić. A przecież mieli świadomość, że on chce to ujawnić. Lepper o tym wtedy głośno mówił.

Mówiliśmy o analogiach między Lepperem a Braunem. Czy Braun jest dla polskiego „Deep State" postacią na tyle groźną, że trzeba brać poważnie pod uwagę groźbę zamachu na niego, jeśli atmosfera nagonki na lidera Korony będzie przed wyborami nadal eskalowała?

Zwracam uwagę na to, że sytuacja polityczna jest dziś inna niż 15 lat temu. Dziś na całym świecie trwa swego rodzaju rewolucja antyestablishmentowa. W wielu krajach, od Wielkiej Brytanii po Niemcy bardzo zyskują ugrupowania antysystemowe, a to oznacza, że państwa, które długo potrafiły się skutecznie „chronić" przed wpływami takich sił politycznych też zaczynają już „pękać". W związku z tymi trendami strach establishmentu rośnie. Do tego dochodzą zamachy na polityków, że przypomnę tylko ten wymierzony w Donalda Trumpa czy w aktywistę Charliego Kirka. To wszystko sprawia, że możliwość zamachu na Grzegorza Brauna czy innych polityków występujących w kontrze do systemu jest realna. Tym bardziej że w liberalno- lewicowych mediach głównego nurtu Braun jest przez cały czas hejtowany, zaszczuwany. To tworzy grunt nie tylko do zaplanowanych operacji, lecz także do aktów przemocy ze strony ludzi być może niepoczytalnych, którzy indoktrynowani nienawistną propagandą mogą się na takie rzeczy poważyć.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 92d46bc765



Z dr. Leonem Popkiem, pracownikiem IPN, badaczem tematyki ukraińskiego ludobójstwa, potomkiem pomordowanych i świadków

rozmawia Paweł Zdziarski

Miałem w rękach zmasakrowane czaszki dzieci

FOT. STOWARZYSZENIE „WSPÓLNOTA PAMIĘCI"

PAWEŁ ZDZIARSKI: 30 sierpnia w miejscu dawnej wsi Ostrówki na Wołyniu odbyły się uroczystości pogrzebowe ofiar zbrodni ukraińskich nacjonalistów w Ostrówkach i Woli Ostrowieckiej, ekshumowanych w lipcu i sierpniu przez Instytut Pamięci Narodowej. Czy jest to przełom, a może tylko mały krok w dobrą stronę?

DR LEON POPEK: Jeżeli chodzi o Ostrówki i Wolę Ostrowiecką, to były to czwarta ekshumacja i czwarty pogrzeb. W uroczysty sposób w poświęconej ziemi spoczęło 55 Polaków, w tym 26 dzieci. Mam świadomość tego, że to może być jeden z ostatnich pochówków w tym miejscu. Zostało bowiem odnalezionych już ponad 700 ofiar zbrodni w tych konkretnych miejscowościach. Na ich terenie istnieje jeszcze wiele dołów śmierci do odnalezienia.

Wciąż niepochowanych pozostaje ok. 300 ofiar tej zbrodni. Co z nimi?

To będzie bardzo trudne. W kolejce czeka kilkaset miejscowości, tylko na samym Wołyniu, a przecież ludobójstwo dokonane przez ukraińskich nacjonalistów miało znacznie szerszy zasięg. Mam nadzieję, że władze ukraińskie będą udzielać zgody na kolejne poszukiwania i ekshumacje. To na pewno zajmie mnóstwo czasu.

Ile to może potrwać?

Tego nie wiemy. To na pewno praca na całe pokolenia, która może trwać dziesiątki, a nawet setki lat. Natomiast niepokoi mnie fakt, że wielu świadków tych zbrodni już odeszło. Po drugie, zmienił się teren. Często są to już tylko pola, łąki i lasy. To zresztą dotyczy nie tylko Wołynia, lecz także dawnego województwa lwowskiego, stanisławowskiego i tarnopolskiego, gdzie są kolejne setki miejsc do przeszukania. To jest ta skala, którą musimy mieć przed oczami. Obecna sytuacja nie jest zatem przełomem. To jest dopiero początek tego, co chcielibyśmy osiągnąć. Ten temat był zaniedbywany przez 30 lat. Mogliśmy w tym czasie zrobić znacznie więcej. Wielu naszych rodaków byłoby już ekshumowanych i godnie pochowanych. Dobrze jednak, że temat ruszył. Od strony ukraińskiej oczekujemy znacznie większej liczby zgód na poszukiwania i ekshumacje. W tym momencie rozpatrywanych jest kilkanaście wniosków złożonych przez Instytut Pamięci Narodowej.

Tymczasem jeśli strona ukraińska wydaje zgodę, to czyni to pojedynczo. Obecnie np. planowana jest ekshumacja w Hucie Pieniackiej. Czym innym jednak jest zgoda na poszukiwania, a czym innym na ekshumacje.

Dokładnie tak. W praktyce wygląda to tak, że najpierw wnioskujemy o zgodę na poszukiwania. Następnie, po otrzymaniu takiej zgody, wyjeżdżamy w teren. Wszystko musimy uzgodnić ze stroną ukraińską, trzeba podać konkretne teren, czas i bazę noclegową dla badaczy. Po znalezieniu szczątków musimy je zostawić i oddzielnie wnioskować o możliwość przeprowadzenia ekshumacji. Czasowo wygląda to bardzo różnie. W przypadku Puźnik na tę zgodę czekano ponad rok, ale w Ostrówkach już tylko ok. miesiąca. Przy ekshumacji powinno być określone, gdzie dokładnie będą złożone szczątki. W Ostrówkach było łatwiej, ponieważ istnieją tam już cmentarz i mogiła wcześniej pochowanych ofiar. W wielu przypadkach nie ma takiego miejsca w okolicy. Te cmentarze są często zarośnięte jak dżungle i nieogrodzone. Powinniśmy wybrać kilka lokalizacji cmentarzy, gdzie w zbiorowych kwaterach będziemy chować ekshumowane ofiary ludobójstwa. Miejsc zbrodni, tylko na Wołyniu, jest bowiem ok. 2 tys. i nie sposób wszędzie urządzić miejsca pochówku.

eprasa.pl 92d46bc765

Był pan obecny podczas wszystkich czterech dotychczasowych ekshumacji w Ostrówkach i Woli Ostrowieckiej. Czy jest coś, co wyróżnia tę najnowszą ekshumację spośród poprzednich?

Poprzednie ekshumacje miały miejsce kolejno w latach 1992, 2011 i 2015. Każda z nich była możliwa dzięki temu, że udało się zebrać dużo relacji świadków. To oni wskazywali miejsca zbrodni, często w przybliżeniu, ale dla nas to było bardzo ważne, bo mieliśmy jakiś punkt zaczepienia. Wiedzieliśmy, że odnalezienie szczątków pomordowanych to tylko kwestia czasu i logistyki. W tej chwili już tych świadków nie ma i trochę bazujemy na tym, co oni wcześniej nam pokazali. Na miejscu pozostały jeszcze dwie–trzy mogiły zbiorowe i pewna liczba pojedynczych, ale odnalezienie ich będzie bardzo trudne. Podczas poprzednich ekshumacji brałem udział jedynie w kopaniu i odkrywaniu dołów śmierci. Teraz zaistniała potrzeba, abym brał również udział w oczyszczaniu kości. To zrobiło na mnie ogromne wrażenie – miałem w rękach zmasakrowane czaszki małych dzieci. Tego po prostu nie da się opisać.

A jeżeli chodzi o reakcje Ukraińców? Czy one jakoś zmieniły się na przestrzeni lat?

O ile w poprzednich pracach wspierała nas okoliczna ludność ukraińska i spotykaliśmy się z dużą życzliwością, o tyle teraz mieliśmy do czynienia ze sporą powściągliwością. Kiedy obecni na miejscu dziennikarze ruszyli w teren i próbowali przeprowadzić wywiady z miejscowymi, spotkali się z milczeniem albo dużą niewiedzą na temat tego, kto dokonał tej zbrodni. Część odpowiadała, że było to NKWD albo inna, nieokreślona uzbrojona grupa. Doszło nawet do takiego paradoksu, że za sprawców mordu niektórzy uznali Istriebitielne Bataliony, sowieckie pomocnicze formacje, w których walczyli również Polacy. Czyli według tej narracji Polacy mordowali Polaków. Oczywiście to jest nieprawda.

Co zatem naprawdę wydarzyło się w tych miejscowościach 30 sierpnia 1943 r.?

To była zaplanowana zbrodnia ludobójstwa dokonana na niewinnej, bezbronnej ludności, głównie na kobietach i dzieciach. W największym skrócie: obie wsie przestały istnieć w ciągu kilku godzin. Miejscowości zamieszkane przez Polaków co najmniej od 400 lat zostały otoczone w podstępny sposób. Ludność spędzona do szkół. W Ostrówkach do budynku nie zmieścili się wszyscy, dlatego oddzielono kobiety z dziećmi i zaprowadzono je do kościoła. Następnie etapami wszystkich wymordowano. Wyprowadzano ich na zewnątrz w małych grupach nad wykopane uprzednio doły śmierci i uderzano w tył głowy, używając twardych, tępych narzędzi, takich jak siekiery, młoty do uboju bydła, widły czy drewniane maczugi. Tylko kilka osób zabito z broni palnej. Tej okrutnej zbrodni dokonały oddziały UPA, przede wszystkim kureń dowodzony przez Iwana Kłymczaka „Łysego" i sotnia „Worona", wspierane przez okoliczną ludność ukraińską. Siły napastników mogły stanowić nawet do 1 tys. osób. Gdy ok. południa nadjechali Niemcy, obie wsie praktycznie już były wymordowane. Kobiety i dzieci w liczbie ok. 300 osób zapędzono wówczas w pobliże ukraińskiej miejscowości Sokół i tam wymordowano. Niemcy, których było ok. 60, nie odważyli się ścigać banderowców. Gdyby to zrobili, być może uratowaliby tamtą grupę. W sumie w Ostrówkach zginęło ponad 470 osób, a w Woli Ostrowieckiej ponad 580. Razem daje to co najmniej 1050 osób. Było to ok. 70 proc. mieszkańców obu wsi. Miejscowości zostały ponadto obrabowane, a domy spalone. Ocalała ludność szukała schronienia m.in. w Jagodzinie i Lubomlu, a także po drugiej stronie Bugu. W ten sposób ocalała też część mojej rodziny. Część ocalałych Niemcy załadowali na wagony i wywozili na Majdanek do Lublina i do podobozu przy ul. Krochmalnej, a niektórych na roboty przymusowe do Rzeszy. Członkowie mojej rodziny również zostali przetransportowani przez Niemców do podobozu w miejscowości Krychów, gdzie byli przetrzymywani przez kilka tygodni. Wielu ocalałych na skutek odniesionych ran, niedożywienia i traumy zaczęło chorować. W mojej rodzinie istną plagą był tyfus, na który zmarła moja babcia Anna. Ci ludzie utracili wszystko. Często nie mieli nie tylko dachu nad głową, ale nawet butów, a przecież nadchodziła zima. Nie mogli wrócić na ojcowiznę, ale również zapalić znicz i pomodlić się nad ciałami swoich bliskich. To wszystko doprowadzało do skrajnego załamania i prób samobójczych. Losy ocalałych z ludobójstwa to osobny temat, który niestety wciąż jest mało znany i przemilczany.

A jaki los spotkał sprawców zbrodni? Czy ktokolwiek poniósł za nią odpowiedzialność?

W 1992 r. prokuratura ukraińska przysłała do Komisji Badania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu dokumenty, z których wynikało, że po wojnie, w czasach Związku Sowieckiego, niektórzy ze sprawców tej zbrodni byli ścigani i skazywani. Działo się to jeszcze w latach 60. Wiemy też od miejscowej ludności, że kilka z tych osób zostało zesłanych na Syberię za działalność w UPA. Mamy jednak zaledwie szczątkowe informacje na ten temat. To sprawa, która wciąż czeka na swojego badacza. Nie znam żadnej pracy historycznej, która poruszałaby szerzej tę kwestię.

Zbrodnia w Ostrówkach i Woli Ostrowieckiej to dla pana nie tylko przedmiot wieloletnich badań, lecz także historia rodzinna, ponieważ zostali tam zamordowani członkowie pańskiej rodziny. Czy jest to dla pana dodatkowa motywacja do pracy na rzecz upamiętnienia i pochowania ofiar?

Trudno o tym mówić, bo to się przeżywa inaczej za każdym razem. W mojej rodzinie ten temat był obecny od początku, ponieważ jej członkowie od strony obojga rodziców zginęli na Wołyniu. Zawsze kiedy ten temat wracał, zadawano sobie te same pytania. Dlaczego to się stało? Dlaczego nas mordowali? Dlaczego spalili nasze domy? Dlaczego nie możemy tam wrócić? Dlaczego nie możemy nawet tam pojechać i zapalić zniczy? Dlatego postanowiłem to zbadać. Zacząłem się interesować tym tematem i studiować historię na KUL. Za namową prof. Jerzego Kłoczowskiego zacząłem zbierać relacje od świadków, a przede wszystkim tych, którzy ocaleli. Zacząłem to robić już w 1978 r., na pierwszym roku studiów. Później zacząłem udzielać się podczas spotkań rodzin żołnierzy 27. Wołyńskiej Dywizji Piechoty Armii Krajowej. W ten sposób zebrałem ok. 2,5 tys. relacji. Najpierw zbierałem je do szuflady, ale potem je opracowywałem i publikowałem w książkach.

Czy świadkowie ludobójstwa chętnie opowiadali o swoich przeżyciach? Była to dla nich ogromna trauma.

Zazwyczaj nie było łatwo ich przekonać, aby podzielili się swoją historią.

eprasa.pl 92d46bc765

Często płakali i nie chcieli wracać do tych tragicznych chwil. Zgadzali się jednak, kiedy mówiłem im, że są jedynymi osobami, które mogą ocalić imiona i nazwiska tych, którzy zostali zamordowani. To było bardzo ważne, ponieważ wtedy jeszcze żyło mnóstwo świadków. Niestety, ta szansa była niewykorzystana przez środowiska naukowe. Zbieraniem relacji zajmowały się prywatne osoby i stowarzyszenia kresowe. Tylko dzięki tym oddolnym, społecznym inicjatywom udało się sporządzić opracowania przebiegu zbrodni w takich miejscowościach jak Huta Stepańska, Huta Pieniacka, Ostrówki, Wola Ostrowiecka, Zasmyki czy Kisielin. Teraz tych świadków pozostało już niewielu, a w dodatku w czasie zbrodni byli małymi dziećmi i niewiele pamiętają. Na naszych oczach odszedł świat ludzi z Kresów.

Wracając do bieżących czasów, a konkretnej ostatniej ekshumacji, jak z pańskiej perspektywy układała się współpraca polskiego IPN z ukraińskimi badaczami?

Jeżeli chodzi o antropologów i medyków sądowych, którzy mieli za zadanie określić np. płeć, wiek i zadane obrażenia, to była bardzo dokładna praca trzech ekip. Oprócz polskich badaczy z Biura Poszukiwań i Identyfikacji IPN na miejscu działali też partnerzy ukraińscy z przedsiębiorstwa Wołyńskie Starożytności oraz medycy sądowi z Łucka i ze Lwowa. Chodziło o to, aby ustalić techniczne parametry zbrodni, i pod tym kątem na tym wstępnym etapie była między nami zgodność. Wciąż czekamy na dokładne ekspertyzy strony ukraińskiej.

To, co wyróżniało tegoroczną ekshumację, to również ogromne zainteresowanie medialne. Jak to odbieraliście jako ekipa pracująca na miejscu?

Rzeczywiście, ta skala zainteresowania była ogromna. Dotyczyło to zresztą nie tylko polskich mediów, lecz także zagranicznych, w tym z Europy Zachodniej i USA. W sumie na miejscu ekshumacji pojawiło się ponad 20 redakcji. Każda z nich miała możliwość filmowania i przeprowadzania wywiadów. Nie było pod tym względem ograniczeń. Dzięki temu prawda o ludobójstwie tak naprawdę po raz pierwszy poszła w świat. To zainteresowanie przekłada się na liczne kontakty z IPN, gdzie rodziny ofiar mogą złożyć materiał genetyczny w celu identyfikacji pomordowanych. Pobiera się go, pocierając tzw. wymazówką wewnętrzną stronę policzka dawcy. Podobnie jest z prowadzoną przez Instytut internetową bazą wołyńską, którą w ostatnim czasie odwiedziło wiele tysięcy osób. Często są to członkowie rodzin ofiar, którzy dodają tam nowe dane i prostują niektóre informacje. Należy zwrócić uwagę na ogromne zainteresowanie tą tematyką szczególnie młodego pokolenia, co było widać w Internecie. Niestety, to wszystko, o czym mówię, miało też drugi, negatywny wymiar.

To znaczy?

Chodzi mi o niektóre komentarze, pełne nienawiści i nawoływania do odwetu. Było mi bardzo przykro, kiedy je czytałem. Być może były one spontaniczne, a być może przez kogoś sterowane. Tego nie wiem. Nie ma to nic wspólnego z walką o prawdę i pamięć ofiar. Oczekując na pogrzeb, powinna nam towarzyszyć atmosfera skupienia i modlitwy, szczególnie dziękczynnej, że po tylu latach wreszcie udało nam się godnie pochować naszych rodaków.

Z drugiej strony wzrasta świadomość Polaków na temat ukraińskiego ludobójstwa. Czy wreszcie pozbywamy się obecnych w dyskusji publicznej eufemizmów i przemilczeń na temat tych zbrodni?

Na pewno ta sytuacja w pewien sposób temu sprzyja. Poszukiwania, ekshumacje i pogrzeb to kolejne karty historii Ostrówek i Woli Ostrowieckiej, czego nie zawsze mamy świadomość. Tych kart przed nami jest jeszcze bardzo wiele. Istnieje ogromna potrzeba publikowania kolejnych dokumentów i materiałów na ten temat. Dzięki ekshumacji na pewno nie da się zamieść pod dywan tego, kto był ofiarą, kto mordował i jakimi metodami. W przyszłej dyskusji historycznej te argumenty będą podnoszone i niemożliwe do zakwestionowania. Mam świadomość, że dla strony ukraińskiej wyniki tych badań są bardzo trudne i będą musieli się z tym jakoś zmierzyć. To będzie wymagało czasu. Trzeba jeszcze wielu ekshumacji i pogrzebów, żeby w świadomości Ukraińców ten temat się przebił. Nic tak nie przemienia umysłów i serc jak pochówek ofiar. Z doświadczenia wiem, że zupełnie inne jest podejście tych osób dopóty, dopóki nie staną nad trumną pomordowanych. W jakiś sposób te ofiary przemawiają, wręcz krzyczą. Tego nie dostrzega się np. podczas konferencji naukowej na ten temat. Ale kiedy zobaczy się trumny małych dzieci, które zginęły w tak okrutnych okolicznościach, to nie ma w tym momencie miejsca na kłótnie i podniesiony głos. Tego wymaga szacunek ofiar.

Czyli pana zdaniem jest szansa, aby Ukraińcy zmienili podejście do tego, co wydarzyło się 80 lat temu?

Droga przed nami jest jeszcze długa. Oczekujemy od strony ukraińskiej, że ona nagle się zmieni. Tymczasem to może się dokonać małymi krokami. Byłoby to o wiele łatwiejsze, gdybyśmy jako Polacy w tej sprawie mówili jednym głosem. Tymczasem jesteśmy podzieleni nawet w tak kluczowych sprawach, którymi są prawda, pamięć i godny pochówek ofiar ludobójstwa. Przez to nie stanowimy siły, która mogłaby się przebić.

Polacy na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej ginęli, dlatego że byli Polakami. Nie liczyło się ich wyznanie i poglądy. Podczas pogrzebu nad trumnami ofiar stanęli przedstawiciele różnych środowisk politycznych i społecznych. Jak ocenia pan słowa, które padły z ich ust podczas uroczystości?

Doceniam je, również za te słowa wypowiedziane na cmentarzu i za postawę modlitewną. W imieniu rodzin pomordowanych bardzo dziękuję! Szczególnie poruszająca była dla mnie rozmowa, którą odbyłem po zakończeniu uroczystości. Czekał na mnie miejscowy Ukrainiec, Iwan z Borowy, którego znałem już wcześniej. Powiedział mi znamienne słowa: „Panie Leonie, przepraszam za to, co nasi zrobili 83 lata temu". Wszystkim zaś – tak stronie polskiej, jak ukraińskiej – dedykuję słowa wielkiego polskiego poety, pochowanego na Cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie, Seweryna Goszczyńskiego, pochodzące z wiersza „Przy sadzeniu róż" z 1831 r. To przesłanie jest nadal aktualne, pomimo upływu niemal 200 lat:

Sadźmy przyjacielu róże!
Długo jeszcze, długo światu
Szumieć będą śnieżne burze
Sadźmy je przyszłemu latu!
My wygnańcy stron rodzinnych,
Może już nie ujrzem kwiatu
A więc sadźmy je dla innych
Szczęśliwszemu sadźmy światu!

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 92d46bc765

KSIĘGARNIA DO RZECZY



ZAPRASZAMY DO KSIĘGARNI DO RZECZY



KSIEGARNIADORZECZY.PL

eprasa.pl 92d46bc765

Na równoważni


FOT. TVP

Piotr Gociek

„Z kłamstwa jakaż może wyjść prawda?" – to pytanie kluczowe dla serialu „Czas niedokonany" według powieści Bronisława Wildsteina, a także dla historii rodziny, o której ona opowiada, oraz narodu i kraju

Po dwóch latach czekania na półce w TVP serial „Czas niedokonany" trafia wreszcie do widzów. Do jak wielu – oto podstawowe pytanie, bo oczywiście telewizja państwowa skrzętnie swoją spóźnioną premierę ukrywa. Na jednym z największych portali dla miłośników filmów i seriali, Filmweb.pl, przy informacji o premierze nie ma nawet graficznej miniaturki, nie mówiąc już o zarysie fabuły czy szczegółach obsady.

Łatwo wyjaśnić tę tajemnicę – branżowe portale wkładają na stronę to, co dostaną od dystrybutorów. Dystrybutorzy stają na głowie, by jak najwięcej informacji, zdjęć, szczegółów dostarczyć, bo konkurencja w telewizji i streamingu jest ogromna, trzeba walczyć o to, by ktoś twój produkt zauważył. W tym przypadku nikt nie walczy i nikt nie wysyła. Bo i po co? Dlaczego przejętej siłą przez ludzi Tuska TVP w stanie wiecznej likwidacji miałoby zależeć na rozpowszechnieniu wiadomości o premierze serialu na podstawie powieści Bronisława Wildsteina? Przecież jest on czarnym ludem, potworem, którym salony kulturalne III RP straszą dzieci, widzów oraz czytelników. Z lubością używają np. sformułowania „ofiary listy Wildsteina" (Tatiana Czerska) albo „literatura teczkowa" (Wiesław Kot) czy powieść jako „czyn partyjny" (Piotr Śliwiński).

WALKA Z POKUSAMI ZŁA

Tym kuriozalnym opiniom przeciwstawiali się inni. „Moralitet pokazujący walkę ludzi z pokusami zła i nicości, tymi pokusami, którymi tak skutecznie zwodził nas wiek dwudziesty, i które w wieku dwudziestym pierwszym wcale nie straciły swojego powabu" – pisał prof. Ryszard Legutko, gdy powieść „Czas niedokonany" ukazała się w 2011 r. „Przeszłość niczym czarny kruk krąży nad bohaterami tej książki, bo też to historia jest tytułowym czasem niedokonanym, a nasza współczesność okaże się chwilami groteskową, częściej tragiczną, tego czasu kontynuacją" – wskazywał prof. Maciej Urbanowski. Warto jego słowa zapamiętać, bo są kluczem do interpretacji „Czasu niedokonanego": historia nigdy się nie kończy, nie da się tego, co było, zamknąć na kluczyk i schować w skarbczyku; wszystko jest ze sobą powiązane, to, co dziś, wypływa z tego, co wczoraj. I historia ta domaga się, wymusza na nas, byśmy wyborów dokonywali co krok. A przecież, jak przypominał św. Augustyn „Raz wybrawszy, ciągle wybierać muszę".

eprasa.pl 92d46bc765

System dystrybucji prestiżu w III RP działa jednak inaczej i nie Legutko z Urbanowskim się w nim liczą. Opowieść straszna i śmieszna zarazem: Piotr Śliwiński, który napisał recenzję „Czasu niedokonanego" dla portalu Onet („Grzech nieodkupiony", 11 lipca 2011 r.), recenzję, dodajmy, negatywną, i tak chyba musiał się kajać przed salonami za to, że w ogóle ośmielił się książkę Wildsteina tknąć. Tak przynajmniej odczytuję (jako samokrytykę) jego tekst „Polityczna, niepartyjna" na łamach „Wielogłosu", Pisma Wydziału Polonistyki UJ, kiedy kombinował: „skoro Wildstein jest na wskroś polityczny, to czytanie Wildsteina również być musi polityczne, zaangażowane". Wywód na tym się nie kończył: „»Czas niedokonany«, jak i cała publiczna oraz literacka działalność tego autora, zdaje się do tego stopnia aktem politycznym, nastawionym na udział w najgorętszych sporach o sens przeszłości i współczesności, podporządkowanym regułom doraźnej walki partyjnej […], że zagadnienia artystyczne, kwestie literackości, okazują się nieistotne". Potem Śliwiński polityczności literatury bronił i jej autorom współczuł – że „płaci się za nią drogo […] brakiem większego uznania, a może nawet bolesną samotnością". Ale swoje współczucie rezerwował dla pisarzy takich jak Jerzy Pilch czy Zbigniew Kruszyński. Wildsteina objąć nie mógł, bo on nie „polityczny", lecz „partyjny".

Podpowiadam, by skonfrontować tezy Śliwińskiego (i jemu podobnych) z interpretacją Mateusza Matyszkowicza, której dokonał na łamach „Teologii Politycznej" („Wildstein. Pisarz świata nieprzedstawionego", 2011). Pisał on: „jeśli ktoś próbuje oceniać powieści Bronisława Wildsteina przez pryzmat jego publicystyki, to jest na złej drodze. Właściwa perspektywa jest odwrotna. To czytając publicystykę, trzeba pamiętać, jaka wizja świata jest za nią ukryta i próbuje się przebić przez gazetową formę. Żeby zaś tę wizję zrozumieć, trzeba czytać literaturę". I dalej: „literaturę zawsze przedkładać należy ponad gazetę […], zanim dotkniemy argumentacji, powinniśmy zobaczyć świat, do którego ona się odnosi". Matyszkowicz ma rację, Wildstein był pisarzem, zanim zaczął publicystyczne boje z III RP, wystarczy



Po dwóch latach czekania na półce w TVP serial „Czas niedokonany" trafia wreszcie do widzów FOT. TVP

wrócić do jego wczesnych, pierwszych książek („Jak woda", „Brat", „O zdradzie i śmierci (czyli przypisy do Plutarcha)". Tematy, które go interesowały, widać już w tych utworach.

NIE TYLKO O FABUŁĘ TU CHODZI

Oto prawda, o jakiej często zapominamy w terrorze bestsellerów, rozrywki, sztucznie kreowanych mód: literatura ma pokazywać świat. Jaki świat pokazuje Wildstein w „Czasie niedokonanym"?

Zarzuty „partyjności" i „agitacji" są absurdalne, nawet słowo „polityczność" tutaj nie pasuje. „Czas niedokonany" zarówno w wersji powieściowej, jak i serialowej, to przede wszystkim opowieść o XX w. i polskich drogach. Rodzina Broków, rodzina żydowska, w każdym pokoleniu zderza się z niszczycielską siłą historii. Zresztą innego wyjścia nie ma, taki nasz los na skrwawionych ziemiach między Berlinem a Moskwą. Baruch Brok, cadyk, to ofiara pogromu z początków stulecia. Jego syn z kolei swojemu synowi nadaje chrześcijańskie imię Benedykt, by uchronić go przed takim losem; nie zmienia to faktu, że pół wojny Benedykt spędzi ukrywany w szafie. Po wojnie najpierw będzie marzył o ucieczce z PRL, a potem zaakceptuje swoją rolę jako elementu systemu i stanie się reżimowym dziennikarzem. Na tyle znanym, że podczas stanu wojennego rozpoznają go funkcjonariusze pilnujący po nocy przestrzegania godziny milicyjnej. Na tyle wpływowym, że gdy wstawi się za swoją żoną, ta zostanie wypuszczona z aresztu.

Opowieść ma historyczne warstwy i w kolejnych odcinkach cofamy się a to do 1968 r. i wydarzeń marcowych, a to do czasów karnawału Solidarności, ale fundamentem fabularnym są współczesne dzieje rodziny Broków. Benedykt Brok wegetuje w samotności (gra go Roman Frankl, a młodszą wersję – Krystian Modzelewski). Zuzanna Brok (Agnieszka Mandat – w młodej wersji Weronika Książkiewicz), dawna opozycjonistka, wciąż jest na kontrze z systemem, teraz jako dziennikarka. Za serię artykułów o esbeckiej przeszłości niejakiego Jacka Rojka (Piotr Cyrwus) jest przez niego nękana i ostatecznie przegrywa proces. Nie wolno przypominać, że pan prezes Rojek to były ppłk SB ani że przyczynił się do śmierci młodego opozycjonisty, Tadeusza (brata Zuzanny Brok).



SERIAL TVP „CZAS NIEDOKONANY" POLSKA 2026

Od tego wszystkiego zdołał się oderwać Adam Brok (Piotr Trojan), który robi karierę w wielkiej amerykańskiej firmie, ma dwa motocykle, mieszkanie w Żaglu Libeskinda na Złotej 44 i właśnie jedzie do Rosji, negocjować kontrakt wart 3 mld dol. Wkrótce na cel weźmie go wspomniany już były esbek, który snuje skomplikowaną

eprasa.pl 92d46bc765



„Czas niedokonany" to nie jest serial dla miłośników szybkiej akcji. Wszystko tu biegnie nieśpiesznie FOT. TVP

intrygę. Jego syn Robert ma nakręcić serial o Zuzannie Brok, opierając się m.in. na esbeckiej teczce jej męża Benedykta. A także zaprzyjaźnić się z Adamem Brokiem, bo z Amerykanami warto robić interesy: mają mnóstwo pieniędzy, tymczasem najwyraźniej zagrabiona podczas transformacji ustrojowej kasa już zaczyna się panu pułkownikowi kończyć.

Kręcenie scen serialu o Zuzannie staje się bramą do przeszłości, wtedy inscenizacja zamienia się w retrospekcję, wszystko to pomysłowo zostało pokazane przez scenarzystę (jest nim Wojciech Tomczyk) oraz reżysera Dariusza Gajewskiego („Warszawa", „Legiony"). Siłą rzeczy (budżet, budżet!) pewne fragmenty książki trzeba było mocno ograniczyć, przede wszystkim sceny dotyczące wydarzeń sprzed 1945 r., dostajemy więc głównie opowieść o zakrętach polskiej historii drugiej połowy XX stulecia. Ale te mgnienia, w których cofamy się głębiej, mają w sobie wielką emocjonalną siłę: krótka scena, podczas której nad umierającym dzieckiem są odmawiane jednocześnie modlitwy żydowskie i katolickie, albo chwila, w której podczas pogrzebu Benedykta Broka niespodziewanie jego los (i szerzej – żydowski los) komentuje wielogłos cadyków.

„Czas niedokonany" to nie jest serial dla miłośników szybkiej akcji i nieprawdopodobnych jej zwrotów, wszystko tu biegnie nieśpiesznie, swoim rytmem, bo nie tylko o fabułę tu chodzi, lecz także o ludzkie decyzje, te najważniejsze, dotyczące dobra i zła. Ta mozaika elementów rozrzuconych po różnych dekadach okazuje się jednak spójna. Od tych wyborów przecież nie uciekniemy, składa się z nich całe nasze życie. Ale nasze życie nie jest tylko nasze. Bezpieczeństwo prywatności jest złudne. Jak mówił Wildstein w 2011 r. w wywiadzie dla „Rzeczpospolitej": „Rodzina nas kształtuje, ale sama jest kształtowana doświadczeniami narodowymi. »Czas niedokonany« miał być historią rodziny, tyle że ta rodzina nie miała tak dobrze jak Buddenbrookowie ze swoimi ulicami, kamienicami, całym ich światem budowanym przez pokolenia. W Polsce nie mieliśmy Buddenbrooków, mieliśmy Broków, których świat ulegał niemal bez przerwy destrukcji".

Widzę w „Czasie niedokonanym" połączenie tematów i idei konsekwentnie badanych przez Wildsteina

O tym tragizmie naszych czasów pisze z kolei celnie Wildstein w swoich późnych esejach („Bunt i afirmacja", „Wobec wojny, zarazy i nicości"). Wizja Wildsteina może się zdawać pesymistyczna, w dodatku nie daje nam łatwych happy endów. Ale nie chodzi tu o czarnowidztwo, lecz o trzeźwe spojrzenie na świat. Taki mamy i innego mieć nie będziemy, bo taka jest natura ludzka. Tym ważniejsze są nasze wybory, bo to one dyktują, czy ów świat stanie się miejscem lepszym czy gorszym.

Tragizm jest wpisany w nasz los, a my boimy się z tym konfrontować: „boimy się tragedii, a cały czas stąpamy po równoważni" – to jedno z przesłań „Czasu niedokonanego". Ta ostatnia metafora wybrzmi w finale serialu, ale jej ziarna widzimy już wcześniej, gdy w 1981 r. bohaterowie siedzą na nadmorskim pomoście, zaś jeden z nich spaceruje po balustradzie. Powracają w serialu obrazy wody – tęsknota za oczyszczeniem, za nowym początkiem, ale zstąpienie w toń nie daje wyzwolenia. Tylko prawda może dać wyzwolenie. A wody nadmorskiej rzeczki stają się wodami Lete, gdy okażą się miejscem, gdzie mordercy z SB wrzucą zwłoki zamordowanego Tadeusza.

ŚWIAT NA OPAK

Widzę w „Czasie niedokonanym" połączenie tematów i idei konsekwentnie przez Wildsteina badanych zarówno w esejach, publicystyce, jak i literaturze. Jego boje z III RP nie wynikają z tego, że ma do niej pretensje o to, że coś popsuła; odwrotnie: widzi, że ułomność wynika z grzechów popełnionych przez tych, którzy ją zakładali. Te zaś wynikają z kwestii moralnych pojętych opacznie. Ileż razy w wywiadach mówił Wildstein, że III RP jest światem na opak, w którym łotry, donosiciele, zdrajcy przedstawiani są jako ludzie honoru, a ci, którzy domagają się sprawiedliwości, zadośćuczynienia i prawdy, są piętnowani jako złoczyńcy, frustraci, ludzie pełni nienawiści.

Cofamy się więc do biblijnych Mądrości Syracha: „Z kłamstwa jakaż może wyjść prawda?" (34,4). Cytat znany i powtarzany, ale jeszcze ważniejsze jest zdanie, które go poprzedza: „Co można oczyścić rzeczą nieczystą?".

Krzysztof Masłoń, recenzując kiedyś na łamach „Do Rzeczy" powieść Jaume Cabré „Wyznaję", wielki fresk obyczajowo-historyczny, napisał: „Ostatnimi laty właściwie tylko raz zetknąłem się z powieścią o podobnych ambicjach. Był to »Czas niedokonany« Bronisława Wildsteina, epika z głębokim oddechem, przekraczająca granice lądowe i czasowe, z bohaterami reprezentującymi najważniejsze dla XX w. idee". Ośmioodcinkowy serial Tomczyka i Gajewskiego nie oddaje w pełni bogactwa powieści „Czas niedokonany", ale bez wątpienia oddaje to, co było w niej najważniejsze.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 92d46bc765



Grzegorz Kondrasiuk

Jesień w polskich teatrach



Spektakl „Król Maciuś Pierwszy" będzie można obejrzeć w TVP1 7 września o godz. 20.55 FOT. KAROLINA JÓŹWIAK/TVP

Miniony sezon teatralny stał ponoć pod znakiem szekspirowskiego „Hamleta". Czy zostanie po nim coś więcej niż pamięć o swego rodzaju konkursie na realizację tego tytułu? Przekonamy się w sezonie nadchodzącym. Interesująco, przynajmniej w zapowiedziach, wyglądają powroty Sławomira Mrożka, Stanisława Wyspiańskiego, Sarah Kane czy Janusza Korczaka. Tym razem proponuję rzut oka na wybór propozycji dramatycznych scen pozawarszawskich oraz Teatru Telewizji. Nowy sezon sceny na małym ekranie rozpoczął się realizacją korczakowskiego „Króla Maciusia Pierwszego" w reżyserii Tadeusza Kabicza, z jedną z ostatnich ról Jana Frycza. W obsadzie także Marek Kondrat, Danuta Stenka, Tomasz Kot, Borys Szyc.

Krakowski Teatr im. Juliusza Słowackiego pracuje nad premierą Agaty Dudy-Gracz, od lat układającej swój intrygujący, autorski teatr w cykle wokół dawnych mistrzów. W spektaklu „Kraków narodowej sztuce, czyli tryumf miernoty" reżyserka powraca do postaci Stanisława Wyspiańskiego i jego krakowskiej historii. Po rzadko wystawiany „Powrót Odysa" w kieleckim Teatrze Żeromskiego sięgnie natomiast Paweł Miśkiewicz (reżyseria, adaptacja). Natomiast w Narodowym Starym Teatrze w spektaklu „E:/MIGRANCI", inspirowanym „Emigrantami" Sławomira Mrożka, nastąpi ponoć odwrócenie perspektywy. Białoruski reżyser o polskich korzeniach, Mikita Iłyńczuk, proponuje – jak czytam w zapowiedzi teatru – „opowieść o potomkach dawnych emigrantów wracających do kraju, który przez lata zdążył całkowicie się zmienić". Nic natomiast nie słychać o zapowiedzianej adaptacji „Strachu" Jana Tomasza Grossa.

Katarzyna Minkowska – jedna z wyróżniających się młodszych reżyserek, z sukcesem pracująca w minionych sezonach na największych scenach – zmierzy się z „Łaknąć" Sarah Kane. To dramat ikoniczny dla teatru lat 90., z nurtu tzw. brutalizmu. Jest to też szansa na odświeżenie języka Minkowskiej, która wypracowała własną formułę teatru, godzącego nowoczesny język z wymaganiami mainstreamu. Premiera w Teatrze Jaracza w Łodzi.

Olsztyński Teatr im. Jaracza, kierowany przez Pawła Dobrowolskiego (od lat uważnie przyglądającego się reżyserom tuż przed debiutem i tuż po nim), zaprosił do realizacji m.in. Weronikę Zajkowską i Zofię Gustowską. Sezon otworzy jednak „Toń" według tekstu Ishbel Szatrawskiej w reżyserii Damiana Josefa Necia, spektakl mierzący się z historią lokalną, i – jak można się spodziewać z teatralnej eksplikacji – nie obędzie się bez polemik i rewizjonistycznych ambicji.

W repertuarze współczesnym zwraca uwagę propozycja słupskiego Nowego Teatru: czytanie performatywne sztuki „Zmęczone" Darii Sobik w reżyserii Krzysztofa Zyguckiego, pokazującej teatr z perspektywy jego administracyjnego zaplecza, której bohaterkami są niedoceniane i mobbingowane pracowniczki działów administracji, promocji oraz edukacji, oraz inny dramat tej samej autorki. Spektakl według innego dramatu tej samej autorki, „Na wieczne nieoddanie" w reżyserii Pameli Leończyk, to historia o sprzątaczkach okradających swoich bogatych pracodawców i pracodawczynie. „Gorzki i zabawny jednocześnie, wspaniale domykający refleksję o relacji sprawiedliwości i odpowiedzialności, która będzie patronować temu sezonowi" – zapowiada nowa dyrektorka słupskiej sceny, Zdenka Pszczołowska.

Natomiast na przyszły rok kielecki Teatr Żeromskiego zapowiada powstanie autorskiego przedstawienia Anny Karasińskiej, artystki osobnej i intrygującej. Powstanie ono w całości podczas prób, bez gotowego literackiego pierwowzoru, zgodnie z metodą pracy praktykowaną przez reżyserkę. I na to wydarzenie czekam najbardziej. ©℗

eprasa.pl 92d46bc765



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Ojcowie, synowie



★★★☆☆☆

REŻ. JAMES ASHCROFT
„SZEPTACZ” („THE WHISPER MAN”)
USA 2026

wyst. Adam Scott, Michelle Monaghan, Robert De Niro

Nowozelandzki reżyser James Ashcroft zbiera gratulacje: „Szeptacz” stał się błyskawicznie najchętniej oglądaną produkcją Netflixa na świecie (także w Polsce). Należą mu się też wyrazy współczucia, bo choć robi, co może, to inni ciągną tę produkcję w dół. Oto Robert De Niro jako emerytowany policjant, który w każdej scenie pokazuje, jak bardzo już mu się nie chce. Oto Adam Scott jako jego syn, chybiona decyzja obsadowa. Scenariusz oparto na powieści Alexa Northa, thrillerze, w którym zbyt wiele dzieje się tylko dlatego, że tak autorowi było wygodnie.

Jest to opowieść o pisarzu (Scott), który po śmierci żony wraca z małoletnim synem do rodzinnego miasteczka w New Jersey. W okolicy tymczasem grasuje seryjny morderca, który porywa i zabija dzieci; jego sposób działania zadziwiająco przypomina to, jak trzy dekady wcześniej zabijał osobnik o pseudonimie Szeptacz. Tyle że oryginalny Szeptacz odsiaduje dożywocie, a wsadził go tam wspomniany wcześniej policjant (De Niro).

Ashcroft jest dobrym reżyserem, słusznie chwalonym za poprzednie filmy (nowozelandzkie thrillery psychologiczne oparte na prozie Owena Marshalla). W każdym kadrze „Szeptacza” to widać: obrazy są niepokojące, narracja wizualna wciąga, montaż jest świetny. To, co ciągnie całość w dół, to oprócz wspomnianego już lenistwa De Niro także netfliksizacja scenariusza, za często postacie opowiadają o tym, co i tak wiemy. Im mniej dialogów, tym lepiej się film ogląda. À propos De Niro – najlepiej widać jego brak zaangażowania w scenach konfrontujących jego bohatera z siedzącym za kratami Szeptaczem, którego gra Michael Keaton. Widać wtedy, że Keatonowi wciąż się chce, a De Niro – już nie.

Szkoda, bo mógł to być film nie tylko popularny, lecz także dobry. Niesie w sobie niepokojące przesłanie, pytania o sedno relacji między ojcami a synami, o to, co dziedziczymy, samemu o tym nie wiedząc, i o to jak czasem bezwiednie, a niekiedy z premedytacją, pewne mechanizmy kopiujemy. Nie mam wątpliwości: dajcie Ashcroftowi dobry scenariusz, to nakręci film przerażający jak „Milczenie owiec”. „Szeptacz” to nie ta półka, ale komercyjny sukces thrillera może dać nowozelandzkiemu twórcy przepustkę do poważniejszych przedsięwzięć. ©℗

GRA TYGODNIA: „ZUS PIT NFZ. MOŻNA ZWARIOWAĆ!”

Aby wygrać z biurokracją w realnym życiu, można najpierw spróbować swoich sił w grze. Jest ona inspirowana codziennością i urzędniczymi absurdami – specjalnie przerysowanymi, aby utrudnić rozgrywkę. Choć pełna humoru, to posiada elementy walki na śmierć i życie w polskich urzędach. Gracze negocjują, kombinują, a także uciekają się do zdrady znajomych, aby tylko zwyciężyć i odnaleźć się w chaosie systemu. Losowe wydarzenia i decyzje grających pozwalają wykorzystać niemal wszystkie strategie. Wygrywa najsprytniejszy! ©℗



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★★☆

Anna Zalewska

- ***Gatunek:*** *towarzyska/imprezowa/karciana*
- ***Producent, dystrybutor:*** *Wydawnictwo Kangur*

eprasa.pl 92d46bc765

Krew i pogoda

KINO



★★★☆☆☆

REŻ. ANTHONY MARAS
„NIEBO NAD NORMANDIĄ" („PRESSURE")
USA/WIELKA BRYTANIA/ FRANCJA 2026

wyst. Andrew Scott, Brendan Fraser, Chris Messina

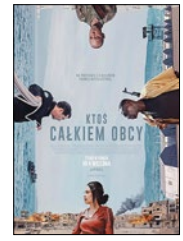
Historia ponoć prawdziwa, lecz bez wątpienia podkoloryzowana. Czas akcji: późna wiosna 1944 r. Miejsce akcji: południowa Anglia. Główny bohater: zmilitaryzowany meteorolog. James Stagg otrzymuje przydział do alianckiego sztabu, planującego inwazję na Normandię. Zaczyna się końcowe odliczanie, tymczasem Szkot neguje oparte na imponującej podstawie źródłowej optymistyczne prognozy pułkownika Kricka. Jankes to bon vivant w mundurze, chwali się znajomościami w Hollywood. Nie pomylił się w Maghrebie, czym zaskarbił sobie zaufanie zwierzchników. Jego adwersarz, choć sztywniak i pedant, ma w ręku mocniejszą kartę: wynikającą z doświadczenia wiedzę o kapryśnym klimacie północnej Europy.

Mieć rację i umieć do niej przekonać innych to dwie różne sprawy. Kasandryczne wizje Stagga dezawuuje nawet Londyńczyk Montgomery. Przyszłego marszałka przedstawiono tu jako fanfarona (którym był faktycznie) oraz narwańca twierdzącego, że zwłoka zaowocuje klęską (w rzeczywistości nieraz doprowadzał amerykańskich sojuszników do pasji swoim kunktatorstwem). „Presja" z oryginalnego tytułu odnosi się również do głównodowodzącego. Eisenhower ma zahamowania, wynikające z braku doświadczenia bojowego tudzież zaskakującej u zawodowca wrażliwości. Niestety, nie da się zrobić jajecznicy bez rozbicia jajek ani wygrać wojny bez ryzykowania życia podwładnych.

Mniemam, że stosunki panujące w armii szykującej się do największej w dziejach operacji desantowej, z premedytacją ucukrowano. Masowa publiczność chyba nigdy nie będzie gotowa na przyjęcie końskiej dawki zupactwa tudzież koszarowych dowcipów. Genezę, przebieg i następstwa D-Day wałkowano w literaturze i filmie na różne sposoby. „Wersja meteorologiczna" odznacza się solidnością, lecz nie zaimponuje fanom batalistyki ani ludziom, dla których druga wojna światowa jest obsesją. Oni wiedzą, że alianci wygrali wojnę, bo umieli spożytkować wiedzę naukowców. Mimo postępującego upadku autorytetu jajogłowych pułkownik Stagg miałby dziś ułatwione zadanie. Wystarczyłoby poinformować żołnierzy, że przy dobrej pogodzie umiera się znacznie przyjemniej. ©℗ ***Wiesław Chełminiak***

PONTONEM DO RAJU

O uchodźcach z Bliskiego Wschodu nawijają makaron na uszy polityczni harcownicy i eksperci, którym Aleppo kojarzy się bardziej z mydłem oliwnym niż z horrorem wojny domowej. Dlaczegóż więc potępiać reżyserów mających odwagę wejść na to pole minowe? Brandt Andersen wymyślił i zekranizował pięć zazębiających się epizodów z finałem na wzburzonym Morzu Śródziemnym. Historia jest wiarygodna, realizacja prawie wzorowa. Omar Sy wreszcie zagrał łobuza. Wszystko na nic. Mimo festiwalowych laurów film w kinach pojawił się tylko na chwilę. Od premiery minęły dwa lata, Europa ma coraz mniej współczucia dla imigrantów. A Ameryka – „kraina spełnionych marzeń" – jest im otwarcie wroga. ©℗



KINO

★★★★☆☆

REŻ. BRANDT ANDERSEN
„KTOŚ CAŁKIEM OBCY" („I WAS A STRANGER")
USA/TURCJA/ PALESTYNA/ JORDANIA 2024

wyst. Yasmine Al Massri, Yahya Mahayni, Omar Sy



ANNA ZALEWSKA

DO ZOBACZENIA

Kunszt i fach rzemieślników

GDZIE? ***Pałac Krzysztofory, Kraków***
KIEDY? ***do 25 października***

Rzemieślnicy w Polsce – od XIV w. zrzeszeni w cechach – byli zarówno wizytówką miast, jak i uprzywilejowaną grupą społeczną. Krakowska wystawa przedstawia ich świat od XV w. do czasów nowożytnych, prezentując rzadziej eksponowane profesje, takie jak np. nożownicy, konwisarze czy wytwórcy sztucznych kwiatów. Opisuje obrzędowość związaną z przynależnością do konkretnych



FOT. PAŁAC KRZYSZTOFORY/MUZEUM KRAKOWA

cechów, a także niespotykane dziś rekwizyty. „Zaprezentujemy »dobre obyczaje«, wilkomy, majstersztyki, obesłania, pasyjki, lady, chorągwie, a także dyplomy o przemyślanej dekoracji" – zachęcają organizatorzy. Zwiedzający zapoznają się też z trudnymi etapami rzemieślniczej kariery zawodowej – od cechu, przez naukę ucznia przez mistrza, po własny warsztat.

Czy pozostały do dziś elementy łączące dawne rzemiosło z teraźniejszym, opowiadają krakowscy rzemieślnicy. ©℗

eprasa.pl 92d46bc765



KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Zgwałcona Ochota

Anna Augustyniak, autorka recenzowanej w tym miejscu wartościowej książki „Na targu niewolników III Rzeszy”, w „Zieleniaku” zajęła się powstaniem warszawskim, ukazując jeden z jego najbardziej tragicznych epizodów – rzeź Ochoty, której symbolem stało się targowisko przy ulicy Grójeckiej, właśnie ów Zieleniak. To, co działo się za jego murem, określić można tylko jednym słowem – piekło. Przez dwa tygodnie sierpnia 1944 r. panami życia i śmierci w tym miejscu byli członkowie pomocniczej jednostki SS – pułku z brygady tzw. Rosyjskiej Wyzwoleńczej Armii Narodowej (RONA). Na Zieleniaku robili, co chcieli, a przede wszystkim chcieli kobiet.

Te, by uchronić się przed gwałtem, brudziły sobie często twarze błotem, czochrały włosy, symulowały kalectwo. Nie na wiele się to zdawało, umundurowane bydlęta nie oszczędzały nikogo – ani małych dziewczynek, ani kobiet ciężarnych czy tych, którym przyszło rodzić na Zieleniaku. Po zbiorowych gwałtach kobiety były okaleczane, niekiedy zabijane przez tych Kałmuków, inne umierały – zhańbione. Nic dziwnego, że jedna z bohaterek książki Anny Augustyniak nie chciała stosować żadnego kamuflażu, nie chciała chować się pod stertą ubrań po zabitych i mówiła: „Mogą mnie zniewolić, mogą skrzywdzić, mogą nawet zabić, ale ze strachu sama się nie upodlę. Bo […] jeśli ja sama wysmaruję się łajnem, to będzie oznaczało, że mnie złamali. I już nikt nie będzie musiał mnie gwałcić…”.

Od wybuchu powstania Ochota modliła się. Ze wszystkich domów dochodziły słowa: „Pod Twą obronę” i „Od nagłej, a niespodziewanej śmierci wybaw nas, Panie”. Dopóki



FOT. WYDAWNICTWO MARGINESY

to było możliwe, dopóty ludzie przedzierali się z piwnic, w których się kryli, do miejsc, gdzie ks. Jan Salamucha, kapelan NSZ, sprawował eucharystię. Później znaleźli się w zupełnie innej rzeczywistości Zieleniaka – bez Boga. A ks. Salamuchę, w powstaniu kapelana oddziałów obwodu IV „Ochota” Armii Krajowej, zamordowali RON-owcy 11 sierpnia.

Mieszkańcy kamienicy przy Filtrowej, o których powstańczych losach opowiada Anna Augustyniak, najpierw przenieśli się z zajmowanych lokali do piwnic, skąd już po paru dniach zostali wyrzuceni przez żołdaków w niemieckich mundurach niemówiących jednak po niemiecku. Trafili na znane im targowisko, które z dnia na dzień stało się obozem przejściowym, punktem zbornym dla wypędzonej ludności. Wiadomości o tym, że Warszawa wciąż walczy, dochodziły do nich skąpo i, z ręką na sercu, nie bardzo się nimi przejmowali. Ot, ktoś najwyżej zamyślił się nad tym, że śmierć nie oszczędza nikogo – ani poległego 4 sierpnia zamożnego właściciela gospodarstw ogrodniczych, prezesa Tadeusza Kubalskiego, ani popularnego aktora Mariusza Maszyńskiego, pamiętanego z filmu „Każdemu wolno kochać”, rozstrzelanego przez RONA 6 sierpnia z żoną i dwiema siostrami. Ważne było tylko to, by przetrwać, bez wody i jedzenia jeszcze jeden dzień, a zwłaszcza noc, zakłócaną błyskami latarek, przy których świetle podopieczni Brigadeführera Kamińskiego „z budzikiem na sznurku i pięcioma zegarkami na jednej ręce” wyszukiwali sobie kobiety. „Prawie nigdy nie byli trzeźwi”, a Warszawa zapewniła im „hulanki i swawole, o jakich nie śnili”. Dla nich – kolaborantów, w większości zdrajców i dezerterów – ziszczał się bajeczny sen, dla Polaków kończył się świat.

Na Ochocie nie dokonano eksterminacji, jak na Woli. Rozstrzeliwano mniejsze grupy ludzi, w największej egzekucji zginęło 80 osób. Ronowcy wyżywali się, gwałcąc, pijąc i grabiąc. Przerażeni ogromem zbrodni (umierających ludzi nikt nie chował, tylko trupy odrzucano pod płot) Polacy zaczęli domagać się kontaktu z dowództwem Wehrmachtu. I rzeczywiście wyglądało to tak, że „zatrzyma się jakiś oficer niemiecki, by zajrzeć na Zieleniak, popatrzeć na Polaczków, pośmiać się, jak to Polaczkom powstania się zachciało…”.

Tragiczny bilans pacyfikacji Ochoty w powstaniu warszawskim to 10 tys. zabitych i zmarłych. Co dziesiąta z tych osób poniosła śmierć na Zieleniaku. Od dwóch lat na murze przy Hali Banacha znajduje się tablica z napisem: „Pamięci kobiet i dziewczynek, które w dniach 4–20 sierpnia 1944 r. padły ofiarą gwałtów i przemocy ze strony Rosyjskiej Wyzwoleńczej Armii Narodowej (RONA) działającej w strukturach niemieckiej Waffen SS na terenie targowiska »Zieleniak«. Warszawianki i Warszawiacy”. ©℗



★★★★★★

ANNA AUGUSTYNIAK „ZIELENIAK” MARGINESY, WARSZAWA 2026

eprasa.pl 92d46bc765



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Przyjaciele i redaktorzy

Były dwie Harper Lee. Pierwsza to rezolutna dziewczynka z Alabamy, która chłonęła otaczający ją świat prowincji jak gąbka, by potem zamienić doświadczenie w powieść „Zabić drozda". I ta druga, bywalczyni nowojorskich salonów, przyjaciółka Trumana Capote'a, uwodzona przez Hollywood. Oczywiście te dwie postacie stapiają się w jedną. Tak to jest z pisarzami.

Jest też Harper Lee postacią pośmiertnie krzywdzoną – najpierw wydano jej powieść „Idź, postaw wartownika", czyli pierwszą i niezbyt udaną wersję „Zabić drozda". Teraz dostajemy groch z kapustą; zestaw ośmiu opowiadań i tyluż kawałków non fiction, które łączy ze sobą chyba tylko to, że po zapakowaniu w jeden tomik można znów zarabiać na bardzo znanym nazwisku.

„Ziemia słodkiej wieczności" to też dwie różne Harper Lee. Ta od opowiadań spotyka się z odmowami ze strony wydawców, jej krótką prozę widzimy w druku po raz pierwszy. Ta od krótkich artykułów korzysta już z uroków sławy, po sukcesie „Zabić drozda" każdy mile widział ją na swoich łamach. Dziwny to miszmasz i nierówny; są zgrabne krótkie opowiadania obyczajowe („Lornetka", „Wieża ciśnień", „Nożyczki"), są i opowiadania, które potem w zmienionej formie włączone do powieści, więc znów: próby, przymiarki. „Oglądający i oglądani" to zabawny i nieco złośliwy tekst w stylu Trumana Capote o wybrednej nowojorskiej publice kinowej.

Część non fiction jest zdecydowanie słabsza, krótkie teksty o Gregorym Pecku i Capotem są po prostu banalne (że aktor „włożył siebie w rolę", a pisarz pomagał innym „odkryć siebie"). Najbardziej wzrusza autobiograficzny szkic „Moje Boże Narodzenie". Harper Lee wspomina w nim przełomowe dla jej kariery święta. Znajomi zaskoczyli ją nietypowym bożonarodzeniowym prezentem, fundując jej roczne stypendium. Miała więc przez kolejne 12 miesięcy nie zajmować się niczym innym, jak tylko pisaniem. Owi znajomi wierzyli w talent młodej pisarki i jej przyszłą wielką karierę tak mocno, że choć do najzamożniejszych w Nowym Jorku nie należeli, bardzo chcieli ją wspomóc. Uczynili to w tym okresie, kiedy rozmaici redaktorzy odrzucali opowiadania, które dziś czytamy w „Ziemi słodkiej wieczności". Z perspektywy czasu widać, że rację mieli i jedni, i drudzy. ©℗



★★★★★★

HARPER LEE
„ZIEMIA SŁODKIEJ WIECZNOŚCI"
REBIS 2026

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Narodowe misterium, zaskakujący eksperyment formalny, intrygujące i nieukończone dzieło, w którym oczami umierającego księcia Poniatowskiego oglądamy upadek Rzeczypospolitej. Wstęp – Wojciech Kowalewski.



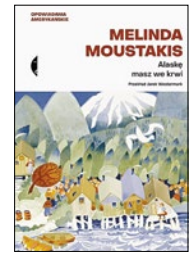
TADEUSZ MICIŃSKI
„TERMOPILE POLSKIE"
WYDAWNICTWO IX

Miało być inaczej, ale XX w. okazał się historią sojuszy, których ustaleń dotrzymywała tylko Polska. Od września 1939 r. po Jałtę, w latach 1920–1945 – czy naprawdę decyzje aliantów da się obronić jako polityczny realizm?



LESZEK PIETRZAK
„ZAKAZANA HISTORIA ALIANTÓW"
FRONDA

Dziś tak się nie pisze, pewnie dlatego opowiadania Moustakis robią tak silne wrażenie. Proza, w której jest i Jack London, i Willa Cather – ludzie w obliczu dzikiej natury muszą współpracować, by przetrwać. Jak im to wychodzi?



MELINDA MOUSTAKIS
„ALASKĘ MASZ WE KRWI"
CZARNE

Gilbert Hudleston (1874–1936) był mnichem z Downside Abbey, publikował pod zakonnym imieniem Roger. Jego opowieści niesamowite są przesiąknięte głęboką wiarą; bohaterem zebranych tu opowieści jest ojciec Philip Rivers.

recenzuje Piotr Gociek



ROGER PATER
„ZAGADKOWE GŁOSY Z OTCHŁANI"
ZYSK I S-KA

KOMIKS TYGODNIA:
HONOR SAMURAJA

To już 40. tom opowieści o Usagim, samuraju wędrującym przez Japonię przełomu XVI i XVII w. Łowy na rozbójnika łupiącego kupieckie karawany stają się okazją do rozważań nad honorem, lojalnością i duszą samuraja: czy naprawdę jest nią miecz? Gdzie przebiega granica między zwykłą walką o przetrwanie a występkiem? Sakai to mistrz, seria jest wciąż znakomita.

Piotr Gociek



STAN SAKAI
„USAGI YOJIMBO. KRUK"
EGMONT 2026

eprasa.pl 92d46bc765



Z Michaelem F. Scheuerem, byłym oficerem CIA, blogerem i autorem książek
rozmawia Michał Krupa

„Niespodziewany” atak na USA

Kłęby dymu nad Manhattanem po wbiciu się dwóch samolotów w wieże World Trade Center, 11 września 2001 r. FOT. SPENCER PLATT/GETTY IMAGES

MICHAŁ KRUPA: Pamięta pan, gdzie pan był 11 września 2001 r. i jakie były pana pierwsze myśli po ataku?

MICHAEL F. SCHEUER: 11 września pracowałem w innym biurze w centrali CIA, gdy zadzwonił do mnie znajomy z Centrum Walki z Terroryzmem i powiedział tylko: „Mike, włącz telewizor”. Włączyłem i w ciągu minuty, może dwóch, zobaczyłem, jak drugi samolot uderza w wieżę. Nie odczułem prawie nic – ani wstrząsu, ani zdziwienia. Ja i część moich oficerów od dawna wiedzieliśmy, że administracja Clintona nie ma najmniejszego zamiaru rozwiązać problemu bin Ladena, choć mieliśmy wystarczające dane wywiadowcze, żeby to zrobić i ochronić Amerykanów przed jednym z ich śmiertelnych wrogów. Ta administracja miała 10 okazji, by go zabić. Żadnej nawet nie spróbowano. Proszę pamiętać, że dzień po 11 września Clinton powiedział grupie australijskich biznesmenów, iż mógł zabić bin Ladena, kiedy tylko zechciał, ale nie chciał uchodzić za złego człowieka jak ten Saudyjczyk. Clinton oczywiście nie przeżył ani jednego dnia swojego dorosłego życia, w którym byłby lepszym człowiekiem od Osamy bin Ladena. Ogólnie rzecz biorąc, oficerowie CIA, którzy pracowali przeciwko Al-Kaidzie, wiedzieli, że 11 września albo później coś podobnego musi nadejść. Nikt w agencjach polityki zagranicznej rządu

eprasa.pl 92d46bc765

Stanów Zjednoczonych ani w służbach nie miał prawdziwego powodu, by być zaskoczony tym atakiem. Właśnie to w dużej mierze wyjaśnia, dlaczego archiwa Komisji badającej 11 września nigdy nie zostały udostępnione Amerykanom.

W latach po 9/11 stał się pan otwartym krytykiem amerykańskiej polityki zagranicznej pod rządami George'a W. Busha. Jednym z głównych wątków pańskiej krytyki było to, że Osama bin Laden uderzył w Stany Zjednoczone z zupełnie innych powodów niż te, które prezydent i główne media przedstawiały Amerykanom. Jakie to były powody?

Atak z 11 września nie wynikał z tego, co Bush, Clinton i wielu innych amerykańskich polityków, urzędników, generałów oraz większość mediów podawali za motywację bin Ladena. Była to absurdalna litania: filmy porno, prawa kobiet, demokracja, powszechne picie alkoholu itp. Niestety, ówcześni sojusznicy Ameryki – i ich media – posłusznie sprzedawali tę samą bzdurę, wmawiając swoim społeczeństwom, że nic, co robił Zachód na Bliskim Wschodzie, nie miało z atakiem nic wspólnego. Deklaracja wojny bin Ladena była konkretna i precyzyjna. Wymieniała rzeczywiste skargi, a nie tę głupią, wręcz idiotyczną listę powyżej, które wyjaśniały, dlaczego al-Kaida zaatakowała Stany Zjednoczone i dlaczego będzie to robić dalej: 1) rola, jaką USA chętnie odgrywały od 1945 r.: ochrona saudyjskiej i egipskiej tyranii oraz innych arabskich dyktatur, by mogły dalej bezpiecznie rządzić i bogacić się kosztem własnych narodów; 2) długoletnia polityka USA polegająca na naciskaniu na Saudyjczyków i innych arabskich producentów ropy, by utrzymywali wydobycie na poziomie tanich cen dla amerykańskich i zachodnich konsumentów – nawet kosztem zysków tych krajów, zwłaszcza Arabii Saudyjskiej; 3) amerykańska obecność polityczna i wojskowa w świętej ziemi islamu w Arabii Saudyjskiej oraz w wielu innych krajach muzułmańskich; 4) wsparcie USA dla państw wrogich muzułmanom: Indii, Rosji, Izraela i Chin; 5) bezwarunkowe poparcie USA dla Izraela i jego polityki zadawania śmierci w Gazie, Libanie oraz poprzez zabójstwa i zamachy w innych krajach muzułmańskich.

Jakie jest pana zdanie o izraelskim tropie 11 września? Czy Izraelczycy mogli wiedzieć, że atak nadchodzi, i nie powiadomić CIA? Historia „tańczących Izraelczyków" z 11 września jest dziś powszechnie znana i nie jest „teorią spiskową".

To, co wiem na ten temat, jest ograniczone, bo amerykańska społeczność wywiadowcza nie używa swoich znacznych możliwości analitycznych i operacyjnych do śledzenia realnego zagrożenia, jakie Izrael od dawna stanowi dla Stanów Zjednoczonych. Z FBI jest najwyraźniej tak samo. Z własnego doświadczenia wiem natomiast, że i CIA, i Biały Dom – a pewnie też inne agencje, w tym FBI – na izraelski rozkaz „skacz" zawsze pytają: „Jak wysoko?". Oprócz historii o „tancerzach" krążyły też relacje o rzekomych izraelskich studentach sztuki, którzy tuż przed 11 września jeździli po Wschodnim Wybrzeżu USA i bacznie przyglądali się napotkanym obiektom wojskowym. Przez cały czas, gdy kierowałem w CIA operacjami przeciw bin Ladenowi, Izrael nie przekazał nam o nim ani o jego organizacji żadnych informacji wywiadowczych – poza jednym raportem. Ten raport sugerował, że kilka osób jest w niebezpieczeństwie. Poprosiliśmy Izrael o zgodę na wykorzystanie tych danych. Izraelczycy odmówili. Użyliśmy ich mimo to i zapobiegliśmy zamachowi. Warto dodać, że w tamtym czasie Saudyjczycy mieli nad CIA niemal taką samą kontrolę jak Izrael. Zaraz po atakach z 11 września poprosiliśmy szefa placówki CIA w Rijadzie, Johna Brennana (późniejszego szefa CIA), by uzyskał od Saudyjczyków proste dane o Osamie bin Ladenie: majątek, wykształcenie, doświadczenie zawodowe, znajomych itd. Z Rijadu nie przyszła żadna odpowiedź, więc ponawialiśmy prośbę kilka razy. W końcu Brennan odpisał, że nie zamierza o to pytać, bo nasze zainteresowanie bin Ladenem irytuje Saudyjczyków. Przełożeni przedstawili tę niedorzeczną sytuację ówczesnemu dyrektorowi CIA, George'owi Tenetowi. Tenet stanął po stronie naszego szefa w Rijadzie i prośby do Saudyjczyków nigdy nie skierowano.

Czy 25 lat po 11 września wyobrażałeś sobie, że będziesz czytał takie nagłówki, które niedawno pojawiły się w mediach? „Zdesperowani marynarze z USS »Abraham Lincoln« próbowali skakać za burtę podczas przedłużonego rejsu na Bliskim Wschodzie – twierdzą ich rodziny". Co to mówi o kierunku amerykańskiej polityki zagranicznej od czasu zamachu Al-Kaidy?

Stany Zjednoczone od 1945 r. prowadzą politykę zagraniczną zwaną interwencjonizmem. Pędzą nią prosto do piekła. W praktyce prezydentów USA oznacza to, że Ameryka zastrzega sobie prawo do wojny z każdym państwem, któremu coś zarzuci, a dokładniej: z każdym przywódcą, którego nienawidzi. A takich od czasu kapitulacji cesarskiej Japonii było wielu. W istocie Ameryka nie ma już prezydentów. Ma wszechwładnych watażków wojennych, przede wszystkim dlatego, że Kongres niekonstytucyjnie scedował swoją wyłączną prawną kompetencję do wypowiadania wojny na każdego kolejnego prezydenta. Dla amerykańskich ojców założycieli interwencjonizm był drogą prosto do zguby

Silna polityka nieinterwencji i neutralności była znakiem rozpoznawczym USA aż do wojny amerykańsko-hiszpańskiej prezydenta McKinleya (1898) i do momentu, gdy megalomański anglofil Woodrow Wilson wciągnął Amerykę do pierwszej wojny światowej (1917). Franklin Roosevelt ostatecznie dobił amerykańską neutralność i nieinterwencjonizm. Od śmierci tego gangstera Stany Zjednoczone prowadzą po całym świecie dziesiątki zbędnych i niekonstytucyjnych wojen i każdą z nich przegrywają. Czy zaskakuje mnie słaba postawa amerykańskiego wojska wobec Iranu? Ani trochę. Jak mówiłem: od 1945 r. nie wygraliśmy żadnej wojny. Pokonali nas Al-Kaida i bojownicy mułły Omara, wyrzucili Ho Chi Minh i gen. Giáp. Zniszczyliśmy Libię, bo nie lubiliśmy Kaddafiego. Doszczętnie zrujnowaliśmy Syrię, bo Izrael nienawidził al-Asada. Iran może nas wkrótce pokonać, bo prowadzi wojnę lepiej i skuteczniej niż USA i Izrael

Jakość irańskiej odpowiedzi na atak sugeruje zresztą, że nasza społeczność wywiadowcza nie miała aktualnej wiedzy o irańskim wojsku, zwłaszcza o jego zaawansowanych pociskach. Wygląda też na to, że Waszyngton i Izrael bezczelnie i wbrew historii kłamali, jakoby Irańczycy byli gotowi przyjąć okupację chrześcijan i Żydów, byle tylko pozbyć się reżimu mułłów. W tym właśnie tkwi problem zbędnych wojen interwencyjnych: nie ma dla nich wiarygodnego powodu, więc trzeba okłamać własne społeczeństwo, by poparło sprawy przegrane, jeszcze zanim się zaczną. Jeśli chodzi o nieszczęsne doświadczenia amerykańskich marynarzy, podejrzewam, że część problemu

eprasa.pl 92d46bc765

leży w tym, że Pentagon nigdy nie został poddany porządnemu audytowi. Nie ma więc powodu sądzić, że jest mniej skorumpowany niż wiele innych amerykańskich instytucji. Bo jak to możliwe, że Pentagonowi nie starczyło pieniędzy ani na amunicję w zapasie, a powinno być jej więcej niż dość, ani nawet na to, by szeregowi marynarze byli najedzeni, ubrani, uzbrojeni i mogli zachować elementarną czystość?

Czy można jeszcze powiedzieć, że Al-Kaida jest zagrożeniem czy organizacja Osamy bin Ladena przeobraziła się w coś znacznie subtelniejszego i groźniejszego?

Przyznam, że na to nie mam pełnej odpowiedzi. Prace analityczne nad bin Ladenem i Al-Kaidą wyglądają dziś na skąpe, poza tym, że wiemy, iż były członek Al-Kaidy został przywódcą Syrii dzięki Stanom Zjednoczonym i Izraelowi. Nie sądzę, by organizacja Bin Ladena rozpadła się po jego śmierci. Nie sądzę też, by muzułmanie zapomnieli, kim był: jego postawę, elokwencję w mówieniu o chwale islamu, o obowiązkach, jakie ludy muzułmańskie mają wobec Allaha, zwłaszcza o obowiązku walki ze Stanami Zjednoczonymi, zniszczenia Izraela i tego, co nazywał antyislamskimi arabskimi tyraniami, przede wszystkim Arabii Saudyjskiej, ani jego własnego przykładu obrońcy islamu, który choć był multimilionerem, naprawdę narażał życie jako mudżahedin w obronie wiary w dwóch wojnach. W świecie sunnickim zapamiętają też jego natchnioną, elokwentną arabską mowę. Jaki jest dziś dokładny stan Al-Kaidy, nie wiem. Jeśli nadal istnieje, a podejrzewam, że tak, to nie ma powodu wątpić, że sprawnie wykorzystała idiotyzm Bidena i przywódców Europy Zachodniej, którzy otworzyli granice, i wprowadziła bojowników, częściowo z rodzinami, do Stanów Zjednoczonych i na teren UE. Podejrzewam, że to samo zrobiły inne sunnickie grupy terrorystyczne. Iran pewnie również, choć na razie pomocy bojowników poza swoim terytorium najwyraźniej nie potrzebuje. Europa bez wątpienia też zapłaci cenę za nieograniczoną imigrację muzułmańską – i poczuje jej ból.

Napisał pan fascynującą i przenikliwą biografię Osamy bin Ladena. Główny wniosek wydaje się taki: Amerykanie kompletnie nie docenili wroga, robiąc z niego medialną karykaturę. Co sprawiło, że Bin Laden był skutecznym przywódcą militarnym, który odcisnął piętno na historii islamu i Zachodu?

Bin Laden był człowiekiem wyjątkowym w dawnym znaczeniu tego, kim mężczyzna miał być. Urodził się w bogactwie, ale wspinał się po szczeblach firmy ojca i zaskarbił sobie szacunek zwykłych robotników. Gdy islamowi w Afganistanie zagroziła Armia Czerwona, pojechał wspierać afgańskich mudżahedinów, nie jako bogaty wielmoża z Arabii Saudyjskiej, lecz najpierw jako zwykły piechur, który regularnie okazywał odwagę na polu walki. Po wojnie afgańskiej dalej budował organizację przeciwko tym, których uważał za największych niemuzułmańskich wrogów islamu, czyli Izraelowi i Stanom Zjednoczonym, oraz przeciwko największemu islamskiemu wrogowi sunnitów: saudyjskiej rodzinie królewskiej. Organizacja rosła w siłę, umacniała się, rozprzestrzeniała i trenowała nowych rekrutów.

Amerykanie kompletnie nie docenili bin Ladena, robiąc z niego medialną karykaturę

On sam w tym czasie pracował nad swoją retoryką, studiował muzułmańskie pisma i historię, zaczął przemawiać przez radio. Publikował też artykuły i udzielał wywiadów, w których wykładał swoje myśli, plany, cele ostateczne i pogląd na sprawy międzynarodowe, o tym, jaką rolę odgrywa islam i jak traktuje go Zachód. W sierpniu 1996 r. Bin Laden, niemal jak europejski przywódca XIX w., który w przededniu wielkiej wojny tłumaczy narodowi, dlaczego trzeba walczyć, wypowiedział Stanom Zjednoczonym wojnę w jasnej, dobrze zbudowanej mowie. Przedstawił w niej problem USA – Izrael – islam tak, jak go widział, i stwierdził, że Ameryka i Izrael zostawiły muzułmanom tylko jedną drogę: wojnę do końca. Historia lubi ironię: dziś to szyicki Iran, a nie sunniccy mudżahedini, zdaje się być siłą, która może zniszczyć Izrael, pokonać Amerykę i obalić sunnickie tyranie.

Czy uważa pan, że Stany Zjednoczone są dziś lepiej przygotowane, by zapobiec kolejnemu zamachowi o skali z 11 września?

Zdecydowanie nie. Nie tylko dlatego, że dały islamistom łatwą szansę, by zadomowić się w całym kraju poprzez otwarte granice. Prezydenci współpracowali też ściśle z Izraelem, jego lobby w Kongresie i żydowsko-amerykańskimi miliarderami, którzy głęboko nasączają amerykańską politykę proizraelską orientacją. Ta zaś gwarantuje, że USA będą dalej bić militarnie muzułmanów, niszczyć ich kraje i interesy – w Syrii, Nigerii, Libanie, a teraz w Iranie. Równie konsekwentnie rząd i Kongres – faktycznie pod izraelską kuratelą – toczą wojnę z każdym muzułmaninem, którego ogłoszono zagrożeniem dla projektu Wielkiego Izraela.

Istnieje niewielka szansa, że dotychczasowa katastrofa militarna USA w Iranie oraz 81-letni bilans przegranych wojen obudzą wśród Amerykanów z rozsądkiem i odrobiną patriotyzmu ruch na rzecz przywrócenia nieinterwencji i neutralności jako osi polityki zagranicznej. Szanse na to są jednak nikłe.

Dopóki tego nie będzie, dopóty głupotą byłoby sądzić, że Amerykanie są bezpieczniejsi niż 11 września. Przeciwnie: zaprosiliśmy wroga do domu i jeszcze płacimy mu zasiłki jako „ubogim imigrantom".

Na koniec warto dodać, że Amerykę trawi zdradziecka klasa rządząca: nie zna historii republiki i nie interesuje się historią ani kulturą innych państw, zwłaszcza muzułmańskich. Dowód widać w tym, jak zaplanowano i prowadzono zbędną wojnę z Iranem. Nic nie wskazuje, by ktokolwiek w Ameryce sięgnął po wiedzę o irańskiej historii, kulturze, wierze czy charakterze narodowym. Nie mieli więc pojęcia, jak Irańczycy zareagują na inwazję. Amerykanie uczą się teraz krwią, prestiżem i pieniędzmi, ile kosztuje ignorancja i zapaść nauczania historii – w szkołach, na uczelniach i w akademiach wojskowych.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



Michael F. Scheuer *– amerykański były oficer CIA, komentator i były adiunkt w Centrum Studiów nad Pokojem i Bezpieczeństwem Uniwersytetu Georgetown.*

eprasa.pl 92d46bc765



Abigail Favale przez kilkanaście lat zajmowała się gender studies na amerykańskich i szkockich uniwersytetach. W książce „Zderzenie. Gender kontra chrześcijańskie spojrzenie na płeć" śledzi genealogię pojęcia gender, mającego początki w feminizmie i myśli postmodernistycznej, i pokazuje, jak przekształciło ono język, prawo, medycynę, seksualność oraz nasze postrzeganie samych siebie. Analizę łączy z doświadczeniem osobistym: przez lata sama wykładała teorię gender jako feministka i postmodernistka, a rozłożyła ją na części dopiero po nawróceniu na katolicyzm.

FOT. MCGRATH INSTITUTE FOR CHURCH LIFE/YOUTUBE



Z Abigail Favale, autorką książki „Zderzenie. Gender kontra chrześcijańskie spojrzenie na płeć"
rozmawia Olivier Bault

Trzymajcie się od tych idei z daleka

OLIVIER BAULT: Teoria gender głosi, że płeć człowieka jest jedynie „przypisywana przy urodzeniu", a jednocześnie traktuje orientację seksualną jako wrodzoną. Ale jeśli płeć jest tylko konstruktem, to ku czemu właściwie miałaby być skierowana ta orientacja?

ABIGAIL FAVALE: Uważam, że odsłania to rzeczywistą sprzeczność w tym, jak ta szkoła myślenia traktuje seksualność i gender, i nigdy nie usłyszałam na to zadowalającej odpowiedzi. Jak można mieć wrodzoną orientację ku danej płci, jeśli sama płeć jest wyłącznie konstruktem? To po prostu nie ma sensu. Moje najlepsze wyjaśnienie jest takie, że idee te ukształtowała raczej działalność polityczna niż jakakolwiek spójna filozofia. Ruch na rzecz „małżeństw" jednopłciowych musiał przedstawiać orientację jako coś, z czym się rodzimy i czego nie wybieramy. Ruch „trans" potrzebuje opowieści dokładnie odwrotnej – że tym, kim jesteś, jest to, co czujesz – tak aby nikt nie mógł podważać tożsamości deklarowanej przez Ciebie. Napędza to wszystko opowieść najlepiej sprawdzająca się politycznie, a nie jakakolwiek głębsza spójność między tymi dwoma twierdzeniami. Tak to sobie tłumaczę.

To dawne podejście komunistyczne: jeśli ideologia nie zgadza się z rzeczywistością, to tym gorzej dla rzeczywistości.

Jeśli kryje się pod tym jakaś spójność filozoficzna, to właśnie ta: twierdzenie, że nie ma czegoś takiego jak rzeczywistość, są tylko konstrukty, a więc należy posługiwać się tą opowieścią, która działa najlepiej. Takie rozumienie rzeczywistości znajdziemy w teoriach Judith Butler i Michela Foucaulta – że tym, co tworzy to, co postrzegamy jako rzeczywiste, jest władza. Odpowiadając więc na pierwsze pytanie: można powiedzieć, że jakaś spójność jednak się pod tym kryje – przekonanie, że spójność sama w sobie nie ma znaczenia, bo nie istnieje rzeczywistość, z którą trzeba by być spójnym.

Nie jest pani krytykiem z zewnątrz. Przez wiele lat wykładała pani gender studies.

Zaczęłam z gender studies już na pierwszym etapie studiów i kontynuowałam je na studiach magisterskich i doktoranckich, więc intensywnie zajmowałam się tym znacznie dłużej niż dekadę, a od 2010 r. do 2016 r. wykładałam to z perspektywy teorii gender. W pewnym sensie nadal tego uczę, tylko teraz z perspektywy katolickiej. Więc tak – przez wiele lat wykładałam gender studies.

eprasa.pl 92d46bc765

Teraz wykłada to pani z perspektywy katolickiej, obnażając niespójność tej teorii. „Zderzenie" otwiera pani opisem momentu, w którym przestała pani wierzyć w teorię, której nauczała. Czy wcześniej nie miała pani żadnych wątpliwości?

W moim okresie feministycznym zajmowałam się przede wszystkim francuską teorią feministyczną – nade wszystko Luce Irigaray i Hélène Cixous. Ten nurt teorii feministycznej często oskarża się o esencjalizm, ponieważ poważnie traktuje różnicę płciową, a ja właśnie do niego należałam. Nawet w moich najbardziej postmodernistycznych momentach naprawdę wierzyłam, że różnica płciowa jest realna i że ma znaczenie. Jednocześnie chłonęłam wszystkie te idee, według których nasze rozumienie różnicy płciowej jest społecznie skonstruowane, a jednak nigdy nie utraciłam całkiem poczucia, że pod tym wszystkim leży jakaś rzeczywistość. Uważałam natomiast, że nie mamy do niej realnego dostępu – że wszystko, czym możemy się posługiwać, to konstrukty społeczne i językowe, że żyjemy wewnątrz językowej bańki, odcięci od tego, co rzeczywiste. Szczerze mówiąc, rzadko w ogóle myślałam na tym poziomie. Idzie się na studia magisterskie czy doktoranckie i uczy się tam metody: oto teksty, które się czyta, a oto sposób, w jaki używa się ich do interpretowania innych tekstów i zjawisk społecznych. Nikt nigdy tak naprawdę nie zachęca do namysłu nad założeniami co do tego, co jest rzeczywiste. Czy przyjmujemy te twierdzenia? Czy naprawdę w to wierzymy? Nigdy mnie o to nie pytano, nigdy nie zachęcono mnie do takiej refleksji. Nauczono mnie po prostu metody, a ja ją przyswoiłam.

Czytając pani książkę, uderzyło mnie to, jak inaczej myślą dziś młodzi Amerykanie niż uczniowie, których spotkałem, spędzając rok w liceum w Iowa niemal 38 lat temu. Niedawno słyszałem dyskusję o tym, jak żeńska liga koszykówki WNBA nie potrafi zdefiniować, co to znaczy być kobietą, i dlatego pozwala mężczyznom grać jako kobiety. Czy idee, które pani opisuje, są dziś w amerykańskim społeczeństwie powszechne czy też ich obecność ogranicza się głównie do środowiska studentów gender studies?

Używam w książce wyrażenia „skapująca teoria gender". Mamy te wyrafinowane teorie akademickie, a potem sposób, w jaki idee te przekładają się na szersze społeczeństwo. Przeciętny student chodzi na zajęcia z gender studies, część z tego przyswaja, potem idzie do pracy w dziale zasobów ludzkich i wnosi tam ten język. To jedna z dróg, którymi te idee skapują w dół. No i mamy po prostu media społecznościowe, przez które te idee jeszcze mocniej przenikają. Kwestie te zostały do tego stopnia upolitycznione, że ludzie przyjmują te idee często na podstawie swoich sympatii politycznych. Weźmy wspomnianą WNBA: widz o poglądach bardziej liberalnych przyjął po prostu, że kobietą jest każdy, kto się jako kobieta identyfikuje – bo taką opowieść dobry liberał ma obowiązek przyjąć. A jednak wielu ludzi przyjmuje ją tylko do momentu, w którym w grę wchodzi sport. W Ameryce sport naprawdę się liczy i to właśnie ta sprawa, mówiąc szczerze, ponownie nastawiła ludzi na rzeczywistość, bo kiedy patrzy się, jak mężczyzna rywalizuje z kobietą, rzeczywistość dymorfizmu płciowego jest widoczna gołym okiem.

Kiedy oddzieli się bycie kobietą od posiadania żeńskiego ciała, które nosi w sobie potencjał macierzyństwa, i uczyni się z tego kwestię upodobania do sukienek czy pewnych zajęć albo posiadania określonych cech osobowości uważanych za właściwe kobietom, przesuwa się definicję kobiecości dokładnie tam, przeciw czemu występowały feministki. Zatoczyliśmy pełne koło

Wydaje mi się jednak, że komentatorzy konserwatywni, katoliccy i ewangelikalni – a nawet pani sama – częściowo to przyswoili. Słyszę, jak nazywa pani mężczyzn „transkobietami", tak jakby ci mężczyźni byli nowym rodzajem kobiet, i pisze pani o „kobietach biologicznych" oraz „mężczyznach biologicznych", choć ja nie znam żadnej niebiologicznej kobiety ani niebiologicznego mężczyzny. Czy ten język nie jest już kapitulacją przed ideologami? Ludzie myślą językiem, więc jeśli używają języka ideologii gender, to zaczynają myśleć, że mężczyzna naprawdę może być niebiologiczną kobietą.

To właśnie postmoderniści uchwycili trafnie: język, którym się posługujemy, ma głęboką zdolność kształtowania tego, jak rozumiemy rzeczywistość, więc całkowicie się z panem zgadzam, że musimy być ostrożni z językiem, którym się posługujemy. Kłopot polega na tym, że język w tej sprawie jest już tak zagmatwany, iż nieustannie zastanawiam się, jak używać słów w sposób, który zostanie faktycznie zrozumiany. Jeśli powiem po prostu „transmężczyzna", to większość ludzi założy, że mam na myśli kobietę. Dlatego w książce wybrałam wyrażenie „mężczyzna identyfikujący się transpłciowo", żeby zaznaczyć, że mówię o człowieku płci męskiej, który identyfikuje się jako trans – czyli o kimś, kogo większość ludzi nazwałaby „transkobietą". Kiedy rozmawiam z kimś spontanicznie, nie zawsze jestem tak ostrożna w terminologii, ale kiedy piszę, naprawdę dogłębnie to przemyślam. Poruszanie się w tym jest naprawdę trudne, bo wokół tych słów jest dziś tyle dwuznaczności.

W „Zderzeniu" opisuje pani cztery fale feminizmu, przy czym późniejsze fale przechodzą od obrony kobiet do ich negacji – do twierdzenia, że nie ma czegoś takiego jak mężczyźni i kobiety, że można być kimkolwiek się chce, bo męskość i kobiecość są konstruktami społecznymi, a biologia szczegółem drugorzędnym. Jak mogło do tego dojść?

To jedna z głównych historii, które opowiadam w książce. Doszło do rewolucji pojęciowej, a ja wywodzę ją od Simone de Beauvoir, która wprowadza rozróżnienie stające się bardzo ważne w myśli feministycznej – nie w pierwszej fali, walczącej o prawa kobiet i prawo głosu w wyborach, ale w drugiej fali, po drugiej wojnie światowej. Chodzi o rozróżnienie między płcią biologiczną (sex) a kulturową (gender). „Gender" to termin zapożyczony z lingwistyki, aby nazwać kulturowe wyobrażenia, które wiążemy z płciami. To prawda, że istnieją kulturowe sposoby wyrażania różnicy płciowej, które nie są stricte biologiczne, więc można tu przeprowadzić pożyteczne rozróżnienie. Jednak posłużenie się dwoma odrębnymi terminami, a następnie mocne obstawanie przy tym, że są całkowicie różne i całkowi-

eprasa.pl 92d46bc765

cie rozdzielne – a to właśnie zrobiła teoria feministyczna – wbiło klin między „kobiecość" a „żeńskość". Dekady później jedno i drugie zaczyna być postrzegane jako czysty konstrukt, puste słowa albo tożsamości, które można sobie przypisać i w nie wejść. Zalążek tego, gdzie feminizm zszedł na złą drogę, leży w tym rozdzieleniu płci biologicznej i kulturowej: to, co zaczęło się jako rozróżnienie, stało się otwartym rozdzieleniem. Taka jest, w największym skrócie, ta historia, choć w książce opowiadam ją znacznie szerzej.

I rozróżnienie to powstało pierwotnie w języku angielskim – jest w istocie eksportem ze świata anglosaskiego, co uważam za fascynujące. W większości języków nie ma własnego terminu takiego jak „gender"; zwykle nieco odmienną wersję tego słowa trzeba do języka zaimportować razem z pojęciem. Jest ono obce niemal każdemu innemu językowi: to ideologiczny i językowy eksport z angielskiego.

Nowym odkryciem był dla mnie także związek, który pani wskazuje między antykoncepcją chemiczną a leczeniem hormonalnym, na które niektórzy rodzice pozwalają dziś lekarzom u swoich dzieci. Dla większości rodziców jest niewyobrażalne, że ktoś godzi się na blokery dojrzewania i hormony płci przeciwnej dla własnego dziecka, a jednak – jak pani zauważa – rodzice od dziesięcioleci pozwalają swoim córkom przyjmować podobne hormony w celach antykoncepcyjnych.

Obok rewolucji pojęciowej, o której tu rozmawiamy, zaszła istotnie rewolucja technologiczna. Zdolność manipulowania hormonami – a więc obchodzenia normalnego funkcjonowania ludzkiego ciała – rozwinęła się w XX w. dokładnie w tym samym momencie co owa zmiana pojęciowa, a ja przekonuję w książce, że jedno z drugim jest splecione: jedno naprawdę nie mogłoby się wydarzyć bez drugiego. Jedną z rzeczy, które odkryłam, pracując nad książką, jest to, że ta sama technologia, która dała hormonalną pigułkę antykoncepcyjną, stoi za stosowaniem hormonów płci przeciwnej w celu maskulinizacji lub feminizacji ciała. Możliwość syntetycznego wytwarzania lub imitowania naszych naturalnych hormonów płciowych, a przez to manipulowania ciałem, jest wspólną podstawą i antykoncepcji hormonalnej, i hormonów płci przeciwnej. Nagle nadszedł moment, w którym mogliśmy ingerować w ludzką naturę w sposób wcześniej niemożliwy.

Uderzające jest to, że po stronie antykoncepcji zostało to całkowicie znormalizowane. Kryje się pod tym przekonanie, że medycyna nie służy już pomaganiu ludzkiemu ciału w działaniu tak, jak zostało zaprojektowane, lecz manipulowaniu nim, aby robiło to, czego chcemy. Bo oczywiście antykoncepcja hormonalna w rzeczywistości zakłóca pracę kobiecego ciała; sprawia, że działa ono wadliwie – a dokładnie to samo robią owe interwencje służące tzw. tranzycji płciowej. Zakłócają one normalne hormony ciała męskiego lub żeńskiego, aby walczyć z ludzką naturą i uzyskać jakiś pożądany efekt. Medycynę pojmujemy więc dziś znacznie bardziej jako manipulowanie ludzką naturą niż jako jej przywracanie.

Wyjaśnia pani również, jak oddzielenie aktu płciowego od prokreacji zmieniło sposób, w jaki patrzymy na kobiety.

Rzeczywiście przekonuję w książce, że przyjęcie antykoncepcji zmieniło naszą kulturową wyobraźnię co do tego, co znaczy być kobietą albo mężczyzną. Myślimy dziś o „mężczyźnie" i „kobiecie" jako o kategoriach całkowicie oderwanych od potencjału macierzyństwa czy ojcostwa, a sprowadzonych do tego, co zewnętrzne – jak się ubierasz, co lubisz robić itd. Jeśli bycie mężczyzną albo kobietą oznacza po prostu wyglądanie jak jedno z nich, to stają się one tożsamościami, w które można po prostu wejść. Ale jeśli myślimy o mężczyźnie i kobiecie zasadniczo w kategoriach ciała o potencjale ojcostwa albo ciała o potencjale macierzyństwa, to są to rzeczywistości, których nie można zmienić.

Koło się więc zamyka. Pierwsze feministki walczyły ze stereotypami, przez które kobiety widziano jako różne od mężczyzn i często od nich gorsze. A dziś, w ramach teorii gender, jeśli zmienia się swój „gender", to robi się to właśnie przez odtwarzanie tych stereotypów – i to stereotypy stały się jedyną rzeczą definiującą bycie mężczyzną albo kobietą.

Właśnie w tym tkwi ironia. Kiedy oddzieli się bycie kobietą od posiadania żeńskiego ciała, które nosi w sobie potencjał macierzyństwa, i uczyni się z tego kwestię upodobania do sukienek czy pewnych zajęć albo posiadania określonych cech osobowości uważanych za właściwe kobietom, przesuwa się definicję kobiecości dokładnie tam, przeciw czemu występowały feministki. Zatoczyliśmy pełne koło. Jesteśmy dziś tak oderwani od rzeczywistości ciała, że pozostały nam wyłącznie stereotypy – i to one stały się podstawą tego, co znaczy być mężczyzną albo kobietą.

„Zderzenie" napisała pani z perspektywy chrześcijańskiej, ale czyta się je jak wywód oparty na rzeczywistości. Czy sądzi pani, że może przemówić także do niewierzących?

Tak, sądzę, że może. Zgłaszali się do mnie zresztą czytelnicy niechrześcijańscy, mówiąc, że naprawdę docenili w niej pewne rzeczy, nawet jeśli nie przyjmują pełnej chrześcijańskiej wizji metafizycznej, którą przedstawiam jako kontrpropozycję. Już sama analiza tej pojęciowej i technologicznej rewolucji gender, która przeszła przez świat zachodni w ostatnim stuleciu – czytelnicy uznawali ją za bardzo pomocną, nawet jeśli nie w pełni podzielali chrześcijańską alternatywę, którą proponuję.

Jakie byłoby pani przesłanie do polskich czytelników?

Nie traćcie kontaktu z rzeczywistością – z rzeczywistością i godnością ciała. Te słowa i pojęcia nie są tak naprawdę wasze; zostały wyeksportowane z mojej kultury, przy pewnej pomocy innych, takich jak francuscy intelektualiści, ale przede wszystkim przeniknęły do innych społeczeństw za pośrednictwem świata anglojęzycznego. Powiedziałabym po prostu: zachowajcie własne rozumienie i własne dziedzictwo dotyczące tego, co oznacza bycie mężczyzną i kobietą, zamiast przyjmować idee, które wyniszczają kulturę mojego kraju i które – mam nadzieję – wypalają się już stopniowo. W tych ideach nie ma niczego, co mogłoby przynosić owoce. Są one bardzo, bardzo jałowe. Dlatego warto trzymać się od nich z daleka.

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone



Abigail Favale, „Zderzenie. Gender kontra chrześcijańskie spojrzenie na płeć", Instytut Ordo Iuris 2026

eprasa.pl 92d46bc765

Amerykański protektor przestaje chronić



Krystian Kamiński

Stany Zjednoczone osłabły na tyle, że starają się wygaszać konflikty, których nie uznają za decydujące, i normalizować relacje z antagonistami, których nie postrzegają jako zagrożenia dla swojej pozycji mocarstwowej



Donald Trump wizytujący amerykańską bazę wojskową w Maryland, sierpień 2026 r.
FOT. KYLIE COOPER/REUTERS/FORUM

Dwa wydarzenia w dwóch regionach świata, które w hierarchii priorytetów administracji Donalda Trumpa znajdują się wyżej niż Europa Wschodnia, pokazują skalę przebudowy amerykańskiej polityki zagranicznej i bezpieczeństwa. W czasie swojej drugiej kadencji Trump zdołał odsunąć od wpływu na państwo starą elitę imperialną, trzymającą się dotychczasowej polityki hegemonii. Polityki, do której prowadzenia Stanom Zjednoczonym coraz bardziej brakowało już siły. Oba wydarzenia mają wielkie znaczenie dla Polski.

Jak podał 15 sierpnia „The Washington Post", powołując się na źródła w regionie, Arabia Saudyjska, Zjednoczone Emiraty Arabskie, Katar, Kuwejt i Bahrajn są coraz bardziej niezadowolone z wojny rozpętanej przez USA. Doszło do tego, że w niektórych z tych państw elity zaczęły poważnie kwestionować sens utrzymywania na swoim terytorium dużych amerykańskich baz wojskowych. Zamiast stanowić gwarancję bezpieczeństwa, w toku wojny stały się celem skutecznego odwetu Iranu. Ta „konieczność jest kwestionowana" – podało jedno ze źródeł. „Trump rozpoczął tę wojnę – stwierdził jeden z urzędników z Zatoki Perskiej – a my płacimy za to cenę". Arabskie elity zaczynają mówić o niestałości polityki administracji Donalda Trumpa, ale też szerzej – o słabnięciu wiarygodności amerykańskiego odstraszania i topnieniu przewagi militarnej USA w regionie. Jako przykład dywersyfikacji polityki bezpieczeństwa państw Zatoki „The Washington Post" wskazał podpisaną niedawno umowę o wzajemnych gwarancjach między Arabią Saudyjską, Turcją i Pakistanem. Wysoki rangą urzędnik europejski określił ją jako „sygnał dla Stanów Zjednoczonych".

KONIEC BEZPIECZNEGO ZAPLECZA

To epokowa zmiana, ponieważ wszystkie monarchie arabskie Zatoki Perskiej to protektoraty USA. Powstały w dużej mierze jako element systemu kolonialnego Wielkiej Brytanii. To pustynne państwa, w większości pozbawione naturalnych granic geograficznych, w których poszczególne klany przechwyciły, nie bez obcej pomocy, władzę. Poza Arabią Saudyjską są niewielkie terytorialnie i demograficznie, a ich gospodarki opierają się na bezwzględnej eksploatacji imigranckiej siły roboczej z biednych państw Azji oraz eksporcie ropy i gazu ziemnego. Imigranci stanowią blisko połowę ich mieszkańców, a w niektórych z nich zdecydowaną większość. Państwa te są zarazem pozbawione własnej bazy żywnościowej, a cała ta struktura czyni je krytycznie uzależnionymi od masowego handlu morskiego. Dlatego właśnie mogły powstać i funkcjonować jako elementy systemu kolonialnego Londynu, a następnie trwać i rozwijać się jako domeny rodów pod protektoratem Waszyngtonu – supermocarstwa morskiego.

Dla USA państwa te były ważne z dwóch powodów. Po pierwsze, jako bezpieczne zaplecze militarne, z którego można było prowadzić wojny przeciw regionalnym przeciwnikom przy minimalnych stratach własnych. Jeszcze ważniejsza była jednak ich rola jako znaczących eksporterów ropy – stanowiły kluczowe elementy mechanizmu utrzymywania dolara jako globalnej waluty rozliczeniowej.

Iran wygrywa bieżącą wojnę z USA m.in. dlatego, że zdołał podważyć jeden z fundamentów amerykańskiej obecności w regionie. Wykazał, że państwa Zatoki przestały być dla Waszyngtonu bezpiecznym zapleczem militarnym. Co więcej, irański odwet wyrządził regionalnym so-

eprasa.pl 92d46bc765

jusznikom USA znacznie większe straty niż samym Stanom Zjednoczonym. Uderzył nie tylko w fizyczne podstawy ich gospodarek – przede wszystkim poprzez blokadę szlaków handlowych – lecz także w ich wiarygodność jako bezpiecznych miejsc dla współpracy gospodarczej i inwestycji. A właśnie na niej monarchie Zatoki Perskiej chciały budować rozwój pozwalający im stopniowo uniezależniać się od eksportu kopalin.

Tymczasem ostatnie pół roku postawiło pod znakiem zapytania całą ich strategię. Amerykańskie bazy, które miały być rękojmią bezpieczeństwa, stały się detonatorem zagrożenia, a protektor – jego prowodyrem.

KOREA PÓŁNOCNA SOJUSZNIKIEM?

Na tym jednak nie koniec. Przejdźmy do Azji Wschodniej – teatru o pierwszorzędnym znaczeniu dla Stanów Zjednoczonych. Donald Trump nakazał 16 sierpnia ograniczenie udziału Amerykanów w ćwiczeniach wojskowych z siłami zbrojnymi Korei Południowej ze względu na swoje relacje z Kim Dzong Unem. „Nie jestem zbyt szczęśliwy z powodu tego, że Stany Zjednoczone dawno temu zgodziły się na uczestnictwo we wspólnych ćwiczeniach wojskowych z Koreą Południową" – napisał Trump. Ponieważ było już za późno na ich odwołanie, polecił sekretarzowi obrony, Pete'owi Hegsethowi, „znacząco zredukować" amerykański udział. Trump uzasadnił swoją decyzję trojako: kosztami ćwiczeń, ich negatywnym wpływem na relacje z Koreą Północną oraz odmową przyłączenia się Seulu do wojny przeciwko Iranowi. O Korei Północnej napisał, że tak długo, jak pozostaje prezydentem, jest ona krajem „niebudzącym zagrożenia i pełnym szacunku", a wspólne ćwiczenia wysyłają wobec niej sygnał „kompletnie nieodpowiedni i wrogi". Władze Korei Południowej odpowiedziały, że analizują wypowiedzi Trumpa, wyrażając zarazem nadzieję, że jego dobre relacje z Kim Dzong Unem mogą doprowadzić do poważnych rozmów. Korea Północna deklaracji Trumpa nie skomentowała.

Korea Południowa jest jednym z najstarszych i najściślejszych sojuszników USA w regionie. Traktat o wzajemnych gwarancjach bezpieczeństwa łączy oba państwa od 1953 r., czyli od końca wojny, w której kilkadziesiąt tysięcy Amerykanów zginęło w obronie istnienia Republiki Korei. Tymczasem dziś Trump jest gotów osłabiać współpracę wojskową ze starym sojusznikiem, by szukać porozumienia z ówczesnym wrogiem. Stany Zjednoczone osłabły na tyle, że starają się wygaszać konflikty, których nie uznają za decydujące, i normalizować relacje z antagonistami, których nie postrzegają jako zagrożenia dla swojej pozycji mocarstwowej.

Na razie Korea Północna nie wykazuje jednak żadnej woli kompromisu z USA. Marcowy zjazd Partii Pracy Korei przyniósł antyamerykańskie wypowiedzi samego Kim Dzong Una, a 5 sierpnia równie zdecydowanie przeciwko USA wypowiedziała się jego siostra, Kim Yo Jong. Północnokoreański przywódca niezmiennie podkreśla, że status nuklearny jego państwa nie podlega negocjacjom. 20 sierpnia Korea Północna wystrzeliła zaś serię pocisków balistycznych krótkiego zasięgu. Na co liczy więc Donald Trump? Ugruntowany narcyzm amerykańskiego prezydenta chyba nadal każe mu sądzić, że jest w stanie skłonić Kima do negocjacji w sprawie broni atomowej. Sądzę jednak, że jego administracja ma również inny, znacznie bardziej strategiczny cel.

Wojna rosyjsko-ukraińska zasadniczo zmieniła położenie Korei Północnej. Wsparcie udzielane Rosji przez Pjongjang – zarówno w ludziach, jak i w sprzęcie – oraz znaczne zacieśnienie relacji między oboma państwami poszerzyły pole manewru Kim Dzong Una, wcześniej w dużym stopniu izolowanego i zależnego od Chin. Kokietując północnokoreańskiego przywódcę, Trump najpewniej liczy na dalsze poszerzenie jego pola manewru, a tym samym osłabienie wpływów Pekinu. Pokazuje to również, że Trumpa niespecjalnie kłopocze rola, którą Korea Północna odgrywa we wspieraniu rosyjskiego wysiłku zbrojnego. Nasuwa się zarazem szerszy wniosek – Donald Trump nadal liczy na Rosję w grze przeciw Chinom. Przy okazji postanowił ukarać Seul za nieprzyłączenie się do wojny przeciwko Iranowi, która okazała się kompromitująca dla USA, a osobiście także dla ich prezydenta.

19 sierpnia Trumpowi odpowiedział prezydent Korei Południowej, Lee Jae-myung. W bardzo dyplomatycznych słowach stwierdził, że całkowicie zgadza się z amerykańskim prezydentem: Republika Korei powinna sama brać odpowiedzialność za swoje bezpieczeństwo i samodzielnie działać na rzecz pokoju na Półwyspie Koreańskim. Nie bez znaczenia jest przy tym polityczny rodowód Lee. Jest on przedstawicielem południowokoreańskiej centrolewicy, która przez dekady wzbudzała niechęć amerykańskich jastrzębi swoim dążeniem do ograniczenia wpływów Waszyngtonu. Wpływów realizowanych m.in. poprzez ścisłe powiązania południowokoreańskiej armii i służb specjalnych z ich amerykańskimi odpowiednikami. To właśnie to środowisko od dekad opowiadało się za samodzielnymi negocjacjami z Północą i poszukiwaniem modus vivendi z Pjongjangiem. Dziś polityka, którą przez dekady zwalczały amerykańskie jastrzębie, staje się dla Seulu bardziej aktualna niż kiedykolwiek wcześniej.

OSTRZEŻENIE DLA POLSKI

To, co dzieje się dziś w Zatoce Perskiej i na Półwyspie Koreańskim, trudno uznać za coś innego niż poważne ostrzeżenie dla Polski. Tymczasem od lewa do prawa polską politykę zdominowali ludzie, którzy podstawy bezpieczeństwa narodowego upatrują w amerykańskim protektoracie i budowie kolejnych baz USA na naszym terytorium.

Wniosek z obu przypadków jest elementarny. Amerykańskie gwarancje bezpieczeństwa działają tak długo, jak długo pozostają zgodne z interesami Stanów Zjednoczonych i jak długo Waszyngton dysponuje wystarczającą siłą, by ponosić ich koszty. Kiedy zmienia się hierarchia amerykańskich interesów albo kurczą się możliwości działania, wieloletni sojusznik może bardzo szybko przekonać się, że dla protektora jego bezpieczeństwo nigdy nie było celem samym w sobie.

Nie oznacza to, że Polska powinna zrezygnować z sojuszu z USA. Powinna jednak przestać traktować go jako substytut własnej polityki bezpieczeństwa. Państwo, które samo nie buduje siły pozwalającej mu bronić własnych interesów, lecz powierza to zadanie protektorowi, uzależnia swoje bezpieczeństwo od jego możliwości i decyzji. Polska powinna więc przygotowywać się nie na świat, w którym amerykański protektor zawsze będzie chciał i mógł nas chronić, lecz na taki, w którym któregoś dnia może on nie chcieć albo nie móc tego zrobić.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 92d46bc765



Portret Jerzego Brauna autorstwa Stanisława Ignacego Witkiewicza (1932) FOT. DOMENA PUBLICZNA

Przeciw „zgrai piekielnej”



Filip Memches

Mediom, które lansują Monikę Braun, kontakty jej stryjecznego dziadka ze służbami PRL nie wadzą. Inaczej podchodzą one do jego stanowiska w „kwestii żydowskiej”, czyli choćby podnoszenia przez niego sprawy nadreprezentacji Żydów w ruchu komunistycznym

Kiedy się chce zniszczyć wizerunkowo jakąś osobę, to powoływanie się na negatywne opinie o niej pochodzące z kręgu jej rodziny ma siłę rażenia. To dlatego „uśmiechnięte” media wspierające obecny obóz rządowy (takie jak „Gazeta Wyborcza” czy telewizja publiczna w likwidacji) nie ustają w zapraszaniu do udzielania wypowiedzi o Grzegorzu Braunie jego siostry Moniki Braun. Nie inaczej stało się niedawno na antenie TVP Info. Monika Braun, aktorka, nauczycielka akademicka, badaczka kultury, nie przypadkiem głosząca poglądy wpisujące się w obowiązujący na salonach dyskurs progresywno-liberalny, po raz kolejny nie zostawiła suchej nitki na swoim bracie. Postponując go, znów wysunęła wobec niego oskarżenia o antysemityzm.

Tym razem jednak warto zwrócić uwagę na to, że dostało się nie tylko Grzegorzowi Braunowi, lecz także jego dziadkowi stryjecznemu, Jerzemu Braunowi. Otóż „gościni” TVP Info (bo tak przedstawiono siostrę lidera Konfederacji Korony Polskiej) stwierdziła, że na poglądach jej brata zaciążyły „rodzinne zaszłości”, a konkretnie oznajmiła, że „uwielbiany w rodzinie Braunów Jerzy Braun, […] był jeszcze przed wojną zagorzałym antysemitą”. I dodała, że w jej domu w ogóle się nie mówiło o Holokauście.

Warto zatrzymać się przy postaci Jerzego Brauna. Próba oczernienia go przez Monikę Braun jako antysemity to okazja nie tylko do tego, żeby przypomnieć, kim on był, lecz także zastanowienia się nad tym, czy określony stosunek do niego nie stanowi odzwierciedlenia współczesnych podziałów politycznych w Polsce.

FAŁSZYWY MESJANIZM

Urodzony w 1901 r. filozof, poeta, dramatopisarz, krytyk literacki, scenarzysta (1 września minęła 125. rocznica jego przyjścia na świat) jako gimnazjalista angażował się w harcerstwo. To wtedy napisał słowa i skomponował muzykę słynnej pieśni harcerskiej „Płonie ognisko i szumią knieje”. Kiedy wybuchła wojna polsko-bolszewicka, Braun ruszył na front jako ochotnik. Odmówił przyjęcia odznaczenia wojskowego za uczestnictwo w niej, ponieważ uważał, że obrona ojczyzny jest jego obowiązkiem. Potem ukończył studia polonistyczne na Uniwersytecie Jagiellońskim.

Przełomem intelektualnym w życiu Brauna było zainteresowanie się mesjanizmem polskim, a konkretnie myślą żyjącego na przełomie XVIII i XIX w. filozofa Józefa Marii Hoene-Wrońskiego. Znalazło to wyraz na łamach czasopisma „Zet”, które wydawał w latach 1932–1939. Braun należał do środowiska prawicy piłsudczykowskiej. Znamienne było też to, że w 1938 r. powołał Agencję Antymasońską. To właśnie w masonerii, definiowanej przez niego jako „Antykościół” i – tu posiłkował się terminem ukutym przez Hoene-Wrońskiego – „zgraja piekielna”, upatrywał szczególnego zagrożenia dla Polski. Skądinąd uważał, że mesjanizm polski miał zszarganą reputację, gdyż został w XIX stuleciu zawłaszczony przez heretycką względem katolicyzmu sektę Andrzeja Towiańskiego.

Inspirując się wrońskizmem, Braun sformułował następującą koncepcję historiozoficzną: dzieje ludzkości stanowią dla niej długą cierniową drogę, na której osiąga ona kolejne szczeble prowadzące ją do zbawienia. Chodzi o to, żeby zrzucić jarzmo zależności człowieka od uwarunkowań narzucanych mu przez czynniki naturalne i dojść do pełnienia bez jakiegokolwiek przymusu woli Boga (przejść od „ery celów względnych” do „ery celów absolutnych”). Ale żeby tak się stało, wielkie przeciwieństwa – takie, jak wiara i wiedza, „prawo boże” i „prawo ludzkie”, prawica i lewica – powinny się wzajemnie dopełnić.

Zdaniem Brauna szczególna rola historyczna w tej sprawie przypadła Polsce jako „imperium Boga” położonemu – w sensie cywilizacyjnym – między Wschodem a Zachodem. Filozof uważał, że Europa pogrążyła się w głębokim

eprasa.pl 92d46bc765

kryzysie: liberalna demokracja znalazła się w odwrocie, ustępując miejsca dwóm mrocznym projektom: sowieckiemu komunizmowi i niemieckiemu narodowemu socjalizmowi. Mesjanizm polski – ten prawdziwy, zgodny z katolicyzmem, czyli w wersji Hoene-Wrońskiego (mimo że jego filozofii też zarzucano herezję, a jemu samemu związki z masonerią) – miał stanowić dla wszystkich tych trzech ponurych zjawisk razem wziętych właściwą alternatywę.

Jeśli chodzi o nastawienie Brauna do Żydów, wymowne było to, że nie żywił on żadnych złudzeń wobec nazistów i z pozycji chrześcijańskich piętnował ich neopogański antysemicki rasizm. Natomiast jednocześnie trzeba odnotować, że według niego diaspora żydowska odgrywała w dziejach ludzkości negatywną, bo wywrotową rolę. W przekonaniu Brauna judaizm rabiniczny stanowił podatny grunt dla poczucia wyobcowania Żydów wobec narodów, wśród których żyli i w rezultacie którym szkodzili. Co ciekawe, spośród rezultatów żydowskich intryg filozof wymieniał m.in. obalenie Napoleona, władcy bądź co bądź uchodzącego za człowieka przecierającego szlak europejskiej nowoczesności. Cesarz Francuzów miał stracić władzę za sprawą polityków oficjalnie będących na usługach Bourbonów (czyli jednak sił konserwatywnych), ale działających jako „agenci" Rotschildów.

Oczywiście, czytając dziś pisma Brauna (chodzi zwłaszcza o książkę „Zagadka dziejowa Polski. Próba historiozofii" z 1938 r.) trudno się oprzeć wrażeniu, że snuł on zalatujące antysemityzmem prymitywne teorie spiskowe. Mocno w nich upraszczał rzeczywistość, wrzucając niemal całą diasporę żydowską do jednej szuflady z napisem: „Antykościół" lub „wspólny front bolszewicko-masoński" (choć przecież akurat bolszewicy masonerię zwalczali). Ale obraz ten stanowi tylko jedną stronę medalu. A jest też druga: w II Rzeczypospolitej Żydzi naprawdę stanowili potężny żywioł jako prężna mniejszość etniczna budująca swoją pozycję ekonomiczną kosztem ludności polskiej. Jednocześnie liberalizm i komunizm – ideologie realnie wrogie Kościołowi – to były opcje wybierane przez wielu motywowanych fałszywym mesjanizmem Żydów, którym marzyła się naprawa świata w duchu kosmopolitycznego progresizmu.

Skądinąd znamienne, że Braun pozytywnie oceniał państwotwórcze aspiracje syjonistów. W jego tekście „Wojna polsko-żydowska" z 1938 r. można przeczytać, że emigracja Żydów do Palestyny, aby budować tam dla siebie własne państwo, to rozwiązanie korzystne i dla nich, i dla reszty ludzkości, bo staną się oni „normalnym, zdrowym narodem" – takim, który będzie mógł wesprzeć Polaków w ostatecznym boju o właściwy porządek świata.

MENTOR KAROLA WOJTYŁY

Pod okupacją niemiecką Braun został przywódcą założonej w 1940 r. konspiracyjnej struktury politycznej, noszącej nazwę Federacja Organizacji Narodowo-Katolickich „Unia". Podmiot ten miał też pion militarny, który w 1942 r. został podporządkowany Komendzie Głównej Armii Krajowej. „Unia" była także aktywna na polu kultury, choćby przez związki z utworzonym w 1941 r. konspiracyjnym krakowskim Teatrem Rapsodycznym. Na jego scenie występował Karol Wojtyła, który – jak wiadomo – zanim wybrał kapłaństwo, pasjonował się aktorstwem. Braun był wówczas kimś w rodzaju mentora przyszłego papieża. A mesjanizm polski stanowił istotny punkt odniesienia dla Teatru Rapsodycznego.

Kolejnym etapem na drodze przywódcy „Unii" był udział w powstaniu warszawskim. Wreszcie w 1945 r. Jerzy Braun stanął na czele struktur politycznych podległych polskim władzom emigracyjnym w Londynie – został przewodniczącym Rady Jedności Narodowej i ostatnim delegatem Rządu na Kraj. To właśnie wtedy – pełniąc pierwszą z tych funkcji – napisał w imieniu RJN Testament Polski Walczącej. Dokument ten wyrażał koncyliacyjne stanowisko wobec polskiej lewicy (ale tylko tej jej części, która uznawała reguły rywalizacji demokratycznej, czyli nie komunistów) i zarazem postulował pełną suwerenność nowego państwa polskiego względem Związku Sowieckiego.

Po wojnie Braun został redaktorem naczelnym „Tygodnika Warszawskiego". To ukazujące się w latach 1945–1948 czasopismo – mocno krytyczne wobec komunizmu – było wydawane przez kurię warszawską. Na jego łamach Braun kontynuował swoje dzieło życia, adaptując idee mesjanizmu polskiego do nowych okoliczności. Tymczasem władze komunistyczne uznały „Tygodnik Warszawski" za zagrożenie dla reżimu i w 1948 r. go zamknęły. Braun trafił do więzienia, w którym był torturowany. Stracił tam oko i zęby. Na wolność wyszedł w 1956 r.

A zatem wbrew temu, co powiedziała w TVP Info Monika Braun, nasuwa się wniosek, że jej stryjeczny dziadek był bohaterem. Szkopuł jednak w tym, że to, co się działo w ostatnich kilkunastu latach życia filozofa, rodzi poważne pytania o jego postawę. W latach 60. Braun wyemigrował do Włoch. Był nawet uczestnikiem, jako świecki obserwator, prac Soboru Watykańskiego II. Zmarł w Rzymie w 1975 r. Tymczasem w III Rzeczypospolitej wyszły na jaw informacje, że Braun podczas swojego pobytu we Włoszech utrzymywał kontakty z tajnymi służbami PRL. Z dokumentów Instytutu Pamięci Narodowej wynika, że przekazywał im różne informacje i otrzymywał od nich za swoje usługi niemałe pieniężne wynagrodzenie. Tę sprawę zresztą poruszał sam Grzegorz Braun, wypowiadając się w 2009 r. w jednym z odcinków emitowanego w TVP cyklu publicystycznego „Errata do biografii".

DOBRY KOMUNIZM, ZŁE NACJONALIZMY?

Tyle że mediom lansującym Monikę Braun kontakty jej stryjecznego dziadka ze służbami PRL nie wadzą. Nic dziwnego. Mamy przecież do czynienia z mediami będącymi – funkcjonalnie, nieformalnie – ekspozyturą interesów tych sił politycznych, które od 1989 r. opowiadały się za kooptacją ludzi umoczonych we współpracę z bezpieką PRL do nowego systemu. Rzecz jasna ci mieli spełnić jeden kluczowy warunek: stanąć po stronie „demokracji" i „Europy" przeciw prawicowym „populistom" i kościelnym „fundamentalistom".

Co innego „kwestia żydowska". W mediach, o których mowa, to, co Jerzy Braun zwalczał jako przejaw fałszywego mesjanizmu, uchodzi za wartość. Patrząc z przyjętej w nich perspektywy Żydom angażującym się w komunizm chodziło przecież o dobro: zburzenie murów antagonizujących nie tylko klasy społeczne, lecz także narody. A złem są nacjonalizmy. Dlatego nawet antykomunizm Brauna może być interpretowany w kategoriach antysemityzmu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 92d46bc765

Włoski problem z homoherezją



Paweł Chmielewski

Włoski Kościół katolicki coraz bardziej pogrąża się w herezji homoseksualizmu. Jeżeli w Polsce nic się nie zmieni, to czeka nas to samo

Każdy, kto odwiedza toskańską Sienę, przechodzi przez Piazza del Campo – charakterystyczny centralny plac w tym pełnym tradycji mieście. Sieneńczycy od stuleci urządzają w tym miejscu wyścigi konne, w ostatnich dekadach przyciągając uwagę tysięcy turystów z całego świata. Jako że wszystko odbywa się teoretycznie ku czci Maryi, drużyna zwycięzców otrzymuje specjalny sztandar przedstawiający Matkę Bożą, stworzony na zlecenie miasta. Sztandar wykonują współcześni artyści, więc od dawna wygląda dość dziwacznie; przedstawienia Maryi są nierzadko dalekie od takich, które nakazywałaby pobożność. W tym roku doszło jednak do ewidentnego bluźnierstwa. Matkę Bożą przedstawiono z twarzą i dłońmi mężczyzny. Efekt nie jest przypadkowy, to zabieg celowy. Artystka Teodora Axente mówi wprost, że wizerunek „to jej wymarzona wizja Madonny", a postać „nie jest ani kobieca, ani męska, jest bardziej androgyniczna, by zachować uniwersalny charakter".

Innymi słowy, Matka Boża została zaprezentowana w kluczu ideologii transgender. Do bluźnierstw współczesnych artystów przyzwyczailiśmy się już tak bardzo, że pewnie nikt nie zwróciłby na to większej uwagi, gdyby nie znamienny fakt: otóż archidiecezja Sieny stanęła w obronie transgenderowej Maryi. Przedstawiciel władz kościelnych orzekł, że wizerunek Maryi jest „wolny od języka prowokacji", a pani Axente wywodzi się z renomowanej szkoły artystycznej, która często konfrontuje sztukę współczesną z duchowymi motywami chrześcijaństwa – problemu więc nie ma.

POWAŻNY BŁĄD DOKTRYNALNY

Akceptacja bluźnierstw przez reprezentantów włoskiej hierarchii kościelnej może szokować, ale nie jest to bynajmniej przypadek odosobniony. Podczas Wielkiego Postu w 2024 r. do jeszcze bardziej gorszących wydarzeń doszło w Carpi, średniej wielkości mieście położonym pomiędzy Modeną a Bolonią. W muzeum diecezjalnym zaprezentowano tam wystawę zatytułowaną „Gratia plena". Przygotował ją ateizujący artysta Andrea Saltini. Jeden z obrazów prezentował ciało Zbawiciela zdjęte z krzyża, nad którym pochyla się mężczyzna w niedwuznacznej, homoseksualnej pozie. Wierni byli skrajnie oburzeni. Przed muzeum urządzono czuwania modlitewne, pisano listy protestacyjne, władze diecezji pozwano do sądu. Władze kościelne kompletnie nie przejmowały się negatywnymi reakcjami. Arcybiskup Erio Castellucci ogłosił, że problem mają ci, którzy w tych obrazach widzą coś niewłaściwego, i kategorycznie odmówił zamknięcia ekspozycji. Wreszcie jeden z katolików po prostu zniszczył bluźnierczy wizerunek Chrystusa…

Ktoś mógłby powiedzieć, że nie ma się czym przejmować – w końcu włoscy duchowni na przestrzeni wieków wielokrotnie dowodzili szczególnej tolerancji dla ekscesów homoseksualnych, nie tylko artystycznych; wystarczy przypomnieć o wyczynach dworu niektórych papieży doby renesansu. Tym razem nie chodzi jednak tylko o „zwykłą" fascynację kleru i świata artystycznego Italii fenomenem skłonności jednopłciowych. Rzecz dotyczy ideologicznego przekonania, że ludzka płciowość jest płynna, a zasady moralne w dziedzinie seksualności nie obowiązują ani w praktyce, ani w teorii. Profanacja ze Sieny czy bluźnierstwo z Carpi mają swoje wyraźne zakotwiczenie w fałszywej antropologii, czyli w niezwykle poważnym błędzie doktrynalnym. Niestety, Kościół katolicki we Włoszech okazuje się niezdolny do poradzenia sobie z tęczową ideologią i przyjmuje ją coraz częściej za własną narrację.

Polskiego czytelnika może to zaskakiwać, ale to fakt: propaganda LGBT silnie zakorzeniła się nie tylko w Kościele



FOT. ANDREA LENSINI/CITY OF SIENA

eprasa.pl 92d46bc765

katolickim w Niemczech, Austrii czy USA, lecz także we Włoszech. Przejawów tego zakorzenienia jest tak dużo, że mogę tu wskazać tylko na kilka wybranych – ale proszę mi wierzyć, to jedynie wierzchołek góry lodowej.

W 2024 r. tygodnik włoskich paulistów „Famiglia Cristiana" postanowił pokazać włoskim katolikom nowy model „przykładnych rodzin" – właśnie homoseksualnych. Opublikowano wiele zdjęć par gejowskich i lesbijskich, wywiady z ludźmi, którzy opowiadają o swoim wspólnym pożyciu i łączącej ich więzi. Była nawet rozmowa z matką lesbijki żyjącej w związku, która pomstowała na „fundamentalistyczne interpretacje Pisma Świętego" i oskarżała doktrynę Kościoła o tworzenie „drutu kolczastego", który rani osoby homoseksualne.

W tym samym roku „intrygujący" wykład wygłosił znany kapucyn, o. Roberto Pasolini, notabene mianowany nieco później oficjalnym kaznodzieją Domu Papieskiego. Pasolini przemawiał w klasztorze kapucyńskim w Varese i na warsztat wziął właśnie homoseksualizm. Sugerował, że w Starym Testamencie można byłoby znaleźć przykłady par jednopłciowych, wskazując zwłaszcza na Dawida i Jonatana. Twierdził, że homoseksualistą mógł być też rzymski setnik, który poprosił Zbawiciela o uzdrowienie swojego sługi. Kapucyn relatywizował wreszcie nauczanie św. Pawła, przekonując, że było tak silnie uwarunkowane ówczesną kulturą, że nie można dziś słów apostoła na temat homoseksualizmu traktować nazbyt dosłownie.

Rok później uwagę konserwatywnych katolików przykuł ks. Roberto Falconi z diecezji Bergamo. Kapłan postanowił pobłogosławić parę homoseksualistów, używając do tej ceremonii rytuału... Kościoła Waldensów. Jak wie czytelnik, waldensi to heretycka sekta zrodzona w XII w. na fali europejskiego ruchu katarskiego. Dzięki wysiłkom Kościoła średniowiecznego została wprawdzie zlikwidowana, ale w połowie XIX w. reaktywowano ją w regionie Piemontu. Zapytany przez media o motywy swojego postępowania kapłan tłumaczył, że czasy się zmieniają i należy inaczej odczytywać nauczanie św. Pawła. Zapewniał też, że błogosławi homoseksualistów w rycie waldensów tylko „w wolnym czasie, bez kamer" – a co do zasady głosi zwyczajną naukę, posługując w sanktuarium maryjnym w Algua.

W tymże 2025 r. włoscy biskupi przyjęli dokument synodalny, w którym rozpisali ścieżkę transformacji Kościoła w swoim kraju. Zwrócili uwagę m.in. na rzekomy problem dyskryminacji LGBT i ogłosili, że katolicy muszą postawić na integrowanie przedstawicieli tych środowisk, zwalczając zamknięte i negatywne postawy. Ta walka prowadzona jest ze szczególnym natężeniem w maju, kiedy grupy LGBT obchodzą dzień przeciwko homofobii. W 2026 r. aż w 23 włoskich diecezjach zorganizowano czuwania przeciwko dyskryminacji; była wśród nich archidiecezja Bolonii, którą kieruje przewodniczący włoskiego Episkopatu, kard. Matteo Zuppi, po śmierci Franciszka przymierzany przez media do roli nowego papieża. Takie czuwania odbywają się już od kilku lat, zyskując coraz większą popularność; tym razem osobiście włączyło się w nie kilkunastu biskupów, głównie z północy i centrum kraju.

Propaganda LGBT silnie zakorzeniła się w Kościele katolickim w Niemczech, Austrii, USA oraz we Włoszech

Podkreślam, że to tylko kilka incydentów, bo listę takich „homofilnych" działań można byłoby ciągnąć jeszcze długo. Warto jednak pamiętać o tym, co dzieje się... w Watykanie. Ostatecznie przykład idzie z góry – zwłaszcza we Włoszech, których najważniejszą diecezją jest przecież diecezja rzymska. Niedawno pisałem w „Do Rzeczy" o dokumencie synodalnym, który opublikowany został na początku 2026 r. przez watykański Sekretariat Synodu o synodalności. Pierwotnie miał omawiać „trudne sprawy doktrynalne", ale ostatecznie podjęto w nim niemal wyłącznie temat homoseksualizmu – i to bynajmniej nie w perspektywie czegoś „trudnego", ale raczej bardzo pozytywnego. Media podały, że ważną rolę w ukształtowaniu tego tekstu odegrał włoski duchowny, prof. Maurizio Chiodi, od dawna promowany przez okołowatykańskie struktury na czołowego eksperta w dziedzinie teologii moralnej. Kiedy indziej opisywałem też nieszczęsną „pielgrzymkę" LGBT, która we wrześniu 2025 r. weszła do Bazyliki św. Piotra, a później była fetowana przez jednego z włoskich biskupów w głównym jezuickim kościele Rzymu, Il Gesù – jak twierdził biskup, za wiedzą samego papieża Leona XIV.

Kamieniem milowym była publikacja deklaracji „Fiducia supplicans" z grudnia 2023 r., która wprowadziła dziwaczne „spontaniczne" błogosławieństwa par jednopłciowych. Niezależnie od tego, jakie fikołki intelektualne wykonują hierarchowie z Kurii Rzymskiej, by zaprezentować ten dokument jako ortodoksyjny i zgodny z nauczaniem Kościoła, jedno jest faktem: „Fiducia supplicans" jest wyrazem zupełnie nowej postawy wobec fenomenu LGBT, jaką za obowiązującą przyjęto w Rzymie. Włoscy biskupi i księża, którzy otwierają szeroko ramiona przed środowiskami tęczowymi, nie robią niczego na własną rękę – realizują raczej to, co odczytują jako zgodne z linią sugerowaną przez najwyższe czynniki kościelnej władzy. Z racji geograficznych i kulturowych są na to szczególnie czuli.

PRZYSZŁOŚĆ ZALEŻY OD ŚWIECKICH KATOLIKÓW

Jeżeli Watykan nie zmieni swojego podejścia i będzie konsekwentnie promować politykę „tolerancji" wobec LGBT, to ten sam fenomen może pojawić się również w Polsce. Ostateczny wynik tej batalii nie jest jednak przesądzony i nie zależy wyłącznie od Watykanu. Trzeba pamiętać, że biskupi na ogół nie są skłonni do nadmiernego antagonizowania opinii publicznej. Jeżeli Polska będzie dalej pogrążać się w unijnym liberalizmie, który serwuje nam dziś Koalicja Obywatelska i jej przybudówki, hierarchiczny Kościół zacznie się pod tym ciężarem po prostu uginać, nie mając wsparcia w Rzymie. Jeżeli jednak polska polityka postawi tęczowej propagandzie stanowczą tamę, może być zupełnie inaczej. Watykan w tej sprawie zachowuje się dosyć „miękko", pozostawiając lokalnym episkopatom swobodę działania. Dlatego to w dużej mierze od świeckich polskich katolików zależy przyszłość. Trzeba to sobie uświadomić i wyciągnąć odpowiednie wnioski.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest publicystą portalu PCh24.pl.

eprasa.pl 92d46bc765



Obrady podczas I Krajowego Zjazdu NSZZ „Solidarność" we wrześniu 1981 r.

FOT. JERZY KOŚNIK/PAP

Posłanie z Gdańska



Grzegorz Majchrzak

Posłanie do ludzi pracy Europy Wschodniej stało się przedmiotem ostrych ataków w większości europejskich państw socjalistycznych. Było ono również komentowane na Zachodzie. Głos na jego temat zabierali zarówno politycy, jak i związkowcy, a przede wszystkim dziennikarze

8 września 1981 r. przedstawiciele na I Krajowy Zjazd Delegatów NSZZ „Solidarność" uchwalili Posłanie do ludzi pracy Europy Wschodniej. Ten krótki, kilkuzdaniowy dokument, adresowany do robotników Albanii, Bułgarii, Czechosłowacji, Niemieckiej Republiki Demokratycznej, Rumunii, Węgier i „wszystkich narodów Związku Radzieckiego", był reakcją na kampanię propagandową przeciwko związkowi w tych krajach. Oprócz pozdrowień dla wspomnianych zawierał on stwierdzenie, że Solidarność jest „autentyczną 10-milionową reprezentacją powołaną przez pracowników", której celem jest „walka o poprawę bytu wszystkich ludzi pracy". A także – co stało się powodem zaciekłych ataków na nie – fragment: „Popieramy tych z was, którzy zdecydowali się wejść na trudną drogę walki o wolny ruch związkowy. Wierzymy, że już niedługo wasi i nasi przedstawiciele będą mogli się spotkać celem wymiany związkowych doświadczeń".

Posłanie stało się przedmiotem ostrych ataków w większości europejskich państw socjalistycznych. Było ono również komentowane na Zachodzie. Głos na jego temat zabierali zarówno politycy, jak i związkowcy. Najczęściej jednak odnosili się do niego dziennikarze. A ich zróżnicowane opinie zdecydowanie odbiegały od zgodnego chóru żurnalistów w krajach bloku wschodniego.

PANIKA W KRAJACH KOMUNISTYCZNYCH

Jako jeden z pierwszych, jeśli wręcz nie pierwszy, uczynił to Gerhard Glinsky na antenie Deutschlandfunk. Stwierdził on, że Posłanie stanowi „bardzo ważny punkt zwrotny", gdyż po raz pierwszy „niezależne polskie związki zawodowe […] przeszły z pozycji obronnych do ofensywy". Według niego uchwalenie Posłania miało wynikać z faktu, że „robotnicy polscy nie tylko zamierzają wyjść z izolacji, lecz – co więcej – przekonani są o słuszności swojej sprawy i chcieli, aby mówiono o nich, zgodnie z prawdą". I – jak przy tym dodawał – była to realizacja hasła „Proletariusze wszystkich krajów łączcie się", tak chętnie wykorzystywanego w krajach socjalistycznych. W jego ocenie miało to nie być wcale

eprasa.pl 92d46bc765

takie nierealistyczne, jak wydawałoby się na pierwszy rzut oka. Z czego zresztą miały sobie zdawać sprawę „koła rządzące w Moskwie, wschodnim Berlinie czy Bukareszcie".

Z kolei na łamach jednego z największych i najbardziej wpływowych zachodnioniemieckich tygodników, „Der Spiegel", pisano, że Posłanie do ludzi pracy Europy Wschodniej wręcz „doprowadziło przywódców krajów socjalistycznych do paniki". I dodawano, że późniejsze wydarzenia w tych krajach i reakcje na nie wynikały „z niebezpieczeństwa zagrożenia polską rebelią". Na łamach tego pisma zadawano również pytanie: „Czy rozwój sytuacji w Polsce wpływa na kraje ościenne czy niezależny ruch związkowy spotyka się z sympatią w krajach obozu socjalizmu?". Nie odpowiadano na nie jednak, informując z jednej strony o zorganizowanej przez władze sowieckie kampanii propagandowej przeciwko Posłaniu, z drugiej zaś o strajkach w Kijowie, „pozdrowieniach nadesłanych do Gdańska przez dysydentów krajów nadbałtyckich" oraz działającym w ZSRS w podziemiu „niewielkim niezależnym związku SMOT". Z kolei w innym, regionalnym – wydawanym w Brunszwiku – dzienniku „Braunschweiger Zeitung" pisano, że „»Solidarność« nie uważa się jedynie za przedstawiciela interesów robotników polskich, lecz za siłę społeczno-polityczną", która „zwróciła się jawnie przeciwko reżimowi polskiemu, przeciw hegemonialnym roszczeniom ZSRS w jego sferze wpływów [...] oraz przeciwko komunizmowi, jako formie rządów w krajach uzależnionych od Związku Radzieckiego". Po czym krótko, ale dosadnie komentowano: „Ta zasadnicza konfrontacja ujrzała światło dzienne i będzie decydować o przyszłości". Również na łamach „Badische Zeitung" – dziennika wydawanego we Fryburgu Bryzgowijskim – stwierdzano, że Posłanie może (podobnie jak żądanie wolnych wyborów) „doprowadzić Polskę na skraj przepaści". I zauważano, że „narusza ono bezpośrednio interesy Moskwy i zakres jej władzy, to jest dokładnie to, czego dotąd unikały umiarkowane siły wokół Lecha Wałęsy".

Pogląd o tym, że uchwalenie Posłania do ludzi pracy Europy Wschodniej może się przyczynić do inwazji państw Układu Warszawskiego na Polskę, był zresztą w pismach zachodnioniemieckich wyrażany częściej, m.in. na łamach „Neue Osnabrücker Zeitung" czy „Schwäbische Zeitung".

USA BOJĄ SIĘ REAKCJI MOSKWY

Media amerykańskie miały – przynajmniej w ocenie polskich dyplomatów w USA – uznać, że w działalności Solidarności w trakcie pierwszego etapu I Krajowego Zjazdu Delegatów „przeważa ton konfrontacji", a wyrazem tego jest właśnie Posłanie. Przytaczali oni również stwierdzenie z komentarza z „Washington Post" z 11 września 1981 r.: „Nie jest jasne, jaki cel przyświeca zachęcaniu do tworzenia wolnych związków zawodowych w innych krajach bloku wschodniego. Raczej jest to prowokacyjne". I dodawali, że „Wall Street Journal" miał „podzielić tę opinię". Natomiast „New York Times" w pierwszym komentarzu uznał Posłanie do ludzi pracy Europy Wschodniej za „szczególnie drażliwe dla Kremla". Jak zauważano na jego łamach: „Uchwała przeszła na zjeździe prawie że bez dyskusji, w chwili gdy delegaci znajdowali się w podnieconym nastroju, po serii przemówień na temat ograniczeń, jakim podlega »Solidarność«, i żądań bardziej radykalnych wystąpień przeciw nękaniu jej i ograniczaniu jej działalności przez władze". I zauważano, że „natychmiastowe głosowanie nie pozwoliło na odpowiednie przemyślenie wniosku".

Po kilku dniach „New York Times" pisał, że NSZZ „Solidarność" z „zapierającą oddech odwagą przeciwstawia się kolejno sowieckim formom komunistycznego życia politycznego". I dodawał: „Na dobre lub na złe polski ruch związkowy uczynił doniosły krok. Jeśli »Solidarność« uzyska prawdziwą przewagę nad zdemoralizowaną partią komunistyczną, bez wywoływania inwazji sowieckiej, będzie to triumf o wymiarach historycznych. Oznaczałby on, według wszelkiego prawdopodobieństwa, początek końca dyktatorskiej kontroli Moskwy nad Europą Wschodnią".

SCEPTYCZNA OPINIA WIELKIEJ BRYTANII

Posłanie było analizowane również przez brytyjskie media. I tak już 9 września 1981 r. na antenie BBC Tim Sebastian oceniał, że musi ono „wywołać nieprzyjazne reakcje w innych krajach bloku radzieckiego", które uznają je za „wyraźne wyzwanie wobec władzy komunistycznej". Uznawał on Posłanie za „nowy krok na drodze krzewienia" idei Solidarności. Jak twierdził: „Dotychczas kierownictwo NSZZ starało się unikać pozorów eksportowania tzw. polskiej rewolucji, ignorując zarazem ataki ze strony innych państw bloku radzieckiego. Obecnie kierownictwo »Solidarności« – jak się wydaje – uległo naciskom własnych szeregów". Tego samego dnia inny dziennikarz BBC, Maurice Latey, oceniał, że Posłanie do ludzi pracy Europy Wschodniej „uderza wschodnie reżimy w najbardziej czuły punkt". Wyrażał opinię, że nie będzie ono miało „większego praktycznego znaczenia", ale pomimo tego zostanie „potraktowane jako prowokacja" przez władze krajów bloku wschodniego. Uważał wręcz, że jeżeli będzie potrzebny pretekst dla „bratniej pomocy", czyli interwencji tych państw w PRL, to Posłanie może się nim stać. Jego zdaniem mogło być ono zresztą – w obliczu trwających u granic Polski manewrów wojsk Układu Warszawskiego w Polsce – traktowane wręcz „jako wyzwanie" wobec nich.

Do Posłania odniósł się – również na antenie BBC – Anatol Goldberg. Jego zdaniem było ono „reakcją wywołaną presjami psychologicznymi, wywieranymi na Polskę, zwłaszcza na »Solidarność«" przez „inne kraje członkowskie Układu Warszawskiego". I dodawał: „Właściwie od samego początku wszystko, co robiła »Solidarność« albo czego się domagała, wywoływało ostrą krytykę środków masowego przekazu w Czechosłowacji i Niemczech Wschodnich. Bardzo szybko do nich przyłączyły się radzieckie środki przekazu, a głównym celem tej krytyki było wywołanie wrażenia, że »Solidarność« nie jest organizacją robotniczą. Na te zarzuty »Solidarność« teraz odpowiedziała, podkreślając, że rzeczywiście reprezentuje ludzi pracy".

Posłanie do ludzi pracy Europy Wschodniej skomentował – również w BBC brytyjski historyk Timothy Garton Ash. Porównywał on Solidarność z wielką rewolucją francuską. Mówił o „nowej Polsce, która narodziła się nad Wisłą", i twierdził, że NSZZ „Solidarność" nie

eprasa.pl 92d46bc765

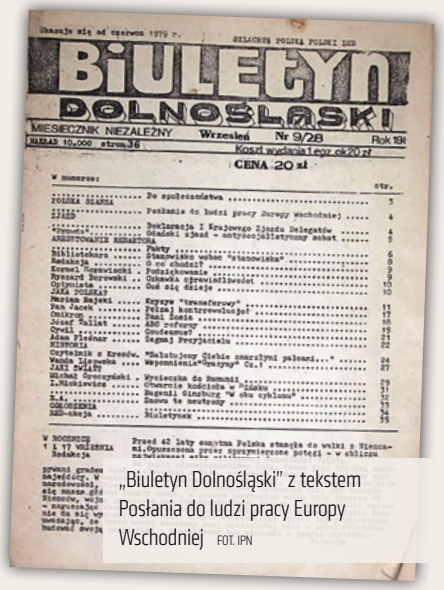
jest „jedynie związkiem zawodowym, ale ruchem społecznym obywateli dążących do niepodległej Polski". Jak twierdził, zachodni korespondenci wręcz „łapali się za głowę", że poszła ona zbyt daleko, jednak w ocenie Asha Polacy mieli więcej od nich wiedzieć, „co leży w ich własnym interesie". I nader optymistycznie pytał: „Czy polska rewolucja pójdzie drogą francuskiej rewolucji czy trzeci stan sięgnie po władzę? Gdzie są w Polsce jakobini?".

Z kolei na łamach brytyjskiego centrolewicowego dziennika „Guardian" stwierdzano, że Posłanie jest „wspaniałym przykładem odwagi, nieliczącej się z konsekwencjami". I dodawano, że było ono aktem „niepotrzebnym i prowokacyjnym", gdyż informacje o działalności NSZZ „Solidarność" – jak pisano – „i tak rozchodzą się po świecie". Natomiast szkocki dziennik, wydawany w Edynburgu „The Scotsman", pisał, że „członkowie »Solidarności« wychodzą z okopów i zapominają się", po czym dodawał, że Posłanie musiało „mocno zaniepokoić Kreml".

„POKOJOWA" REWOLUCJA

Posłanie do ludzi pracy Europy Wschodniej było analizowane także przez francuskich dziennikarzy. W socjalistycznym dzienniku „Le Matin" ukazał się artykuł pt. „Wyzwanie Wałęsy wobec Moskwy", w którym uznano Posłanie za „wydarzenie bez precedensu". I słusznie przewidywano: „Ten akt symboliczny oraz wyrażony publicznie zamiar eksportu polskiej pokojowej rewolucji wywoła złość w stolicach krajów sąsiedzkich". Trzy dni później w „Le Matin" konkludowano – ewidentnie nawiązując do Posłania – że rok po podpisaniu porozumień sierpniowych NSZZ „Solidarność" „opuszcza grunt związkowy, wkraczając na czysto polityczne pole działania", i „kwestionuje obecnie już nie tylko ustrój gospodarczy i społeczny reprezentowany przez rząd, ale również zasady instytucjonalne, na których opiera się władza komunistyczna".

W innym, znanym francuskim dzienniku – „Le Figaro" – pisano z kolei: „Można by postawić pytanie – czy »Solidarność« nie ogranicza się do krytykowania struktur państwa polskiego, lecz zamierza teraz eksportować rewolucję?". I oceniano: „Bez względu na wspaniałomyślność tego apelu i szlachetne jego intencje jest


BIULETYN DOLNOŚLĄSKI
MIESIĘCZNIK NIEZALEŻNY Wrzesień Nr 9/28 Rok 19
CENA 20 zł

„Biuletyn Dolnośląski" z tekstem Posłania do ludzi pracy Europy Wschodniej FOT. IPN

oczywiste, że stanowi on[o] zasadniczy błąd polityczny". Co zresztą dostrzegli od razu „umiarkowani wśród przywódców »Solidarności«". Z kolei w dzienniku „Le Qutidien de Paris" stwierdzano, że Związek Sowiecki ma do wyboru albo „zgniecenie" NSZZ „Solidarność", albo konieczność zawierania „kompromisów z rozbudzeniem robotniczym, które wcześniej czy później przeniknie też narody Zw[iązku] Radzieckiego, mające tę samą granicę co Polska, najpierw kraje bałtyckie, Białoruś i Ukrainę".

W ocenie szwajcarskiego dziennika „Basler Zeitung" Posłanie do ludzi pracy Europy Wschodniej „dostarczyło Związkowi Radzieckiemu swego rodzaju alibi". Na jego łamach stwierdzano: „Brzemienna w skutki gafa czy też nieubłagana logika przemian społeczno-politycznych. Wezwanie skierowane do robotników Europy Wschodniej i Związku Radzieckiego jest wydarzeniem posiadającym znaczenie znamiennego sygnału. Jest sprawą oczywistą, nie chodzi tutaj bynajmniej o sytuację rewolucyjną w pozostałych krajach bloku wschodniego. Ogólne warunki nie nadają się specjalnie do tego, aby zmobilizować Węgrów czy Czechów. Jeśli jednak wziąć pod uwagę, że także i pragmatycznie nastawieni przywódcy partyjni w Europie Wschodniej patrzą na świat przez okulary leninizmu, to stwierdzić trzeba, że apel »Solidarności« oraz aluzja o kontaktach osobistych z grupami opozycyjnymi w bloku wschodnim, a także prawie niezawoalowana wzmianka o prawach polskiej mniejszości narodowej w Związku Radzieckim dla tych sił w Moskwie, które chciałyby polskiemu widmu zgotować szybki i radykalny koniec, stanowią mile widziane alibi". Z kolei w innym szwajcarskim dzienniku, „Der Bund", pisano, nie wymieniając Posłania: „»Solidarność« zawsze głosiła, że nie chce odgrywać roli partii politycznej. Niemniej zjazd w Gdańsku wpakował się w czystą politykę". I ostrzegano przed drugą turą I KZD, że „teren, na którym można rozbudowywać dalej polski model socjalizmu, ma swoje granice i że te granice wyznacza nie tylko Gdańsk i Warszawa, lecz również, i to w decydujący sposób, Moskwa".

POSŁANIE NA ŚWIAT

Posłanie do ludzi pracy Europy Wschodniej było komentowane również w Grecji. Na łamach dziennika „Acropolis" pisano o podziwie dla Solidarności za to, że wykorzystując zdobywane doświadczenie, „posuwa się ona mądrze i zdecydowanie z jednej pozycji na drugą, unikając niepotrzebnych czynów, które mogłyby uzasadnić gwałtowną interwencję w celu zdławienia go. A teraz, bardziej potężny niż kiedykolwiek, wezwał robotników innych krajów o rządach komunistycznych, aby naśladowali jego przykład". Po czym dodawano: „Moskwa i jej rządy satelitarne poważnie rozważą ten apel". I – w ocenie tego dziennika – doskonale zdadzą sobie sprawę z tego, „jak niebezpiecznym dla utrzymania się reżimów komunistycznych byłoby, gdyby wiatr wolności zaczął powiewać w krajach wschodnioeuropejskich". Z drugiej strony przywódcy ci – w opinii tego dziennika – mieli być również świadomi, że „interwencja wojskowa" w celu likwidacji „pokojowego i nieuzbrojonego ruchu", jakim była NSZZ „Solidarność", miałaby „o wiele szkodliwsze reperkusje niż wszystkie poprzednie".

Posłanie miało także rezonans w krajach pozaeuropejskich. Tak było np. w Indiach, gdzie w wydawanym w stolicy tego kraju, New Delhi, dzienniku stwierdzano jednak, że żądania przeprowadzenia w Polsce wolnych wyborów parlamentarnych musiało Związek Sowiecki „bardziej zaalarmować niż wezwanie do tworzenia wolnych związków zawodowych w krajach bloku wschodniego".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest pracownikiem Biura Badań Historycznych IPN.

eprasa.pl 92d46bc765



KOMUCHOŻERCA

Zamykanie bram

LESZEK ŻEBROWSKI

Wiedza na temat powstania warszawskiego jest coraz większa i stale się rozszerza, ale dochodzą nowe, zadziwiające elementy. Paranoiczne rozkazy dowódcy płk./gen. Antoniego Montera „Chruściela", nakazujące walkę łomami i kilofami, nie były czymś wyjątkowym. Taka była mentalność znacznej części przedwojennej sanacyjnej kadry WP, która w znacznym stopniu skompromitowała się już we wrześniu 1939 r. Porzucanie powierzonych sobie dywizji, a nawet armii, i pospieszne udawanie się do Rumunii w kolumnach zarekwirowanych samochodów osobowych, wyładowanych rodzinami i wszelakimi dobrami, miało miejsce, gdy wojsko jeszcze walczyło, nieświadome stanu rzeczy. Zdarzają się jednak znaleziska (np. dokumenty), które sprawiają wrażenie, że mieliśmy do czynienia z dziećmi we mgle, które bawiły się życiem ludzkim.

Gdy klęska powstania była przesądzona, upadało Stare Miasto (część powstańców zdołała się wycofać, na co nie pozwolono ludności cywilnej), teren pod panowaniem polskim gwałtownie się kurczył, najwyżsi dowódcy snuli plany rodem z gier planszowych.

Oto 30 sierpnia 1944 r. gen. Tadeusz Pełczyński „Robak", zastępca dowódcy AK i szef sztabu Komendy Głównej, wydał rozkaz do okręgów AK, m.in. Radom-Kielce, Kraków, Śląsk, Łódź, w którym dzielił się doświadczeniem wojskowym, także z dotychczasowych walk w Warszawie. Polecał w nim, że najlepsze rezultaty osiąga się podczas uderzeń nocnych (szkoda, że od takiej koncepcji odstąpiono 1 sierpnia, rozpoczynając powstanie w najgorszej możliwej porze, o godz. 17). Nakazywał, aby przystosowywać do obrony ruiny domów (których jeszcze nie było!). Każdy stracony budynek ma być natychmiast odbity, pomocne będą barykady. Oddziały nieuzbrojone mają przygotowywać budynki do obrony (nie wiadomo czym).

„Położyć nacisk na karność w oddziałach, co ogromnie trzyma w ciężkich momentach". Zmuszać nieprzyjaciela do wgryzania się w teren i zdobywania kolejnych obiektów. Elementarne działania zostały podjęte tylko w Okręgu Radom-Kielce, aby na podstawie tych doświadczeń przeprowadzić szkolenia i przygotować materiały do walk w mieście. Ale i to zostało zaniechane, bo w Radomiu, Kielcach i Częstochowie nie było do tego odpowiednich warunków.

Curiosum to rozkaz gen. „Robaka": „Wszystkie bramy [mają być] zamknięte, aby uniemożliwić nplowi w natarciu korzystanie z nich". To miała być przeszkoda dla niemieckich jednostek szturmowych, które rozbijały bramy jednym uderzeniem, a ludność cywilną mordowały na miejscu? Takie rozkazy wyglądały na zabawę w wojnę nieudaczników i ignorantów. ©℗



HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Basia i Roman

SŁAWOMIR KOPER

Barbara Kwiatkowska-Lass zawdzięczała karierę przypadkowi. Filmowcy wypatrzyli ją podczas kręcenia scen tanecznych do pewnego krótkometrażowego filmu i dostała rolę w komedii „Ewa chce spać". Podczas kręcenia obrazu poznał ją Roman Polański i wręcz oszalał na jej punkcie.

„Była jedną z najpiękniejszych dziewczyn, jakie kiedykolwiek widziałem – wspominał. – Ciemna szatynka, prawie brunetka, miała twarz o wykroju migdała, wspaniałe długie rzęsy, zadarty nosek i gibkie, jędrne ciało".

Od razu poczuł się jej opiekunem i impresariem, i to właśnie on namówił Andrzeja Munka, aby zaangażował ją do „Zezowatego szczęścia". Munk nie był przekonany do tego pomysłu, ale ostatecznie zgodził się, zastrzegając jednak, że Polański sam będzie reżyserował sceny z udziałem Basi. Na dodatek, z właściwym sobie poczuciem humoru, powierzył Romanowi rolę korepetytora uwodzonego przez bohaterkę graną przez Kwiatkowską.

Praca na planie „Zezowatego szczęścia" przyniosła pierwsze poważne rozdźwięki między nimi. Polański zachowywał się jak arogancki dyktator, doprowadzając dziewczynę do histerii. Doszło wreszcie do tego, że Munk odebrał mu reżyserię, a potem zagroził usunięciem z planu.

Był jeszcze jeden problem – Kwiatkowska stawała się gwiazdą, natomiast kariera Polańskiego stanęła w miejscu. Nie zanosiło się, by nakręcił swój debiut pełnometrażowy, chociaż właściwie miał już gotowy scenariusz. Jednak najbardziej pochłaniał go związek z Basią, której wybaczył nawet ucieczkę do Warszawy i romans ze znacznie od niej starszym grafikiem, Lechem Zahorskim. Wreszcie udało mu się namówić ją na ślub, który zawarli 9 września 1959 r. w Łodzi. Polański miał wówczas 26 lat, a Kwiatkowska 19.

Małżeństwo nie układało się najlepiej – Roman był zazdrosny o popularność żony, a poza tym coraz bardziej uwidaczniały się różnice ich charakterów i zainteresowań. Basia „nie była w stanie uczestniczyć w tych jego intelektualnych dysputach", a on „w zamian ją tłamsił". Często dochodziło między nimi do kłótni, ale dopóki Polański miał nadzieję zaangażować żonę do swojego pełnometrażowego debiutu, dopóty godził się na wszystko.

Gdy Kwiatkowska otrzymała ofertę zagrania we francuskim filmie, namówił ją na wspólny wyjazd. Fakt, że zupełnie nie znała francuskiego, nie stanowił dla niego problemu, uważał bowiem, że jej uroda zastąpi wszystko, a pobyt nad Sekwaną może się stać kamieniem milowym w jej karierze. Pod tym względem rzeczywiście miał rację, jednak nie przewidział, że wyjazd ten będzie początkiem końca ich związku. ©℗

eprasa.pl 92d46bc765



Na Ukrainie od 2026 r. w boju testowane są roboty Phantom MK-1, które potrafią strzelać z pistoletu, strzelby lub karabinu FOT. FOUNDATION FUTURE INDUSTRIES

Wojny robotów



Jacek Przybylski

To już nie science fiction. Na polach bitew walczą już maszyny, które potrafią samodzielnie wyszukać i wyeliminować cel. Nie chodzi tylko o drony nad głowami czy roboty lądowe lub morskie. Powstają już projekty rakiet, które same wybierają cel i autonomicznie decydują, kiedy i jak w niego uderzyć. Na linie frontu trafiają też humanoidy zdolne strzelać ze wszystkiego: od pistoletu po karabin

W ciągu 10 lat na świecie będzie co najmniej 1 mld robotów, a ich produktywność ma być co najmniej pięć razy wyższa niż w przypadku ludzi – zapowiedział w ubiegłym tygodniu twórca Tesli, PayPala i SpaceX i najbogatszy człowiek świata Elon Musk. Człowiek, który został pierwszym w historii ludzkości bilionerem, swoją wizję niedalekiej przyszłości kreślił podczas wirtualnego spotkania z członkami obrad grupy G20 w Chapel Hill w amerykańskim stanie Karolina Północna. I jest to wizja świata nie tylko pełnego robotów, lecz także zdominowanego przez sztuczną inteligencję (AI).

AUTONOMICZNE ZABIJANIE

Ekscentryczny inżynier i wizjoner Elon Musk mówił co prawda o robotach i sztucznej inteligencji w kontekście zastosowań cywilnych. Wojskowi na całym świecie od lat pracują już nad wdrożeniem obu technologii w swoich armiach. Od dawna największe armie na całym świecie wykorzystywały AI do analizowania zebranych danych wywiadowczych, wskazywania potencjalnych celów i automatyzacji części procesów bojowych.

W sierpniu dziennik „The New York Times" poinformował o prawdopodobnie pierwszym przypadku, gdy rosyjski dron kierowany przez sztuczną inteligencję zabił w ataku na Ukrainie trzy osoby. Według ustaleń amerykańskich dziennikarzy AI sterująca zmodyfikowaną wersją lekkiego bezzałogowca Mołnia sama wybrała swój cel: stację benzynową, na której w momencie ataku znajdowało się troje cywilów: 19-letnia studentka oraz dwóch mężczyzn w wieku 41 i 48 lat.

Ukraińscy urzędnicy, na których powołują się w tekście amerykańscy dziennikarze, zdają sobie sprawę, że Rosjanie od dłuższego czasu szkolą drony kontrolowane przez AI do samodzielnego wybierania celów, takich jak stacje benzynowe, zbiorniki z propanem czy ośrodki rekrutacji wojskowej.

Rosyjski dron był wyposażony w mikrokomputer Jetson Orin marki Nvidia. To kompaktowy, wydajny komputer stworzony z myślą o sztucznej inteligen-

eprasa.pl 92d46bc765

cji i robotyce. Amerykanie eksportują go na masową skalę, choć teoretycznie Rosjanie nie powinni go móc łatwo nabyć, bo sprzęt ten jest objęty zakazem eksportu do Rosji. Urządzenie jest jednak banalnie łatwo dostępne na rynku wtórnym. Rosyjska armia używa go więc w dronach, a także w niektórych rakietach manewrujących.

Oczywiście ukraińscy wojskowi również używają tego typu systemów. Były minister obrony Ukrainy Mychajło Fedorow – który w ubiegłym tygodniu ogłosił, że buduje obecnie własną firmę zajmującą się technologiami obronnymi – przyznawał oficjalnie, że drony uzbrojone nie tylko w ładunki wybuchowe, lecz także w sztuczną inteligencję, która autonomicznie w czasie rzeczywistym decyduje o tym, jaki cel obrać, były testowane na okupowanym przez Rosję Krymie. Ukraińskie autonomiczne maszyny do zabijania nie spowodowały jednak dotąd śmierci cywilów (a przynajmniej nic o tym oficjalnie nie wiadomo).

TRYB: TERMINATOR

Z okazji Dnia Niepodległości w Kijowie pod koniec sierpnia zorganizowano pierwszą w historii paradę dronów naziemnych (UGV) z podwoziem gąsienicowym, powietrznych (UAV) i nawodnych (USV). W pokazie wzięło udział niemal 100 maszyn, które na co dzień są wykorzystywane przez ukraińskie wojsko do wykonywania misji bojowych (bezzałogowce mogą być uzbrojone w karabiny maszynowe, wyrzutnie przeciwpancerne czy też w działka kalibru 30 mm), rozpoznawczych, logistycznych i ewakuacyjnych.

Były wśród nich m.in. ukraińskie roboty lądowe Ryś PRO – o ładowności do 300 kg i zasięgu od 40 do 80 km – które są sterowane przez sieć LTE lub system satelitarny Starlink i mogą brać udział w operacjach szturmowych przeciw piechocie wroga, prowadzić ewakuację rannych (można na nich instalować nosze), zabierać ciała poległych albo zapewniać logistykę blisko linii frontu.

Na filmie z parady można też wypatrzeć roboty MAGURA, czyli ukraińskie drony morskie, które zyskały sławę po tym, jak za ich pomocą Ukraińcom udało się sparaliżować rosyjską Flotę Czarnomorską. Ich wersja kamikaze (V5) działa niczym „pływająca bomba". Z kolei MV11 to bezzałogowy „lotniskowiec", czyli dron morski, który może zabierać na pokład do 2200 kg (np. mniejsze drony) i wspierać operacje desantowe.

Mimo dużej różnorodności zaprezentowanego w Kijowie sprzętu, wiadomo, że to zaledwie ułamek bezzałogowego uzbrojenia, którym dysponuje ukraińska armia. W czerwcu obecnego roku start-up MaXon Systems pochwalił się, że z powodzeniem zakończył ostatnie testy w warunkach bojowych autonomicznego drona przechwytującego. Autonomiczne maszyny dzięki sztucznej inteligencji potrafią skutecznie przechwytywać drony wroga. Już w czerwcu miały też na koncie pierwsze potwierdzone zestrzelenia rosyjskiego drona Shahed. System ma tę zaletę, że udział człowieka jest ograniczony do minimum: operator wybiera jedynie rodzaj celu i wydaje rozkaz uderzenia, a potem wszystko dzieje się już autonomicznie. Według byłego ministra Fedorowa system automatyzuje 95 proc. procesu przechwytywania. Oprogramowanie wspierane przez AI najpierw samodzielnie naprowadza drona myśliwca do strefy celu, a następnie rozpoznaje dany typ. Jeśli rozpozna wybranego wcześniej Shaheda, automatycznie śledzi cel. Wówczas wystarczy jedno kliknięcie człowieka, aby dron zdetonował ładunek (zabezpieczenie typu „człowiek w pętli" jest stosowane wyłącznie po to, aby zwiększyć bezpieczeństwo całego systemu). Kluczowe znaczenie ma tu nie tylko skuteczność, lecz także cena. Jeden dron interceptor kosztuje Ukraińców ok. 3,5 tys. dol. Dla porównania jedna rakieta systemu Patriot kosztuje od 5 mln do 7 mln dol., a do tego w czasach wojny na Bliskim Wschodzie tego typu rakiety nie są wcale łatwe do kupienia. Wyprodukowanie jednego Shaheda kosztuje Rosjan ok. 35 tys. dol. (to więc 10 razy tyle, ile trzeba zapłacić za drona służącego do jego zniszczenia).

Z technicznego punktu widzenia ingerencja człowieka nie jest już potrzebna. Ukraińska armia już dwa lata temu przetestowała na polu bitwy całkowicie autonomiczne drony bojowe, które potrafią samodzielnie wyszukiwać cel (np. na wskazanym obszarze o powierzchni od 3 do 5 km) i wyeliminować go bez jakiegokolwiek udziału operatora. Jednorazowy test obejmował 10 sterowanych przez sztuczną inteligencję dronów Terminator na linii frontu wojny z Rosją. Wynik: rosyjscy żołnierze zostali zabici. Bezzałogowce rozbiły też jedną ciężarówkę wroga.

Przyznał to w opublikowanej w czerwcu obecnego roku rozmowie z „New Scientist" Ołeksandr Kohanowski, szef Aero Centre, firmy produkującej drony na potrzeby ukraińskiej armii. Zasada działania takiego systemu jest prosta: cokolwiek wypatrzy bezzałogowiec z AI, nie ma już szans na przeżycie. Drony potrafią skutecznie rozpoznawać ludzi, pojazdy, a także konkretne zachowania żołnierzy na polu walki. W „trybie Terminatora" nie mają już żadnego połączenia z bazą – nie przesyłają zdjęć, obrazu wideo czy innych danych. Mają tylko jedno zadanie: wyeliminować wszystko, co znajdą na wyznaczonym obszarze. Po jakimś czasie wystarczy wysłać nad wybrany teren drona z kamerą, aby zweryfikować, że wszyscy atakujący żołnierze są już martwi. I to cała filozofia. Władze w Kijowie nie dały jednak dotąd formalnej zgody na autonomiczne zabijanie i ostateczną decyzję o życiu lub śmierci wroga nadal muszą podejmować ludzie. Nawet w takiej sytuacji rój 64 dronów wymaga zatrudnienia zaledwie dwóch operatorów.

W rozmowie z „New Scientist" Kohanowski zauważył jednak, że rząd w Kijowie zdaje sobie sprawę z rosnących możliwości sztucznej inteligencji i prowadzi rozmowy z firmami zbrojeniowymi na temat ewentualnego złagodzenia przepisów dotyczących użycia AI w robotach zabójcach. Zresztą już w 2023 r. w mediach pojawiały się informacje o ukraińskich dronach, które dzięki sztucznej inteligencji samodzielnie rozpoznają cele (np. czołgi) i autonomicznie – bez jakiejkolwiek kontroli człowieka – eliminowały wroga. Na przykład dron Saker Scout – zatwierdzony do użytku w ukraińskiej armii we wrześniu 2023 r. – korzysta z zaawansowanych algorytmów i optyki (w tym opcji na podczerwień), aby samodzielnie wykrywać, rozpoznawać i namierzać sprzęt wroga nawet w nocy. Współpracuje z dronami kamikaze, sam również może przenosić ładunki wybuchowe zdolne do niszczenia nawet dobrze opancerzonych czołgów.

NOWY WYŚCIG ZBROJEŃ

Na Ukrainie od lutego 2026 r. są testowane też pierwsze amerykańskie

eprasa.pl 92d46bc765

dwunożne maszyny bojowe Phantom MK-1, czyli mierzące 180 cm wzrostu, ważące 80 kg humanoidy zdolne przenosić do 40 kg i poruszać się z prędkością 1,7 m/s.

Automatyczni żołnierze zostali zaprojektowani przez start-up w San Francisco od początku z myślą o walkach: potrafią więc się posługiwać różnymi rodzajami uzbrojenia, od pistoletów i strzelb po karabiny M-16 (ten typ broni jest używany przez żołnierzy ponad 80 państw) oraz każdą inną broń, którą jest w stanie się posługiwać wojskowy z krwi i kości.

„Uważamy, że istnieje moralny imperatyw, aby wysyłać te roboty na wojnę zamiast żołnierzy" – tłumaczył w rozmowie z magazynem „Time" Mike LeBlanc, weteran Korpusu Piechoty Morskiej z 14-letnim stażem, który odbył wiele misji w Iraku i Afganistanie, a także współzałożyciel Foundation, firmy produkującej Phantoma. Inwestorem w Foundation jest m.in. Eric Trump. Firma ma już zaś podpisane kontrakty z armią, marynarką wojenną oraz siłami powietrznymi Stanów Zjednoczonych o łącznej wartości 24 mln dol.

Phantomy – sterowane przez cyfrowy mózg bazujący na sztucznej inteligencji – są testowane w różnych częściach świata. Potrafią rozpoznawać obiekty i samodzielnie podejmować decyzje. Są również przygotowywane do potencjalnego wykorzystania w scenariuszach bojowych w misjach Pentagonu, który „kontynuuje badania nad rozwojem zmilitaryzowanych prototypów humanoidalnych, zaprojektowanych do działania u boku żołnierzy w złożonych środowiskach wysokiego ryzyka". Jak zauważył „Time", roboty żołnierze mogą też służyć do patrolowania południowej granicy USA. Humanoidy nad ludźmi mają teoretycznie dużą przewagę. Nie odczuwają ani zmęczenia, ani strachu. Nie cierpią na PTSD. Potrafią działać niemal nieprzerwanie w ekstremalnych warunkach. Są odporne na promieniowanie, chemikalia i inne zagrożenia biologiczne. A jeśli „zginie" ich cała brygada, to w porównaniu ze śmiercią tysięcy nastoletnich żołnierzy ewentualne polityczne reperkusje byłyby o wiele mniejsze.

Na froncie ukraińsko-rosyjskim Phantomy miały początkowo służyć do wsparcia rozpoznania na pierwszej linii.



Z okazji Dnia Niepodległości w Kijowie zorganizowano pierwszą w historii paradę wojskowych dronów

FOT. PRESIDENT.GOV.UA

W marcu gazeta internetowa Ukraińska Prawda zauważyła jednak, że dwunożne maszyny lepiej sprawdzają się w różnego rodzaju zadaniach i obsłudze broni strzeleckiej w warunkach testowych niż na realnym polu bitwy. Podczas testu wyszły bowiem takie niedoskonałości, jak krótki czas pracy na baterii, problemy z wyważeniem czy brak pełnej wodoodporności. Postęp w tej dziedzinie następuje jednak tak szybko, że wiele tych wad zapewne błyskawicznie uda się naprawić.

Nad stworzeniem coraz potężniejszych i skuteczniejszych maszyn do zabijania w humanoidalnej postaci pracują już także Chińczycy i Rosjanie. Chińska Armia Ludowo-Wyzwoleńcza podczas pokazów w Nankinie pokazała humanoidalną maszynę, która była połączona z żołnierzem za pomocą systemu czujników i błyskawicznie kopiowała każdy cios swojego operatora. Władze w Pekinie dążą jednak do stworzenia autonomicznych systemów bojowych. Chiny rozwijają też autonomiczne drony i sprzedają je m.in. na Bliski Wschód.

POTĘPIENIE ZE STRONY ONZ

W prawie międzynarodowym nie ma wprost sformułowanego zakazu stosowania autonomicznej broni, która dzięki sztucznej inteligencji potrafi samodzielnie wybierać cel i zabijać bez potrzeby ingerencji człowieka.

„Jesteśmy głęboko zaniepokojeni, że wykorzystywanie dużych modeli językowych do generowania i priorytetyzacji celów popycha podmioty wojskowe w stronę takiej formy prowadzenia wojny, w której podstawowe zasady międzynarodowego prawa humanitarnego – w tym zasady rozróżnienia, proporcjonalności i ostrożności – nie są, a prawdopodobnie nie mogą być, przestrzegane, biorąc pod uwagę ogromną szybkość i skalę tego typu technologii, a także mało wiarygodne, stronnicze i często nielegalnie uzyskane dane wejściowe" – czytamy w wydanym w czerwcu obecnego roku wspólnym oświadczeniu organizacji humanitarnych.

Również ONZ ostrzega, że roboty mordercy mogą naruszać międzynarodowe prawo humanitarne i prawa człowieka, sprawiając, że decyzje o życiu lub śmierci na polu walki zapadają bez ludzkiego osądu. W maju 2025 r. sekretarz generalny ONZ António Guterres kolejny raz wezwał więc do wprowadzenia globalnego zakazu stosowania autonomicznych śmiercionośnych systemów uzbrojenia – maszyn zdolnych do odbierania ludziom życia bez nadzoru człowieka – określając je jako „politycznie nieakceptowalne" i „moralnie odrażające". „Maszyny, które mają moc i swobodę odbierania ludzkiego życia bez ludzkiej kontroli, powinny być zakazane na mocy prawa międzynarodowego" – przekonywał Guterres, apelując o to, aby stosowne regulacje zostały przyjęte do 2026 r.

Eksperci nie mają wątpliwości: jeśli oddział żołnierzy napotka rój zabójczych dronów lub humanoidów zabójców, skończy się krwawą łaźnią. Ponadto, jeśli wojny zamiast żołnierzy będą toczyć tylko roboty (niezależnie od tego, czy te pływające, latające czy biegające na dwóch nogach), to konflikty mogą się przerodzić z wydarzeń tragicznych dla całych narodów w wojny, w których o wygranej będzie decydować tylko poziom technologii i zasobność gospodarki.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 92d46bc765



FOT. TRIMBOS INSTITUUT

GREAT AGAIN

Szanowany holenderski ośrodek leczenia uzależnień wydał ostrzeżenie przed przyjmowaniem tabletek ecstasy w kształcie głowy prezydenta Donalda Trumpa. Ich wygląd przykuwa uwagę: z przodu widnieje podobizna gospodarza Białego Domu, a z tyłu – napis: „great again", co jest nawiązaniem do hasła „Make America Great Again". Jak przekazano w komunikacie, tabletki mogą być śmiertelne. Ponoć zawierają substancję, która działa bardzo powoli, co zachęca zażywające je osoby do przyjmowania większych dawek aż do przedawkowania.

SKLEJKA

O dużym szczęściu może mówić 57-letnia kobieta wynajmująca mieszkanie na trzecim piętrze w jednym z bloków w Ulm. Gdy rozwieszała pranie na balkonie, pod jej stopami oderwała się sklejka o grubości zaledwie kilku centymetrów i zrobiła się dziura. Kobieta spadła z ok. trzech metrów jeden poziom niżej. Odniosła lekkie obrażenia i została odwieziona do szpitala. Okazuje się, że właściciel mieszkanie, które wynajmowała, uprzedzał ją, żeby nie korzystać z balkonu.

PO TORZE

Mocno pechowa okazała się dla 60-letniej mieszkanki Teksasu przejażdżka kolejką górską w ośrodku Copper Mountain Resort w Kolorado. Kobieta została wyrzucona z fotela i przypięta już tylko częściowo pasem bezpieczeństwa była wleczona po torze przez 20–30 sekund. Kolejka się nie zatrzymała. Za kobietą jechał jej mąż, który próbował żonie pomóc, ale bez skutku. Kobieta doznała złamania żebra, zapadnięcia płuca, urazu mózgu i zwichnięcia barku. Policja bada okoliczności wypadku.

LOT

Pijany 24-latek uprowadził mały samolot z lotniska w Kalocsa i udał się w kierunku Paks, gdzie znajduje się jedyna węgierska elektrownia atomowa. Węgierskie radary wojskowe wykryły nielegalny lot. W pościg ruszyły dwa myśliwce. Ostatecznie uprowadzona maszyna wylądowała awaryjnie na polu słoneczników koło Gerjen. Myśliwce ją namierzyły i krążyły nad miejscem zdarzenia do czasu przybycia służb ratunkowych. Pilot odniósł lekkie obrażenia. Został aresztowany.

RYŚ

W Kirkland właściciel domu usłyszał tajemnicze hałasy i, podejrzewając włamanie, wezwał policję. Stróże prawa odkryli jednak, że „włamywaczem" okazał się ryś. Zwierzę siedziało na szczycie schodów i warczało. Funkcjonariusze użyli drona, by bezpiecznie śledzić intruza. Udało im się go zagonić do oddzielnego pokoju. Następnie pracownicy odpowiedniej służby stanu Waszyngton uśpili rysia, po czym wypuścili go blisko jego naturalnego siedliska. ©℗

Filip Memches



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Europa chce być jak Polska

Produkt krajowy brutto Polski w drugim kwartale urósł realnie o 3,9 proc. rok do roku – ogłosił w ubiegłym tygodniu GUS. Najnowsze dane pokazały długo oczekiwane odbicie inwestycji trwałych i pozytywny wpływ eksportu netto (handel zagraniczny dodał do wzrostu PKB 0,5 p.p.).

O tak dobrych danych z gospodarki wiele państw Starego Kontynentu może tylko pomarzyć. „Przyszłość Europy jest coraz bardziej polska" – to tytuł tekstu na łamach brytyjskiego dziennika „The Telegraph". Publicysta Daniel Johnson zwraca w nim uwagę nie tylko na wzrost gospodarczy, lecz także na odwrócenie trendów migracyjnych (więcej Polaków opuszcza Wielką Brytanię, niż do niej przyjeżdża).

Według danych Eurostatu Polska jest szóstą największą gospodarką UE pod względem nominalnego PKB, wyprzedzając m.in. Belgię, Szwecję, Austrię i Irlandię.

Polska jest też liderem w UE pod względem zapasów gazu. Unijna średnia wynosi 65 proc. Łotysze mają zbiorniki wypełnione w zaledwie 45 proc., Niemcy w 53 proc., a Holendrzy w 47 proc. Nad Europą wisi więc widmo drogiej i chłodnej zimy, bo zapasy są nie tylko wyraźnie niższe, niż wynosi średnia z ostatnich pięciu lat, ale najniższe w całej historii. Na szczęście w Polsce magazyny wypełnione są w ponad 91 proc.

Polska rozwija się też militarnie. Szkoda, że nasi politycy w takim momencie w szalonym tempie zaciągają rekordowe długi. Jednocześnie rośnie bowiem niepewność dotycząca wpływu przedłużającego się konfliktu między USA a Iranem na gospodarkę Polski. Rośnie także ryzyko dla Europy wynikające z zawirowań geopolitycznych. ©℗

eprasa.pl 92d46bc765

„Wowa", Kyryło, „Forrest



Pojawia się coraz więcej poszlak pozwalających sądzić, że Zełenski i jego współpracownicy ponoszą w sprawie korupcji nie tylko polityczną odpowiedzialność FOT. PRESS SERVICE OF THE PRESIDENT OF UKRAINE/IMAGO STOCK AND PEOPLE/EAST NEWS



Maciej Pieczyński

Ukraińskie władze okradają własne państwo. I to w czasie wojny. Coraz więcej wskazuje na możliwy udział w korupcyjnym procederze zarówno Budanowa, jak i Zełenskiego

Afera Mindicza wybuchła jesienią ubiegłego roku. Biznesmen Timur Mindicz, bliski przyjaciel prezydenta Wołodymyra Zełenskiego z czasów jego kariery kabaretowej, kierował grupą, wymuszającą od podwykonawców Enerhoatomu (państwowej spółki zajmującej się energetyką jądrową) łapówki sięgające 15 proc. kontraktu. Do Internetu raz na jakiś czas wyciekają nagrania zamieszanych w proceder urzędników i przedsiębiorców. Początkowo wydawało się, że sam prezydent co najwyżej patronuje tej grupie, natomiast sam bezpośrednio rąk korupcją sobie nie ubrudził. Jednak pojawia się coraz więcej poszlak, pozwalających sądzić, iż prezydent Ukrainy oraz jego najbliżsi współpracownicy ponoszą w tej sprawie nie tylko polityczną odpowiedzialność.

AFERY NA SZCZYTACH WŁADZ

Przekręty przyjaciela Zełenskiego zostały zbadane i ujawnione w ramach operacji „Midas" przez Narodowe Biuro Antykorupcyjne Ukrainy oraz Specjalną Prokuraturę Antykorupcyjną. Czyli przez dwie instytucje, których niezależność próbował ukrócić sam prezydent, wywołując tą decyzją bezprecedensowe w warunkach wojny protesty uliczne. Stopniowo za kraty zaczęli trafiać coraz wyżej postawieni urzędnicy. W połowie lutego tego roku funkcjonariusze NABU przy próbie ucieczki z kraju zatrzymali byłego ministra energetyki, a następnie ministra

eprasa.pl 92d46bc765

Gump" i „Dynastia"

sprawiedliwości Hermana Hałuszczenkę. Jako szef resortu, nadzorującego branżę, w której funkcjonuje Enerhoatom, Hałuszczenko miał uczestniczyć w praniu brudnych pieniędzy. Ten sam zarzut usłyszał zatrzymany w maju tego roku Andrij Jermak. Jego dymisja, a następnie aresztowanie, wywołały ogromną polityczną burzę nad Dnieprem. W końcu jako szef Biura Prezydenta uważany był a to za szarą eminencję („zielonego kardynała", jak go nazywano, również w nawiązaniu do nazwiska głowy państwa), a to za prawą rękę Zełenskiego, a to wręcz za „nadprezydenta", który pociąga za wszystkie sznurki. Udział Jermaka w aferze był jednak tak oczywisty, że jego dalsza obrona byłaby dla rządzącej ekipy politycznym samobójstwem.

Mychajło Tkacz z „Ukraińskiej Prawdy" jako jeden z pierwszych dziennikarzy śledczych nad Dnieprem już po wybuchu wojny z Rosją zaczął pisać o aferach korupcyjnych na szczytach władz. Jednocześnie apelował do prezydenta o to, aby potraktował łapownictwo jako wroga wewnętrznego, którego pokonanie jest warunkiem koniecznym zwycięstwa nad wrogiem zewnętrznym. Było to jednak wołanie na puszczy. Afera Mindicza to największa, ale zarazem już kolejna afera kompromitująca przedstawicieli ukraińskiej elity rządzącej. Wcześniej na ustawionych przetargach zarabiali urzędnicy Ministerstwa Obrony.

„KIEROWNICTWO", CZYLI KTO?

Teraz okazuje się, że „źli" są nie tylko „bojarzy", lecz także sam car. 20 sierpnia Tkacz ujawnił, że ludzie prezydenta mieli zorganizować 150 mln hrywien na kaucję dla Hałuszczenki. Były szef resortu energetyki mógł bowiem zacząć sypać. Jego informacje pozwoliłyby śledczym odpowiedzieć na dwa, kluczowe dla sprawy pytania. Po pierwsze: Jaką rolę w schemacie korupcyjnym grupy Mindicza odegrali urzędnicy Biura Prezydenta? Po drugie: Kto tak naprawdę był beneficjentem zagranicznych rachunków, na które wyprowadzono dziesiątki milionów dolarów? Gdy okazało się, że Hałuszczenko jest gotów na współpracę ze śledczymi, otoczenie władzy zaczęło szukać sposobu, aby wyciągnąć go z aresztu. Wysokość kaucji wynosiła 200 mln hrywien. Rzecz jasna, dla grupy Mindicza zebranie takiej sumy nie było żadnym problemem. Jedyna trudność polegała na tym, aby wpłacić już wyprane pieniądze. W czerwcu „Ukraińska Prawda" donosiła, że „portfelem", z którego zostanie wypłacona kaucja, prawdopodobnie będzie biznesmen Wasyl Astion, bliski znajomy wiceszefa Biura Prezydenta Andrija Smyrnowa, który również jest na celowniku NABU i SAP. Astion wówczas zaprzeczył. Niemniej, pewien wpływowy biznesmen w rozmowie z „UP" przekonywał, że w akcję wyciągnięcia Hałuszczenki zza krat zaangażowane są najważniejsze osoby w państwie.

Przekręty przyjaciela Zełenskiego zostały zbadane i ujawnione w ramach operacji „Midas" przez Narodowe Biuro Antykorupcyjne Ukrainy oraz Specjalną Prokuraturę Antykorupcyjną. Czyli przez dwie instytucje, których niezależność próbował ograniczyć sam prezydent

Operację, polegającą na znalezieniu i legalizacji pieniędzy przeznaczonych na kaucję, sam Wołodymyr Zełenski zlecił szefowi swojego biura. Kyryło Budanow z kolei tę misję scedował na byłego deputowanego i dewelopera zarazem – Maksyma Mykytasia. Tymczasem sąd zmniejszył kaucję z 200 do 150 mln hrywien. I taka kwota została pod koniec czerwca wpłacona. Hałuszczenko wyszedł na wolność. Jak komentuje Mychajło Tkacz, „zgodnie z tradycją" poręczenie za skorumpowanego polityka wpłaciły nikomu nieznane firmy, należące do nikomu nieznanych właścicieli. Wtedy wydawało się, że Zełenski i jego ludzie mogą odetchnąć z ulgą.

Jednak 19 sierpnia NABU i SAP ujawniły, że prowadzą operację pod kryptonimem Forrest Gump, wymierzoną w organizację przestępczą działającą pod kierownictwem deputowanych do Rady Najwyższej oraz urzędników Biura Prezydenta. Tego samego dnia przeszukane zostały domy wiceszefowej BP Iryny Mudrej oraz Wadyma Stolara – parlamentarzysty frakcji Odnowienie Ukrainy (ugrupowania, powstałego na gruzach zdelegalizowanej, prorosyjskiej Opozycyjnej Platformy – Za Życie), a zarazem dewelopera. Mudra jeszcze tego samego dnia podała się do dymisji, a sześć dni później została aresztowana. Stolar przebywa za granicą. W sprawę zamieszany jest też wspomniany Maksym Mykytas, a także kilku urzędników z Ministerstwa Sprawiedliwości. Są oni podejrzewani o wypranie pieniędzy, potrzebnych na kaucję dla Hałuszczenki. Do legalizacji przeznaczonych na ten cel środków miał zostać wykorzystany Sense Bank, czyli znacjonalizowany w 2023 r. rosyjski Alfa Bank.

W ramach operacji „Forrest Gump" NABU opublikowało dowody – nagrania rozmów figurantów sprawy. Najważniejsze fragmenty dotyczą Mudrej i Mykytasia. Zastępczyni Budanowa i biznesmen naradzają się, skąd wziąć legalne pieniądze na kaucję za Hałuszczenkę. Co najciekawsze, Mudra na taśmach powołuje się na „kierownictwo". „Czy tym »kierownictwem« był szef Biura Prezydenta Kyryło Budanow, czy też może sam prezydent zlecał zadania, związane z kaucją. Na ten moment za wcześnie, by wyrokować" – pisał Mychajło Tkacz 20 sierpnia. Tak czy inaczej, już na tamtym etapie obraz sytuacji wyglądał wyjątkowo niekorzystnie z punktu widzenia głowy państwa. Jeśli

eprasa.pl 92d46bc765

wierzyć taśmom, albo Budanow, albo sam Zełenski zlecali wypranie brudnych pieniędzy, aby dzięki temu ukręcić łeb potężnej aferze korupcyjnej.

25 sierpnia Iryna Mudra została aresztowana. Dzień później nowe światło na sprawę rzuciła Jarosława Wolwacz z portalu Hromadske. Dziennikarka śledcza dotarła do materiałów wniosku o środek zapobiegawczy w sprawie operacji „Forrest Gump". Tu trzeba zaznaczyć, że inaczej niż we właściwej aferze Mindicza, tym razem śledczy byli oszczędni w publikacji nagrań z podsłuchu. Dlatego Wolwacz opierała się nie na opublikowanych taśmach, tylko na tym, do czego dotarła sama. W dokumentach oprócz Mudrej figuruje jeszcze jeden urzędnik Biura Prezydenta, przez śledczych uważany za organizatora zbiórki i legalizacji pieniędzy na kaucję dla Hałuszczenki. W rozmowach nie pojawia się jego nazwisko, pada natomiast imię – Kyryło. Miejscami wraz z patronimikiem – Kyryło Ołeksijowycz. „Zgodnie z materiałami śledztwa miał on przejmować pod swoją kontrolę gotówkę od Timura Mindicza i członków jego grupy przestępczej, organizować jej przechowywanie oraz mechanizm przekazywania środków, a także zapewniać wynagrodzenie finansowe wszystkim osobom, zaangażowanym w proceder" – pisze Jarosława Wolwacz. Choć nagrani rozmówcy nie wymieniają jego nazwiska, to z kontekstu wynika jasno, że chodzi o Budanowa. Odnotowują to również śledczy. „Nazwisko Budanowa można zobaczyć w materiałach śledztwa" – zauważa dziennikarka.

Z jej artykułu wynika, że „Kyryło Ołeksijowycz" był w zmowie z Mindiczem. Na prośbę biznesmena Budanow przejął nieformalną kontrolę nad Sense Bankiem, który miał przechowywać pieniądze na kaucję. Mindicz miał osobiście dostarczyć gotówkę szefowi Biura Prezydenta. Budanow przekazał dalej pieniądze Mykytasiowi. Jego ludzie z kolei przewozili plastikowe worki z milionami hrywien do biznesmena Wasyla Astiona, który miał pomóc zamienić gotówkę na legalne środki na rachunkach firm. Na nagraniach Mykytas informuje Astiona: „Całą ochronę HUR tam wysłali, tam do ciebie do punktu wysłali. Bo przywieźli pięć worków pieniędzy".

To jedno z najbardziej efektownych ustaleń dziennikarki Hromadske. Wychodzi na to, że były szef HUR, a obecnie szef Biura Prezydenta, do transportu brudnych pieniędzy, które miały następnie zostać wyprane i przeznaczone na poczet wyciszenia afery korupcyjnej, użył funkcjonariuszy służby, którą kierował. HUR to, jak wiadomo, wywiad wojskowy. Jedna z najważniejszych służb w kraju, toczącym wojnę z agresorem. Sam zaś Budanow był i pozostaje bohaterem tej wojny. Organizował spektakularne akcje dywersyjne na tyłach Rosjan. Jeśli wierzyć ustaleniom służb antykorupcyjnych i dziennikarzy śledczych, to odpowiadał również za organizację niemal równie spektakularnych akcji dywersyjnych na tyłach Ukraińców…

Wychodzi na to, że były szef HUR, a obecnie szef Biura Prezydenta, do transportu brudnych pieniędzy, które miały następnie zostać wyprane i przeznaczone na poczet wyciszenia afery korupcyjnej, użył funkcjonariuszy służby, którą kierował

I ta akcja się udała. Mindicz i jego ludzie zebrali pieniądze na kaucję, po czym Mindicz przekazał je Budanowowi, Budanow (z pomocą i za pośrednictwem Mudrej) Mykytasiowi itd., aż po wypraniu już legalna kwota pozwoliła zamieszanemu w sprawę Hałuszczence opuścić areszt. A po tym wszystkim – jak wynika z nagrań – Mudra zadzwoniła do Mykytasia i dołączyła do rozmowy Budanowa, który podziękował biznesmenowi za dobrze wykonaną pracę. Oczywiście przedsiębiorcy, którzy odegrali rolę portfeli, otrzymali za to swoją dolę. Jak się okazuje, nielegalnie bogacili się nie tylko na „usługach" dla polityków. Równolegle z operacją „Forrest Gump" NABU i SAP prowadzą sprawę „Temida". Dotyczy ona tzw. rejderstwa, jak na obszarze postsowieckim określa się bezprawne przejmowanie cudzych firm. Grupa przestępcza, kierowana przez Mykytasia i Stolara, za pomocą fałszywych dokumentów, sądów i rejestrów państwowych wchodziła w posiadanie przedsiębiorstw i nieruchomości. W jednym z przypadków planowali nawet porwanie człowieka, aby wymusić oddanie konkretnej firmy. Pomagała im w całym procederze… Iryna Mudra. Nie ma jak na razie żadnych dowodów, aby w tę sprawę zamieszany był również Budanow.

Szef Biura Prezydenta nie jest na razie podejrzanym. Komentując doniesienia, stwierdził lakonicznie, że wszystko rozstrzygnie sąd. A jaka może być w tych wszystkich aferach rola Zełenskiego? Nie ma jednoznacznych dowodów na to, że wiedział o działalności Mindicza, choć jest to bardzo prawdopodobne. Niemniej, na taśmach pojawia się niezbyt tajemniczy „Wowa". Niezbyt tajemniczy, bo z kontekstu jasno wynika (podobnie jak z Budanowem), że chodzi o Zełenskiego właśnie. O „Wowie" na taśmach Mindicza ukraińska opinia publiczna dowiedziała się pod koniec kwietnia tego roku z artykułu „Ukraińskiej Prawdy". Z doniesień wynikało, że za pieniądze grupy Mindicza miała powstać „Dynastia", czyli kompleks czterech rezydencji w Kozynie – sypialni Kijowa. Każda z rezydencji miała mieć po ok. 1 tys. m kw. powierzchni. Dodatkowo planowano piąty, wspólny obiekt ze strefą SPA. Ostatecznie budowy „Dynastii" nie dokończono. Latem 2025 r. Mindicz kazał ją wstrzymać i odpowiednio zabezpieczyć niedokończone budynki. Według „Ukraińskiej Prawdy", wille były przeznaczone dla Mindicza, Ołeksija Czernyszowa (byłego wicepremiera), Jermaka oraz Zełenskiego. Na udział prezydenta wskazuje padające na taśmach imię „Wowa". Przy czym, co ciekawe, NABU zaprzecza, jakoby chodziło o Zełenskiego, a nawet zapewnia, że prezydent nie figuruje w postępowaniu przygotowawczym w sprawie „Dynastii". To wniosek, wyciągnięty przez „Ukraińską Prawdę", która nie opublikowała nagrania audio. Mychajło Tkacz powołuje się na transkrypcję dialogów, do których otrzymał dostęp. Jego źródła twierdzą, że chodziło tam o Zełenskiego. Pewności stuprocentowej brak. Jedno jest jednak pewne: Zełenski za aferę Mindicza ponosi polityczną odpowiedzialność…

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 92d46bc765



PROSTO ZYGZAKIEM

Doktor Kacprzyk vs. doktor Judym?

PIOTR GABRYEL

Cóż, to niestety smutna prawda: dziś w Polsce pewnie łatwiej o prawnika, a choćby i adwokata pracującego pro bono – czyli za darmo – dla swego klienta, niźli o lekarza leczącego pro bono swego pacjenta.

To ponure zderzenie z rzeczywistością dla wszystkich, którzy wychowali się na doktorze Judymie i profesorze Wilczurze, a teraz nie ma dnia, żeby nie dowiadywali się o kolejnych „doktorach Kacprzykach" z coraz to innych szpitali w Polsce, którzy bezlitośnie wysysają z nich (czyli z tych szpitali, a w rzeczy samej – z utrzymujących je podatników pacjentów) co roku po ponad milion albo i po ponad dwa miliony złotych i w dodatku w skali kraju są ich grube tysiące. Choć, chcę wierzyć, znacznie, znacznie „grubsze" tysiące z oddaniem wciąż nas leczą bez oglądania się na bajońskie zarobki.

Wszelako jako że współczesnym wzorcem „doktora" zdaje się być jednak bardziej „doktor Kacprzyk" niż „doktor Judym", to czyż może dziwić, że lawinowo rośnie liczba chętnych do dołączenia do tego rozrastającego się klubu lekarzy milionerów? Tak przynajmniej wynika z informacji o liczbie chętnych na studia medyczne. O przyjęcie na studia lekarsko-dentystyczne ubiegało się w tym roku dużo więcej osób aniżeli przed rokiem, kiedy też było ich już sporo – według „Rzeczpospolitej" o jedno miejsce walczyło wtedy średnio aż 18 chętnych, o czterech więcej niż w 2024 r. A w tym roku chętnych było jeszcze dużo więcej, bo na niektórych uczelniach aż o dwie trzecie więcej niż przed rokiem. I tylko w części tłumaczy to skumulowany – w efekcie dawnej reformy sześciolatków – rocznik maturzystów.

Obawiam się więc, że skoro właśnie w ostatnich latach tak gwałtownie wzrosła liczba Polaków zainteresowanych zawodem lekarza, to może nam to wróżyć, że znów przybędzie „doktorów Kacprzyków", a nie „doktorów Judymów". I w dodatku przybędzie ich nam za nasze pieniądze, bo to przecież my, podatnicy pacjenci, fundujemy te wszystkie „darmowe" w Polsce studia, w tym medyczne.

A z czego to wnoszę? Ano z tego, że erupcja marzących o zawodzie lekarza mocno zbiegła się w czasie z – z jednej strony – ostatnią aferą z milionowymi zarobkami tak wielu lekarzy, a z drugiej strony – z trwającą od trzech lat publiczną debatą na temat ogromnych podwyżek dla lekarzy (i pielęgniarek), generowanych za sprawą ustawy o niedorzecznie wysokiej waloryzacji ich pensji, wprowadzonej w 2022 r. przez premiera Morawieckiego – mistrza w wyrzucaniu w błoto pieniędzy podatników.

Ale obym się mylił. Może ci ludzie, którzy tak gremialnie rzucili się studiować medycynę, chcą udowodnić „doktorom Kacprzykom", że także dziś można być „doktorem Judymem". ©℗



NOTATNIK MALKONTENTA

Timeo Danaos...

ŁUKASZ WARZECHA

Problem z konserwatywnymi etatystami i centralistami jest ten sam, co z wieloma ludźmi mającymi szczytne intencje, ale jednocześnie żywiącymi gdzieś w skrytości ducha pogardę dla ludzi: mając dobre chęci, zarazem uważają, że wiedzą lepiej. Że ludzie nie są zdolni do podejmowania dobrych dla siebie decyzji, więc trzeba ich do tego zmusić. Mają zresztą w dużej mierze rację: ludzie nie zawsze podejmują decyzje racjonalne z punktu widzenia swojego interesu. Jednak konserwatywni etatyści nie są w stanie zaakceptować tego, że taka właśnie jest cena wolności, bez której nie istnieje również odpowiedzialność.

Zabobonna wiara w siłę centralnie generowanych zakazów jest przerażająca

Zakaz używania telefonów komórkowych w szkołach podstawowych wszedł w życie z początkiem tego roku szkolnego przy entuzjastycznym wręcz poparciu konserwatywnych etatystów choćby z Klubu Jagiellońskiego. Zresztą cieszy się całkiem sporym poparciem w ogóle, przy czym większość wspierających pozostaje na poziomie najprostszego rozumowania: smartfony to zło, więc trzeba zakazać. Chociażby w szkołach. Zło – zakazać. Ta zabobonna wiara w siłę centralnie generowanych zakazów jest sama w sobie przerażająca.

Nie dziwię się, że zakaz wprowadziła lewicowa minister edukacji. Dla lewicy im więcej centralnych zakazów, tym lepiej – to przecież forsowanie generalnej zasady, że w imię zdrowia czy bezpieczeństwa można ograniczać wolność obywateli. Teraz chodzi o telefony komórkowe, a kiedyś może o lekcje religii w szkołach czy koszulki z patriotycznymi motywami. Dziwię się jednak, że konserwatyści są tak ślepi, iż przyjęli tego konia trojańskiego z radością i nawet entuzjazmem. Zadziwiające jest, że nie rozumieją, iż załatwianie na centralnym szczeblu tego, co powinno być załatwiane na szczeblu najniższym, zdejmuje z rodziców odpowiedzialność za ich własne dzieci, a zarazem normalizuje sytuację, w której wszechwładna minister może sobie zakazywać i nakazywać praktycznie cokolwiek.

„Timeo Danaos et dona ferentes" („Obawiam się Greków, nawet gdy niosą dary") – jak powiada w wergiliuszowej „Eneidzie" Laokoon. Jeśli skrajna lewica proponuje kolejne zakazy, motywowane rzekomo troską o dobro dzieci, to należy je traktować tak, jak Trojanie powinni byli potraktować drewnianego konia, gdyby posłuchali Kasandry, córki króla Priama. ©℗

eprasa.pl 92d46bc765

Ojciec, a nawet dziadek Norwegów



Teresa Stylińska

Zmarły król Norwegii Harald V był przez naród kochany. Czy tak będzie też z jego następcą – Haakonem VIII? Na razie przez rodzinę królewską przetoczyła się seria skandali. Nowy król będzie musiał sobie z nimi poradzić. Zadanie jest niełatwe i tym trudniejsze, że w centrum fatalnych wydarzeń jest jego żona



Uroczystości pogrzebowe króla Haralda V, Oslo, 31 sierpnia 2026 r. FOT. STIAN LYSBERG SOLUM / RITZAU SCANPIX NORWAY / FORUM

Dziękuję, że byłeś takim dobrym ojcem" – tymi słowy Haakon VIII, nowy król Norwegii, żegnał swojego zmarłego ojca. Ta osobista nuta, jak najbardziej na miejscu, oddaje również uczucia narodu. Tak samo żegnają Haralda wszyscy jego poddani, opłakując człowieka, którego traktowali już nie tylko jak ojca, lecz także dziadka narodu. On sam też tak siebie widział – bo poczucia humoru mu nie brakowało.

Harald V zmarł 28 sierpnia w szpitalu w Oslo z powodu anemii hemolitycznej. Miał 89 lat, na tronie zasiadał przez 35 lat i był najstarszym z monarchów w Europie. Ci zaś, żegnając „drogiego kuzyna", jak zwrócił się do niego brytyjski król Karol III i jak mogliby powiedzieć wszyscy w tym gronie, podkreślali jego skromność, odpowiedzialność i właśnie poczucie humoru.

Wszyscy – i zwykli obywatele, i komentatorzy – zgodnie podkreślają, że król Harald nigdy narodu nie zawiódł. Był zawsze, zwłaszcza w najtrudniejszych chwilach, takich jak ta latem 2011 r., gdy Anders Breivik dokonał w Oslo i na wyspie Utøya serii zamachów, w których zginęło 77 osób. „Jestem z wami jako ojciec, dziadek, mąż i król" – ze łzami w oczach zwracał się Harald do rodzin ofiar. „Mogę jedynie wyobrażać sobie głębię waszego bólu. Ale jako król odczuwam to jak każdy z was".

Harald, tak jak jego ojciec Olaf V i dziadek Haakon VII, był przez naród kochany i to dobre nastawienie przekładało się na akceptację dla monarchii jako instytucji. Do czasu. Sondaż sprzed zaledwie paru miesięcy przyniósł wyniki, których jeszcze niedawno nikt by się nie spodziewał: aż jedna trzecia pytanych uważała, że Harald powinien być ostatnim królem Norwegii.

Skąd taka zmiana? Norweskiej monarchii bardzo zaszkodziła cała seria skandali w rodzinie królewskiej. Nowy król, osobiście lubiany, będzie musiał sobie z tym poradzić. Zadanie jest niełatwe i tym trudniejsze, że w centrum fatalnych wydarzeń jest jego żona Mette-Marit.

POMOST DO DAWNEJ NORWEGII

Numeracja przy imionach współczesnych norweskich królów może wydawać się myląca. Dlaczego Haakon VIII, czwarty król współczesnej Norwegii, która jako suwerenne państwo istnieje od zaledwie 121 lat, ma przy imieniu ósemkę? Jest po temu ważki powód: potrzeba podkreślenia ciągłości norweskiego państwa, które ma za sobą długą i zagmatwaną historię.

Średniowieczne Norwegia nie zdołała zachować odrębności i na kilkaset lat znalazła się pod rządami najpierw Danii, a później Szwecji. W 1905 r. Norwegowie unię ze Szwecją zerwali, ogłosili niepodległość, w referendum opowiedzieli się za monarchią i wybrali władcę. Duński książę Carl, syn późniejszego króla Fryderyka VIII, przyjął imię Haakona VII.

Było to imię przemyślane. Haakon VI był przedostatnim królem Norwegii (a naprawdę ostatnim, który się liczył, jego syn Olaf IV umarł bowiem zbyt młodo, by mógł cokolwiek zdziałać) przed unią kalmarską, która połączyła trzy kraje skandynawskie, a z biegiem czasu odebrała Norwegii suwerenność. Ciągłość numeracji zachowali także potomkowie Haakona VII – Olaf V, Harald V i, obecnie, Haakon VIII.

W odrodzonej Norwegii ważne było wszystko, co pokazywało, iż państwo istnieje. Przede wszystkim narodziny księcia Haralda (1937 r.), bo po raz pierwszy od XIV w. przyszły król Norwegii urodził się na miejscu. To, że król Haakon VII i jego żona Maud, wnuczka królowej Wiktorii, stali się Norwegami. Przyjęli norweski sposób życia i norweskie obyczaje: skromność, egalitaryzm, nienarzucanie swojej woli. To znak firmowy także ich następców. To, że podczas kryzysu energetycznego z lat 70. król Olaf V zrezygnował z poruszania się samochodem i jeździł po Oslo tramwajem, na świecie stało się legendą, w rodzinie królewskiej jednak nie było niczym niezwykłym.

W czasie drugiej wojny król Haakon stał się symbolem oporu przeciwko Niemcom i norweskim kolaborantom: odmówił mianowania Vidkuna Quislinga na premiera, opuścił Norwegię i wojnę spędził w Anglii, w której współpracował z rządem emigracyjnym i w BBC wygłaszał apele do rodaków.

ŻONA, PASIERB I SIOSTRA

Każde z tej trójki jest dziś dla norweskiej rodziny królewskiej źródłem pro-

eprasa.pl 92d46bc765

blemów. Największych dostarcza pasierb Haakona, Marius Borg Høiby, skazany na cztery lata więzienia za dwa gwałty i inne przestępstwa na tle seksualnym. Niebezpieczny potencjał ma też w sobie przyjaźń jego matki z Jeffreyem Epsteinem.

Za to starsza siostra Haakona, Marta Luiza, szokuje opinię publiczną swoim drugim małżeństwem. Marta Luiza poślubiła bowiem czarnoskórego Amerykanina, który przedstawia się jako szaman! Dla wielu jednak jest raczej szarlatanem. Oto próbka: twierdzi, że dzieci chorują na nowotwory, bo same tego chcą, a przed COVID-19 chronią amulety, te oczywiście, które on sam sprzedaje. Ponieważ jednak Marta Luiza zrezygnowała z tytułu i z miejsca w rodzinie królewskiej, to, co mówi i robi jej mąż, ma ograniczone znaczenie.

Monarchię norweską często przeciwstawiano brytyjskiej z wszystkimi jej skandalami – z rozwodami, ze zdradami małżeńskimi i z wyciąganiem wszystkiego na widok publiczny. Na takim tle norweska rodzina królewska wypadała jak należy. Żadnych szaleństw: przykładne życie rodzinne, unikanie blichtru i ostentacji, życie blisko natury i zamiłowanie do sportu, na czele, jak to w Skandynawii, z narciarstwem, choć nie tylko. Król Harald uprawiał żeglarstwo na poziomie, który umożliwił mu udział w igrzyskach olimpijskich w Tokio, Meksyku i Monachium. Haakon również gustuje w sportach wodnych, szczególnie w surfingu.

Do tego świadomość, że trzeba być blisko ludzi. Księcia Haakona rodzice posłali do szkoły publicznej, dlatego właśnie by mógł poznać zwykłych ludzi. Wcześniej Norwegowie bez trudu zaakceptowali ich małżeństwo, zanim jeszcze uczynił to król. Książę Harald, wówczas następca tronu, wybrał na żonę Sonję Haraldsen, pannę z mieszczańskiej rodziny, córkę biznesmena z Oslo. Król Olaf na małżeństwo długo się nie zgadzał, Harald jednak wykazał się nadzwyczajnym uporem i po dziewięciu latach osiągnął cel.

Być może te trudne doświadczenia sprawiły, że Harald i Sonja nie sprzeciwili się małżeństwu Haakona, choć, zdaniem wielu, powinni byli to zrobić, bo plany następcy tronu spowodowały ogromny spadek poparcia dla monarchii. Mette-Marit Tjessem Høiby miała nieślubnego syna ze związku z dilerem narkotyków, odbywającym właśnie karę więzienia. „To ma być nasza królowa?" – pytali z niesmakiem Norwegowie i nie zmienili zdania nawet wtedy, gdy sam premier Jens Stoltenberg (późniejszy sekretarz generalny NATO), przyszedł w sukurs księciu, chwaląc go, w iście poprawnościowym duchu, za związek z samotną matką.

Numeracja przy imionach współczesnych norweskich królów może wydawać się myląca. Wynika ona z potrzeby podkreślenia ciągłości norweskiego państwa, które ma za sobą długą i zagmatwaną historię

DWIE PRAWDZIWE BOMBY

Król Haakon i Mette-Marit mają dwoje dzieci – 22-letnią Ingrid Alexandrę, następczynię tronu, i o rok młodszego syna Sverre Magnusa. Społeczeństwo przywykło w końcu do ich małżeństwa i pewnie byłoby tak nadal, gdyby nie nowa bomba – a ściślej mówiąc dwie. Pierwsza to wspomniane kryminalne wyczyny syna Mette-Marit. Marius stanął przed sądem oskarżony o gwałty, napaści seksualne i przemoc wobec partnerek – w sumie aż 40 (!) zarzutów.

Marius został adoptowany przez Haakona i dorastał na dworze, chociaż więc formalnie nie jest członkiem rodziny królewskiej, trudno udawać, że nie ma z nią nic wspólnego. Na parę dni przed śmiercią króla Haralda otrzymał nawet przepustkę z więzienia, by mógł go odwiedzić w szpitalu. Pałac nie zamierza komentować sprawy Mariusa, jednak całkowite odcięcie się od niej jest chyba niewykonalne, tym bardziej że jednego z gwałtów Marius miał się dopuścić w królewskiej rezydencji Skaugum.

Druga bomba dotyczy Mette-Marit. Opublikowane na początku tego roku „Epstein files" zadały kłam deklaracjom Mette-Marit, która przyznawała się wprawdzie do znajomości z Epsteinem, utrzymywała jednak, że była ona przelotna. Tymczasem to nieprawda. Z treści wymienianych e-maili – ponad tysiąc przez trzy lata – wynika, że byli w bardzo dobrych, wręcz zażyłych stosunkach. Mette-Marit radzi się Epsteina w sprawach rodzinnych, nazywa go „czarującym" i „bardzo kochanym", a gdy wspomina, iż przegooglowawszy go w internecie, widzi, że „jego sprawy nie wyglądają zbyt dobrze", opatruje tę uwagę uśmiechniętą emotką. Wiele jest żartów i żarcików, a także sugestii, że należałoby wreszcie spotkać się osobiście.

MĄŻ SWOJEJ ŻONY?

Czy w tej sytuacji Mette-Marit powinna zostać królową? To pierwszy problem, z jakim król Haakon już wkrótce będzie musiał się zmierzyć, i z pewnością bardzo trudny. Haakon nigdy nie krył, jak wiele żona dla niego znaczy. W dodatku Mette-Marit przeszła niedawno operację przeszczepu płuca, teraz więc wymaga zdwojonej troski i król, jak deklaruje, zamierza jej to pod każdym względem zapewnić. Być może nawet – kto wie? – kosztem oficjalnych obowiązków.

To jedna strona medalu. Druga to nastawienie społeczeństwa, które na dwie wspomniane bomby zareagowało tak, jak można się było spodziewać. Z ostatnich badań opinii publicznej jasno wynika, że prawie połowa Norwegów nie chce widzieć Mette-Marit na tronie. Pojawiają się nawet informacje, że organizacje, którym patronowała, zaczynają wycofywać się ze współpracy.

Jeszcze bardziej alarmująco przedstawia się kwestia popularności monarchii jako takiej. Dwa lata temu jej istnienie popierało 72 proc. społeczeństwa. Dziś to już tylko 54 proc. Taki wynik może ucieszyć jedynie garstkę republikanów, którzy co roku składają w parlamencie rytualny wniosek o zlikwidowanie monarchii. Zawsze z takim samym, łatwym do przewidzenia skutkiem.

Norwescy znawcy tematyki królewskiej są zdania, że Haakon VIII, przy swoim dobrym wykształceniu (Berkeley w USA, akademia wojskowa w Norwegii) i doświadczeniu, jakiego nabrał podczas choroby ojca, gdy odgrywał rolę regenta, ma wszelkie dane po temu, by być królem równie dobrym jak jego ojciec, dziadek i pradziadek. Przyszłość Mette-Marit będzie zapewne probierzem: czy Haakon postąpi jak król czy może pozostanie mężem swojej żony.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 92d46bc765



Wenezuelczycy protestują przeciw planom przejęcia kontroli nad gigantycznymi złożami ropy naftowej przez Donalda Trumpa FOT. MARCOS DEL MAZO/LIGHTROCKET/GETTY IMAGES

Trumpowskie „czarne złoto" znad Orinoko



Piotr Włoczyk

Biały Dom chwali się zawarciem „największego dealu naftowego w historii świata", który ma ograniczyć skutki energetycznego chaosu w Zatoce Perskiej. Jednak przyszłość tej umowy wcale nie musi być aż tak różowa

Jego wypowiedzi, a właściwie krzyki, nie pozostawiały wątpliwości: ropa naftowa to skarb Wenezueli i już nigdy żadne zagraniczne – szczególnie amerykańskie – koncerny nie będą korzystały z tego bogactwa. Wyrzucenie z kraju amerykańskich firm naftowych miało przywrócić sprawiedliwość. „Ropa należy teraz do ludu wenezuelskiego i ropa będzie służyła sprawiedliwości, równości i rozwojowi naszego ludu!". „Nie wyślemy ani jednej kropli ropy do imperium Stanów Zjednoczonych!".

20 lat później Hugo Chávez przewraca się zapewne w grobie. Delcy Rodríguez, obecna liderka chavistowskiego reżimu, z uśmiechem na ustach przekazała w zeszłym tygodniu Ameryce niemal 20 proc. olbrzymich (największych na świecie) wenezuelskich złóż ropy naftowej, a do tego uprzejmie podziękowała Donaldowi Trumpowi za ten pomysł. Zrobiła to, mimo że konstytucja Wenezueli, napisana i uchwalona przez jej własną partię, wyraźnie zabrania oddawania złóż w ręce zagranicznych koncernów.

Umowa, nazywana przez prezydenta USA „największym dealem naftowym w historii świata", przewiduje, że Amerykanie będą przez kolejne 100 lat kontrolowali 17 wielkich złóż naftowych w Wenezueli, co ma im dać możliwość wydobycia nawet 65 mld (!) baryłek „czarnego złota". USA będą miały w tym przedsięwzięciu 55-procentowy pakiet kontrolny.

Pełniąca funkcję tymczasowej głowy państwa Rodríguez podkreślała w zeszłą sobotę w trakcie specjalnego przemówienia, że umowa oznacza dla Wenezuelczyków „niekończące się profity", Amerykanie mają zainwestować nad Orinoko 100 mld dol., a przewidywane wpływy podatkowe z wydobytej w ten sposób ropy naftowej mają sięgnąć 209 mld dol. Jednak żadne jej zachwyty nie przekonały chavistowskiego „betonu".

Zaraz po ogłoszeniu wstępnych informacji o porozumieniu z USA, w Caracas doszło do manifestacji (fakt, że niezbyt dużej) najbardziej oddanych towarzyszy. Na wiecu zgromadzili się zarówno członkowie rządzącej krajem Zjednoczonej Partii Socjalistycznej Wenezueli (PSUV), którzy na poważnie wzięli sobie do serca słowa Cháveza na temat ropy naftowej, jak i aktywiści Antyimperialistycznego Frontu Ludowego. Na bannerach widać było hasła sprzed lat: „Nie jesteśmy ani kolonią, ani ogródkiem" czy „Yankees go home!".

Z kolei w mediach społecznościowych wielu Wenezuelczyków wyzłośliwiało się, przekręcając nazwę państwowego molocha naftowego PDVSA na PDUSA, a także wyciągając propagandowe filmiki Rodríguez z 2024 r., na których mówiła, że to opozycja – jeżeli przejmie kiedyś władzę – przekaże ropę swoim „panom" w Waszyngtonie.

KONFISKATA ZAMIAST DEMOKRACJI?

Ta umowa może przejść do historii jako najlepszy przykład realizowania w praktyce tzw. doktryny Donroe. To żartobliwe, współczesne odniesienie do XIX-wiecznej doktryny Monroego, która miała zabezpieczyć półkulę zachodnią przed wpływami obcych (w tamtych czasach – europejskich) mocarstw.

Donald Trump stara się minimalizować chińskie wpływy w obu Amerykach, co doskonale widać na przykładzie Wenezueli. Po porwaniu 3 stycznia br. Nicolása

eprasa.pl 92d46bc765

Madura, zakończyły się umowy naftowe Caracas z Pekinem i Moskwą. Trump zresztą zupełnie wprost ogłosił wówczas, że jednym z celów amerykańskiej operacji specjalnej było właśnie „zabezpieczenie" wenezuelskich złóż ropy naftowej. „Nasze olbrzymie amerykańskie koncerny naftowe – największe na świecie – wejdą tam i wydadzą miliardy dolarów, naprawią bardzo zniszczoną […] infrastrukturę naftową" – mówił Trump podczas konferencji w Mar-a-Lago, na której ujawniał szczegóły operacji pojmania Maduro.

„Nie ma sensu posiadać rezerw ropy naftowej, które pojawiają się jedynie w statystykach i księgach rachunkowych, a nie wpływają na rozwój Wenezueli" – mówiła Rodríguez, starając się odmalować układ z USA w jak najbardziej różowych barwach. Skąd się bierze jej entuzjazm w sprawie umowy, którą krytykuje zarówno wenezuelska lewica, jak i prawica? Rodríguez doskonale zdaje sobie sprawę z tego, że jeżeli nie będzie „otwarta" na sygnały płynące z Waszyngtonu, to Amerykanie mogą dla niej sporządzić bardzo podobny akt oskarżenia jak dla Madura. Zresztą Trump jeszcze w styczniu postawił sprawę jasno: „Jeżeli nie będzie robiła tego, co trzeba, zapłaci bardzo wysoką cenę, bardzo możliwe, że wyższą niż Madura".

W kręgach rządowych nie słychać otwartych głosów krytyki w sprawie umowy z USA, ale byli wysoko postawieni chaviści jak najbardziej pozwalają sobie na takie komentarze. Rafael Ramírez, który za czasów Cháveza był szefem naftowego molocha PDVSA, nie gryzł się w język. Jego zdaniem władze Wenezueli „otwierają w ten sposób drzwi dla nowego kolonializmu Stanów Zjednoczonych".

Przedstawiciele wenezuelskiej opozycji również nie pozostawiają na tej umowie suchej nitki. Nawet rzecznik noblistki Maríi Coriny Machado, która kurczowo trzyma się Trumpa, zdecydował się zaznaczyć, że widzi tu problem. „Aby umowa mogła trwać długi czas, potrzebna jest legalność, demokracja i praworządność" – powiedział David Smolansky. Wenezuelski ekonomista Ricardo Hausmann, który jest ostrym krytykiem chavistów, zaatakował w mediach społecznościowych Marca Rubia za wyrażane przez niego zachwyty nad układem z Rodríguez. „Postanowiłeś wykorzystać siłę Stanów Zjednoczonych nie po to, by wyzwolić Wenezuelczyków, ale po to, by zawrzeć sojusz z naszymi ciemiężcami – napisał Hausmann. – Wybrałeś konfiskatę złóż, niekonstytucyjną umowę z nielegalnym i opresyjnym rządem, zamiast użyć przywództwa USA, by najpierw odbudować konstytucyjny porządek i demokrację".

PUNKT CIĘŻKOŚCI

Biały Dom widzi w tej umowie wielki sukces, szczególnie na tle problemów w Zatoce Perskiej. Jak przekonywał w rozmowie z „Fox Business" Doug Burgum, sekretarz zasobów wewnętrznych Stanów Zjednoczonych, umowa z Caracas „zmienia geopolityczny punkt ciężkości światowych rynków energetycznych", przenosząc go z Bliskiego Wschodu na zachodnią półkulę.

Umowa z Wenezuelą oznacza, że Ameryka – największy na świecie producent ropy naftowej – niemal podwaja złoża „czarnego złota" znajdujące się pod jej kontrolą (same amerykańskie zasoby to ok. 80 mld baryłek). Jednak wbrew entuzjazmowi prezentowanemu m.in. przez Douga Burguma, nie ma szans, by deal z chavistami wpłynął w najbliższym czasie na sytuację na rynku. Wenezuelska infrastruktura naftowa jest kompletnie zrujnowana po trwającym ćwierć wieku eksperymencie pt. „socjalizm XXI w." (tak oficjalnie nazywa się doktryna Cháveza).

Gdy w 1999 r. obejmował on władzę w Caracas, Wenezuela wydobywała dziennie ok. 3 mln baryłek ropy. 20 lat później, gdy socjalizm Cháveza zrobił już swoje (szacuje się, że co drugi petrodolar został w tym kraju rozkradziony), Wenezuela dostarczała na rynek trzy razy mniej tego surowca. Co istotne – spadek do poziomu 1 mln baryłek ropy dziennie nastąpił, jeszcze zanim pod koniec swojej pierwszej kadencji Trump obłożył wenezuelski sektor naftowy dolegliwymi sankcjami. I nic nie wskazuje na to, by Wenezuela była w stanie w najbliższym czasie znacząco zwiększyć wydobycie powyżej 1 mln baryłek ropy dziennie. Osiągnięcie zakładanego poziomu 1,5 mln baryłek ropy dziennie z 17 złóż kontrolowanych przez USA może zająć co najmniej kilka lat, ale wydaje się, że najbardziej realny termin to połowa przyszłej dekady.

Konkretne zapisy umowy pozostają niejawne, ale wiadomo już, że władze USA mają współpracować z prywatną firmą North American Blue Energy Partners (NABEP), która ma realizować wydobycie z 17 wspomnianych złóż (to ona formalnie uzyskała 100-letnią koncesję od władz w Caracas). Jej właściciel, urodzony w Caracas w 1980 r. Alejandro Betancourt, to jeden z tzw. bolichicos, czyli oligarchów, którzy dorobili się fortuny dzięki lukratywnym kontraktom przyznawanym przez chavistów. Jednak od tej pory NABEP ma być – de facto – nadzorowana przez Biuro Kapitału Strategicznego Departamentu Obrony USA, większość członków zarządu tej firmy musi mieć obywatelstwo USA, a amerykański rząd będzie mógł zawetować powołanie każdego nowego członka zarządu. Chris Wright, sekretarz energii USA, który w środę pojawił się w Caracas na ceremonii podpisania umowy, przekonuje, że NABEP daje gwarancję skutecznej realizacji umowy. Wszystko wskazuje na to, że to właśnie za pośrednictwem tej firmy amerykańskie koncerny włączą się do wydobywania ropy naftowej z 17 wenezuelskich złóż.

Jak jednak sygnalizował to rzecznik Maríi Coriny Machado, problemem w przyszłości może się okazać kwestia legalności podpisania umowy. USA (a także wiele państw Zachodu) nie uznawały Nicolása Madura za prezydenta Wenezueli w związku z fałszerstwami wyborczymi. Takie samo stanowisko prezentuje opozycja, nie uznając dziś rządu Delcy Rodríguez, która była wiceprezydentem u boku Madura.

Amerykańscy entuzjaści tej umowy muszą więc brać pod uwagę ryzyko, że w przyszłości nowy demokratyczny rząd Wenezueli może próbować wyrzucić ten układ do kosza (wszystko będzie zależało od determinacji Waszyngtonu). Nie da się też wykluczyć scenariusza, w którym po zmianie władzy w USA demokraci, którzy dziś krytykują tę umowę jako pokaz imperialnych zapędów Trumpa, albo sami będą dążyli do wyjścia z tej umowy, albo pójdą na rękę nowym władzom Wenezueli i pozwolą im odzyskać kontrolę nad złożami. Polityka może w tej kwestii sporo namieszać. Na razie jednak – ku wściekłości tamtejszej opozycji – administracja Trumpa trzyma się relacji ze sprawdzoną, uległą Rodríguez, przekonując, że Wenezuela nie jest jeszcze gotowa na demokratyczne wybory...

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 92d46bc765

Nadchodzi Godzilla



Jacek Pałkiewicz

Słynne południowoamerykańskie zjawisko meteorologiczne nie jest najeźdźcą. Jest częścią ziemskiego systemu klimatycznego. Katastrofą staje się często dopiero w zetknięciu z tym, co sami zbudowaliśmy: miastami w miejscach zalewowych, wyciętym lasem, brakiem retencji, biedą, chaotyczną urbanizacją

Powódź w peruwiańskim mieście Piura, 27 marca 2017 r. FOT. EDWIN ZAPATA ALVARADO/EFE/FORUM

Nazwa brzmi jak tytuł kolejnej produkcji katastroficznej. „Godzilla El Niño" – potwór budzący się gdzieś na Pacyfiku, aby późną jesienią ruszyć na Amerykę Południową. Nauka nie zna jednak takiego terminu. Meteorolodzy mówią o El Niño, potężnym zjawisku bezpośrednio wpływającym na anomalie pogodowe, temperaturę i opady na całej Ziemi.

Ten kaprys Pacyfiku rodzi się nad równikowym Pacyfikiem, kiedy słabną pasaty, a jego niezwykle ciepłe wody przesuwają się ku wybrzeżom Peru i Ekwadoru. Z głębin przestaje wówczas wypływać chłodna, bogata w składniki odżywcze woda, która od wieków karmi jedno z najzasobniejszych łowisk świata. Ryby odchodzą, morze pustoszeje, za to nad rozgrzanym oceanem gromadzą się potężne masy wilgoci. Wkrótce niebo nad suchym zwykle wybrzeżem Ameryki Południowej otwiera swoje hamulce. Rzeki występują z brzegów, pustynia zamienia się w błotniste rozlewisko, osuwają się zbocza, znikają drogi i mosty. A to dopiero początek, bo puls Pacyfiku potrafi rozregulować pogodę tysiące kilometrów dalej: jednych skazuje na powodzie, innych na suszę i nieznośne upały. El Niño nie jest zwykłą anomalią pogodową. To wielka oceaniczna huśtawka, której wychylenie odczuwa niemal cały świat.

El Niño znam od dawna nie z wykresów meteorologicznych, lecz z Ameryki Południowej. Nie jest on dla Peruwiańczyka abstrakcyjnym pojęciem klimatycznym. Jest starym znajomym, którego wizyty bywają kosztowne i tragiczne. Wydarzenie rozpoczynające się na Pacyfiku może zmienić opady w Amazonii, wywołać suszę w jednym kraju, powódź w drugim, podbić temperaturę planety, uderzyć w rolnictwo, energetykę, rybołówstwo, a w konsekwencji także w ceny żywności. Klimat nie uznaje granic państwowych. El Niño przypomina nam o tym ze szczególną brutalnością.

WIELKOŚĆ NIE OZNACZA ODPORNOŚCI

Najbardziej niepokoi mnie dzisiaj Amazonia. Nie tylko dlatego, że jest mi szczególnie bliska. Las amazoński wchodzi w obecny epizod osłabiony. Deforestacja, pożary, kopalnie, drogi i wzrost temperatur zrobiły swoje. Jeżeli silne El Niño osiągnie maksimum między październikiem a grudniem, to nastąpi to w fatalnym momencie – po miesiącach pory suchej, kiedy gleba i roślinność będą już miały za sobą długi okres deficytu wilgoci. Prognozowany układ może przynieść części północnej i środkowej Amazonii jeszcze mniej deszczu, niż potrzebuje las. Wtedy pojawia się sprzężenie szczególnie niebezpieczne: susza osłabia drzewa, wysuszona roślinność łatwiej płonie, pożary degradują kolejne obszary, a uszkodzony las traci część zdolności do tworzenia własnej wilgoci.

Amazonka nie jest bowiem tylko ogromną rurą, którą woda spływa do Atlantyku. Jest częścią wielkiej pompy klimatycznej. Las pobiera wodę z gleby i oddaje ją atmosferze. Nad koronami drzew tworzą się niewidzialne rzeki pary wodnej, transportujące wilgoć daleko poza samą Amazonię. Od tego mechanizmu zależą opady w ogromnej części kontynentu, a więc również rolnictwo, zbiorniki wodne i produkcja energii. Kiedy patrzyłem kiedyś na Amazonkę z pokładu niewielkiej łodzi, jej rozmiar dawał złudzenie niezniszczalności. To jedno z najbardziej niebezpiecznych złudzeń, które stworzyliśmy sobie wobec natury. Wielkość nie oznacza odporności.

Skutki El Niño będą przy tym w Ameryce Południowej skrajnie nierówne. To

eprasa.pl 92d46bc765

właśnie utrudnia opowiadanie o nim jednym zdaniem. W części kontynentu zagrożeniem są niedostatek wody i ogień, w innych regionach nadmiar opadów, powodzie i osuwiska. Historycznie podczas El Niño zachodnie wybrzeże Peru i Ekwadoru może doświadczać bardzo intensywnych deszczów, podczas gdy północ Brazylii, Kolumbia czy Wenezuela stają wobec warunków suchszych. Dalej na południe, m.in. w południowej Brazylii, Urugwaju i części Argentyny, rośnie ryzyko ponadprzeciętnych opadów. Nie istnieje zatem jeden „atak Godzilli". Jest raczej wielkie przestawienie atmosferycznych zwrotnic, po którym każdy region dostaje inny rachunek.

Peru znajduje się w sytuacji szczególnej. Tutaj El Niño narodziło się także jako pojęcie kulturowe. Rybacy zauważyli przed wiekami, że w okolicach Bożego Narodzenia przybrzeżne wody stają się czasami cieplejsze, dlatego zjawisko nazwali Dzieciątkiem – El Niño. Niewinne imię nie pasuje do tego, co potrafi później zrobić. Wielkie epizody przynosiły Peru zniszczone drogi i mosty, wezbrane rzeki, osuwiska, straty w rolnictwie i rybołówstwie. W kraju o niezwykłej geografii, gdzie na stosunkowo niewielkiej przestrzeni sąsiadują pustynne wybrzeże, Andy i Amazonia, każda poważna anomalia wodna uruchamia cały łańcuch konsekwencji.

Ale rok 2026 różni się od czasów, kiedy El Niño było wyłącznie naturalnym kaprysem oceanu. Zjawisko pozostaje naturalnym elementem systemu klimatycznego i byłoby błędem twierdzić, że stworzył je człowiek. Tyle że dzisiaj pojawia się ono na planecie już rozgrzanej przez antropogeniczne emisje gazów cieplarnianych. Można użyć porównania do starego pieca, którego działanie znamy od wieków, ale który ktoś ustawił w pomieszczeniu cieplejszym niż dawniej. El Niño dokłada do globalnej temperatury kolejną porcję ciepła. Dlatego naturalne zjawisko i antropogeniczne ocieplenie nie są dwiema oddzielnymi historiami. Spotykają się w tym samym oceanie i tej samej atmosferze.

Właśnie tutaj określenie „Godzilla" zaczyna mi przeszkadzać. Jest znakomite jako tytuł gazety, lecz kiepskie jako narzędzie rozumienia świata. Sugeruje potwora, który nagle przychodzi z zewnątrz, niszczy wszystko, a potem odchodzi. El Niño tak nie działa. Nie jest najeźdźcą. Jest częścią ziemskiego systemu klimatycznego. Katastrofą staje się często dopiero w zetknięciu z tym, co sami zbudowaliśmy: miastami w miejscach zalewowych, wyciętym lasem, zdegradowaną glebą, brakiem retencji, biedą, chaotyczną urbanizacją i państwem nieprzygotowanym na ekstremum. Jeden deszcz dla dobrze przygotowanego miasta jest kłopotem. Ten sam deszcz dla dzielnicy zbudowanej bez kanalizacji może być tragedią.

El Niño może jesienią uderzyć w Amerykę Południową z siłą, której skutki odczuje cały świat

Najbardziej wymierne konsekwencje mogą jednak pojawić się daleko od miejsc pokazywanych później w telewizji. Klimat uderza najpierw w pole rolnika, sieć rybaka i zbiornik elektrowni wodnej. Dopiero później dociera do supermarketu. Susza zmniejsza plony. Powódź niszczy zasiewy i drogi. Zbyt ciepłe morze zmienia łowiska. Niski poziom rzek utrudnia transport. Rosną ceny żywności, energii i ubezpieczeń. Dla bogatego Europejczyka może to oznaczać kilka procent więcej przy kasie. Dla biednej rodziny w Ameryce Łacińskiej, Afryce czy Azji różnica może oznaczać rezygnację z jednego posiłku. Dlatego wielkie El Niño nigdy nie jest wyłącznie problemem meteorologów. Staje się problemem społecznym, gospodarczym i politycznym. Już dziś eksperci zwracają uwagę, że jego skutki mogą spotkać się z istniejącym kryzysem bezpieczeństwa żywnościowego i słabością wielu państw.

ZAMIAST STRACHU – PRZYGOTOWANIE

Przez lata wypraw nauczyłem się jednej prostej zasady: zagrożenie jest najbardziej niebezpieczne wtedy, kiedy człowiek albo je lekceważy, albo wpada w panikę. Jedno i drugie odbiera zdolność racjonalnego działania. Dlatego nie wiem, czy jesienią zobaczymy rzeczywiście „Godzillę". Nie wiedzą tego również uczciwi klimatolodzy. Prognozy sezonowe mówią o prawdopodobieństwie, nie o przeznaczeniu.

Właściwą odpowiedzią nie jest więc strach, lecz przygotowanie. Państwa Ameryki Południowej mają dziś możliwości, których nie miały podczas wielkich El Niño sprzed kilkudziesięciu lat: satelity, boje oceanograficzne, superkomputery, modele atmosferyczne, systemy wczesnego ostrzegania. Potrafimy obserwować przemieszczanie się ogromnych mas ciepłej wody pod powierzchnią Pacyfiku. Problem w tym, że nawet najlepsza prognoza jest bezwartościowa, jeżeli nie prowadzi do decyzji. Trzeba wcześniej oczyścić koryta rzek, przygotować zbiorniki, straż pożarną i szpitale, zabezpieczyć infrastrukturę, ostrzec rolników, stworzyć rezerwy i plany ewakuacji. Katastrofy naturalnej nie zawsze można uniknąć. Katastrofie społecznej bardzo często można przynajmniej ograniczyć rozmiary.

Myślę przy tym o niewielkim źródle wysoko w peruwiańskich Andach. Z Quehuishy wypływa woda, która rozpoczyna drogę ku największemu systemowi rzecznemu Ziemi. Trudno o większy kontrast: kilka litrów wody pojawiających się między kamieniami i późniejsza potęga Amazonki. El Niño przypomina nam jednak drugą stronę tej samej prawdy. Wielkie systemy zależą od drobnych elementów, a zaburzenie jednego fragmentu planety może uruchomić konsekwencje na drugim jej końcu. Pacyfik ogrzewa się o kilka stopni i kilka miesięcy później rolnik tysiące kilometrów dalej zastanawia się, czy będzie miał co zebrać z pola.

Jeżeli więc późną jesienią „Godzilla" rzeczywiście pokaże swoją siłę nad Ameryką Południową, to nie będzie potworem, który niespodziewanie wyszedł z oceanu. Będzie przede wszystkim sprawdzianem. Sprawdzianem państw, nauki, systemów ostrzegania i naszej zdolności do przewidywania konsekwencji. A także sprawdzianem czegoś znacznie większego: czy po dziesięcioleciach ostrzeżeń potrafimy wreszcie zrozumieć, że kondycja oceanu, lasu amazońskiego, andyjskiego źródła i naszego własnego życia jest częścią jednego systemu.

Bo natura nie potrzebuje Godzilli, żeby przypomnieć człowiekowi o swojej potędze. Wystarczy, że zmieni temperaturę oceanu o kilka stopni.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest odkrywcą źródeł Amazonki, survivalowym guru. Uczył kosmonautów i jednostki antyterrorystyczne strategii przetrwania w nieprzyjaznych środowiskach.

eprasa.pl 92d46bc765

Zygmunt Berdychowski:

W starciu z USA i Chinami Europa przegrywa na własne życzenie. Będzie tylko gorzej

„Będzie tylko gorzej, ponieważ w zdecydowanej większości spraw to nie Polska decyduje o warunkach zewnętrznych, lecz masowa legislacja produkowana przez Unię Europejską. To Komisja musi podjąć działania, które dadzą szansę na nadrobienie dystansu do USA i Chin, bo dzisiaj technologie decydują o wszystkim" – ostrzega w rozmowie z Wprost Zygmunt Berdychowski, przewodniczący Rady Programowej Forum Ekonomicznego.



Profesor Piotr Stepnowski, rektor Uniwersytetu Gdańskiego, wspominał niedawno na łamach Wprost, że polscy studenci coraz częściej spoglądają w stronę chińskich uczelni zamiast amerykańskich czy europejskich. To dla nas zagrożenie czy nieuniknione wyzwanie?

ZYGMUNT BERDYCHOWSKI: W obecnym układzie sił na świecie to absolutnie nieuniknione. Obserwujemy dziś, że w globalnym wyścigu technologicznym przodują Stany Zjednoczone, a zaraz za nimi jest Chińska Republika Ludowa. W naturalny sposób musi to mieć swoje odzwierciedlenie również w preferencjach, które wykazują młodzi ludzie na studiach. Czy to jest zaskoczenie? Kompletnie nie. Sytuacja, z którą mamy do czynienia – czyli ten tandem na czele i daleko w tyle Europa – to efekt postępującego procesu ostatnich kilkunastu lat. Przy czym z każdym kolejnym rokiem dystans dzielący Europejczyków od Amerykanów i Chińczyków nie maleje, lecz drastycznie rośnie.

W których obszarach ta rywalizacja i nasze zaległości, jako Europy, są najbardziej widoczne?

Można mówić o różnych wymiarach tej rywalizacji, ale spójrzmy choćby na firmy produkujące półprzewodniki, które są dziś niezbędne właściwie wszędzie. Sześć największych europejskich firm z tej branży generuje łączny obrót na poziomie jednego amerykańskiego lidera, czyli NVIDII. I już nie mówię o dochodowości czy marży, bo zupełnie inaczej wygląda to w przypadku półprzewodników produkowanych w Europie, a inaczej przy tych najbardziej zaawansowanych od NVIDII. Znaczenie ma fakt, że w Europie takich producentów jest łącznie nie więcej niż 10 czy 12. Wszyscy razem wartościowo, w chipach mniej zaawansowanych technologicznie, nie produkują więcej niż ten jeden amerykański koncern.

A jak na tym tle wyglądają Chiny?

Nie przywołuję tu przykładu Chin głównie dlatego, że nie mamy pewności, czy oficjalne statystyki przekazywane przez tamtejsze instytucje są do końca prawdziwe. Nie przez przypadek jednak Chińczycy są dzisiaj fabryką świata. W zasadzie w każdym produkcie – czy to samochód, komputer, lodówka, telefon czy inne urządzenie – mamy mniej lub więcej chipów, które są tam z różnych powodów upychane.

Stąd pewnie hasło tegorocznego Forum Ekonomicznego: „Architektura nowego porządku. Stabilność w czasie zmian". Czy w ogóle możliwe jest odzyskanie przez Europę prymu w tej globalnej rywalizacji?

Nie. Obecnie, przy tym ustawodawstwie, centralizacji i poziomie regulacji, to po prostu nie jest możliwe. Trzeba to w sposób otwarty, prosty i jasny komunikować. Jakakolwiek forma rywalizacji między Europą a Stanami Zjednoczonymi czy nawet między Europą a Chinami jest dziś niemożliwa z kilku powodów. Po pierwsze, mamy bardzo drogą energię. Po drugie, mamy bardzo mało wody, do czego przyczyniają się również ograniczenia wynikające z polityki klimatyczno-środowiskowej. Po trzecie, występuje u nas zdumiewający brak relacji między sektorem prywatnym i biznesowym a bardzo wysoko rozwiniętym sektorem naukowym. Po czwarte, nadmiar regulacji pociąga za sobą to, że nawet najważniejsze i największe wyzwania realizowane są w Europie przez sektor publiczny, a nie prywatny.

Doskonałym przykładem wydaje się sektor kosmiczny.

Właśnie tak. Europejski program kosmiczny jest realizowany niezależnie od siebie przez agencje krajowe i Europejską Agencję Kosmiczną. W związku z tym wygląda on skromnie. Najlepszym podsumowaniem efektywności wykorzystania środków w tym zakresie jest to, co wydarzyło się przez ostatnich kilkanaście lat w USA i w Europie. W Europie za program odpowiadał sektor publiczny i w efekcie dzisiaj Europejczycy dysponują rakietą Ariane 6, która jest rakietą jednorazowego użytku, czyli wylatuje i nie wraca, i plany na ten rok mówią o czterech startach. Tymczasem realizowany przez SpaceX przyniósł w samym tylko pierwszym półroczu 66 startów rakiety porównywalnej klasy.

eprasa.pl 92d46bc765

Czy to oznacza, że kraje europejskie, dążąc do wzrostu konkurencyjności, powinny ograniczyć swoją rolę w wielkich projektach technologicznych i nauczyć się lepiej współpracować z biznesem?

Zdecydowanie tak. Inne kraje, wzorem Stanów Zjednoczonych, powinny podjąć taką decyzję strategiczną: zamawiamy nowoczesną rakietę wielokrotnego użytku, podpisujemy umowę z prywatną firmą i dajemy jej czas oraz środki. Amerykanie to zrobili i dziś Elon Musk buduje rakietę Starship – coś absolutnie wyjątkowego, jakby z innego świata, co może wynieść na orbitę 200 ton ładunku. To 10-krotnie więcej niż największy udźwig rakiet europejskich czy Falcona 9. Rząd ChRL zastosował dokładnie to samo rozwiązanie, co Amerykanie, i już dwie prywatne chińskie firmy dokonały próbnych startów rakiet wielokrotnego użytku. Europejczycy ciągle nie podpisali analogicznych umów, bo żeby to zrobić, Komisja Europejska musiałaby rezygnować z części uprawnień, których zazdrośnie strzeże.

Może w takim razie Unia Europejska w obecnej formie nie jest nam potrzebna?

Nie chodzi o to, żeby popadać z jednej skrajności w drugą. Chodzi o to, żeby rozmawiać o tym, jak najlepiej wykorzystać potencjał, którym dysponujemy. A dysponujemy setkami tysięcy bardzo dobrych firm, które doskonale radzą sobie na rynku. Bez współpracy z sektorem rządowym, który świadomie rezygnuje z części uprawnień na rzecz efektywniejszego sektora prywatnego, nie mamy jednak szans na konkurencję. Gdy Elon Musk przeprowadził z sukcesem emisję akcji Space X, zadeklarował, że przeznaczy ponad 80 mld dol. na rozwój sztucznej inteligencji dla potrzeb programu kosmicznego. Tymczasem cały budżet Europejskiej Agencji Kosmicznej na lata 2024–2026, w tym na rozwój sztucznej inteligencji dla programu kosmicznego, to 15 mld euro, czyli 5 mld rocznie. A zatem środki, które na ten cel przeznaczają Amerykanie, to są wielkości dla Europejczyków kompletnie niewyobrażalne.

A jak ocenia pan próby deregulacji w Polsce? Rok temu powstał Rządowy Zespół do spraw Deregulacji, a nad uproszczeniem przepisów pracował nawet Rafał Brzoska, prezes InPostu, który był twarzą społecznej inicjatywy SprawdzaMY.

W Polsce powoływano przez lata różne zespoły deregulacyjne, ale nie zauważyłem żadnych fundamentalnych zmian. Stąd też bierze się ogromna popularność ugrupowań takich jak Konfederacja, która pokazuje bardzo liberalny program, mówiąc, że państwo musi być mniejsze, silniejsze, a przedsiębiorcy nie mogą być traktowani jak do tej pory.

Ale z drugiej strony politycy Konfederacji mocno krytykują Unię, a niektórzy z nich mówili jasno, że chcieliby Polskę z niej wyprowadzić. To już chyba nie wszystkim wyborcom się podoba.

Musimy się przyzwyczaić do tego, że w każdym kraju unijnym – od Niemiec, Francji, Hiszpanii, po Polskę – jest grupa obywateli uważająca projekt europejski za zły. Spójrzmy na niemieckie AfD, które ma blisko 30 proc. poparcia, a ich postulaty dotyczące chociażby migracji stają się częścią programu rządzącej koalicji. Obywatele są najzwyczajniej w świecie niezadowoleni ze stanu spraw w Unii. Jeżeli największy koncern energetyczny we Francji, TotalEnergies, nie płaci w danym roku podatków bezpośrednich we Francji, bo transferuje zyski do rajów podatkowych, to daje to najlepsze świadectwo stanu zachodnich demokracji. Wielkie korporacje oczekują sprawniej infrastruktury, edukacji i służby zdrowia, ale same unikają płacenia podatków. Musi zatem ulec zmianie sposób myślenia elit.

Podczas Forum Ekonomicznego od lat dyskutuje się o przemyśle. A z roku na rok sytuacja europejskiej i polskiej motoryzacji, w zderzeniu z Chinami, się pogarsza. Co dalej? Już wkrótce zostaną zamknięte wszystkie fabryki w Europie? Pan jeździ chińskim autem?

Akurat ja jeżdżę niemieckim, ale to nie ma większego znaczenia. Polacy dokonują wyboru w oparciu o ofertę rynkową, a ta oferta jest dzisiaj taka, jaka jest, chińskie auta są po prostu tańsze. Ale przecież przedstawiciele sektora motoryzacyjnego od lat wysyłali do Komisji Europejskiej sygnały, że nie są w stanie spełnić wyśrubowanych norm wynikających z polityki klimatycznej. Niestety, politycy dokonali wyboru i swoimi decyzjami doprowadzili do krachu europejskiego przemysłu samochodowego. Sami zgotowaliśmy sobie ten los. Jak konkurować z Chińczykami, którzy mają rynek na 1,5 mld konsumentów, a do tego kontrolują ponad 75 proc. światowej produkcji i wydobycia metali ziem rzadkich niezbędnych do budowy baterii?

Czy to oznacza, że polski przemysł również w innych sektorach wisi na włosku?

Tak, chociaż sektor samochodowy to dziś absolutnie największy problem. Ale trudno też mówić o rozwoju sektora zbrojeniowego, jeśli metale ziem rzadkich musimy importować z Chin. Odlewając zaawansowane części do czołgów czy pojazdów opancerzonych, potrzebujesz tych pierwiastków. Albo je masz, albo musisz kupować od Chin, które już skonsolidowały i znacjonalizowały ten sektor, uzyskując kontrolę eksportu.

Jednym z głównych tematów dyskusji, który również będzie istotny podczas tegorocznego XXXV Forum Ekonomicznego w Karpaczu, staje się sztuczna inteligencja. W panelach i wywiadach często wskazuje pan, że barierą dla jej rozwoju w Polsce i Europie są ceny energii. Mamy szansę na przełom?

Bez radykalnego obniżenia cen energii ani Polska, ani cała Europa nie mają żadnych szans. Energia jest u nas droga z kilku powodów: nadmiernie ambitnej polityki klimatycznej, uzależnienia od OZE i dotychczasowego uzależnienia od surowców z Rosji. Do tego dochodzą wydatki społeczne. W Europie Zachodniej na politykę społeczną i systemy emerytalne przeznacza się ok. 30 proc. PKB, a w Chinach ok. 10 proc. To gigantyczna różnica, która uniemożliwia budowę konkurencyjności.

Co to wszystko oznacza dla zwykłego Polaka, który odczuwa rosnące koszty życia?

Będzie tylko gorzej, ponieważ w zdecydowanej większości spraw to nie Polska decyduje o warunkach zewnętrznych, lecz masowa legislacja produkowana przez Unię Europejską. To Komisja musi podjąć działania, które dadzą szansę na nadrobienie dystansu do USA i Chin, bo dzisiaj technologie decydują o wszystkim. Jeżeli nie nastąpią rzeczywista deregulacja i ponowne otwarcie na sektor prywatny, to przegramy ten wyścig. Liderzy europejscy muszą wreszcie przejrzeć na oczy i zrozumieć, że tylko prywatny biznes może nas uratować przed całkowitą utratą konkurencyjności.

eprasa.pl 92d46bc765

Tragedia w Nepalu – wina człowieka czy proces naturalny?



Zniszczone przez żywioł budynki w pobliżu rzeki Trishuli w dystrykcie Rasuwa, Nepal, 30 sierpnia 2026 r. FOT. ANGAD DHAKAL/REUTERS/FORUM



Andrzej Solecki

Naukowcy za przyczynę nepalskiej katastrofy uważają globalne ocieplenie. Należy jednak podkreślić, że gwałtowne osuwiska w intensywnie wypiętrzanych i erodowanych masywach górskich są zjawiskiem jak najbardziej naturalnym, znanym również w Polsce

W środę 26 sierpnia o godz. 2:52:10 (UTC) w pobliżu szczytu Langtang Lirung o wysokości 7234 m, położonego w nepalskim parku narodowym Langtang, fragment lodowca (i być może część masywu skalnego) oderwał się i runął na dno doliny. Wstrząs wywołany upadkiem został początkowo zinterpretowany jako trzęsienie ziemi o magnitudzie 4,4. Późniejsza interpretacja Służby Geologicznej Stanów Zjednoczonych (USGS) jako źródło fal sejsmicznych, odpowiadających trzęsieniu ziemi o magnitudzie 5,2 lub wybuchowi małej bomby atomowej, wskazała upadek 500 tys. ton materiału skalno-lodowego z wysokości 1 km. Masa ta odpowiada fragmentowi lodowca o wymiarach 600 x 50 x 18 m. Część lodu została stopiona przez wyzwoloną w trakcie upadku energię. Niszczycielska powódź błyskawiczna, niosąca gruz skalny wymieszany z lodem, objęła 100 km dolin rzecznych. Prędkość spływu dochodziła do 190 km/h. Chwilowe blokowanie doliny rzeki Lhende Kholā przez nagromadzone zwały gruzu powodowało spiętrzenie wody, która, przerywając przeszkody, zwiększała skalę powodzi w dolinie poniżej.

W dolinach rzek Lhende Kholā, Trishulī Kholā i Bhotekoshi zaginęły setki osób, zniszczeniu uległy wioski, drogi, elektrownie wodne, posterunek graniczny Rasuwāgaḍhī i fragment autostrady Chiny – Nepal. Wśród zaginionych jest prawie 400 zagranicznych turystów w Nepalu i 260 w Chinach. Reuters podaje, że jest wśród nich co najmniej 65 Amerykanów, 53 Ukraińców, 33 Brytyjczyków, 25 Australijczyków, 25 Kanadyjczyków, 8 Rosjan i 8 Niemców. Brak informacji o tym, że wśród zaginionych byli Polacy.

Wstępna hipoteza o trzęsieniu ziemi jako przyczynie katastrofy była uzasadniona wysoką sejsmicznością regionu. Himalaje od milionów lat wypiętrzane są na

eprasa.pl 92d46bc765

skutek kolizji płyty indyjskiej z euroazjatycką. Obecna prędkość tego wypiętrzenia przekracza 1 mm rocznie, a trzęsienie ziemi z kwietnia 2015 r. o magnitudzie 7,8, które zabiło prawie 9 tys. osób w Nepalu, Indiach, Chinach i Bangladeszu, przesunęło Katmandu o 3 m w ciągu 30 s. Lawina wywołana tym trzęsieniem w dolinie Langtang spowodowała zaginięcie 250 osób, a lawina w okolicach Mount Everestu zabiła 22 osoby.

Precyzyjne określenie pochodzenia wstrząsu było możliwe dzięki rozbudowanej sieci amerykańskich obserwatoriów sejsmicznych służącej od dziesięcioleci do monitorowania prób jądrowych w Związku Sowieckim i Chinach.

WYTWORY TRZĘSIEŃ W POLSCE

Część naukowców za przyczynę nepalskiej katastrofy uważa globalne ocieplenie. Należy jednak podkreślić, że gwałtowne osuwiska w intensywnie wypiętrzanych (i erodowanych) masywach górskich są zjawiskiem jak najbardziej naturalnym, znanym również w Polsce.

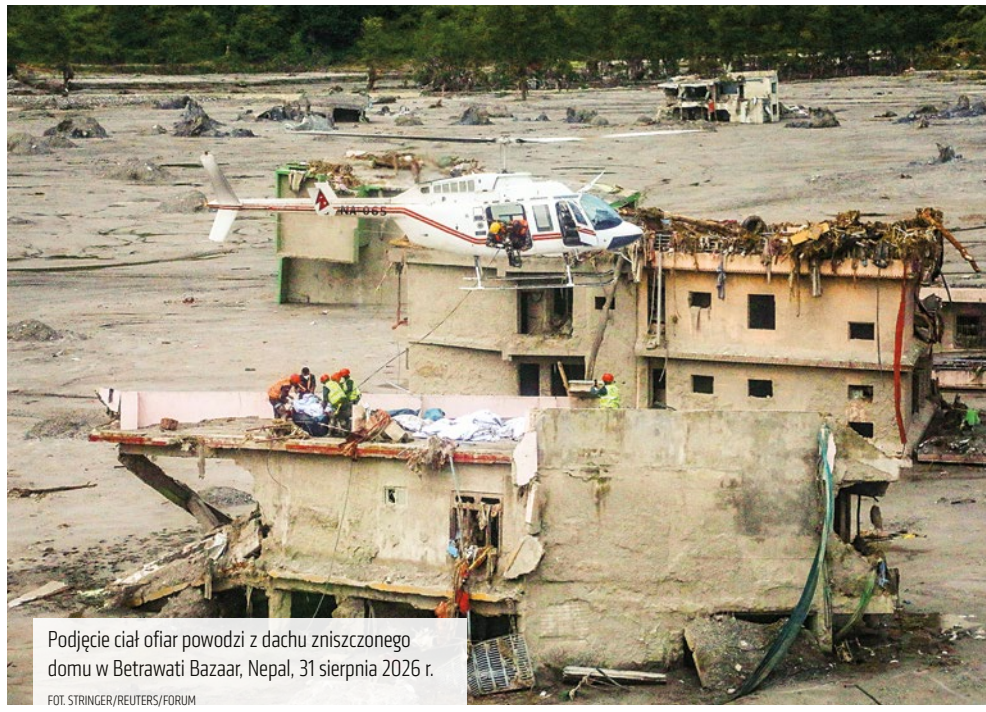
Obryw skalny/osuwisko w Bardzie z 24 sierpnia 1598 r. spowodował wstrząs, który zwiększył wychylenie Krzywej Wieży w Ząbkowicach. Nysa Kłodzka została zablokowana przez jęzor osuwiska, a podtopieniu uległy domy w Bardzie. Na szczęście rzeka przerwała zaporę na tyle szybko, że nie doszło do większej powodzi, która poniżej Barda mogłaby mieć charakter powodzi błyskawicznej.

Kolejnym przykładem są Jeziorka Duszatyńskie, które powstały 13 kwietnia 1907 r. na skutek oderwania się i obsunięcia zachodniego zbocza Chryszczatej i zatamowania Potoku Olchowatego. Na szczęście ustabilizowały się one po podtopieniu części doliny i nie doszło do przerwania zapory i powodzi w dolinie poniżej.

Podobne pochodzenie ma jezioro Synewyr położone w ukraińskich Karpatach. W zależności od bilansu opadów ma ono powierzchnię 4–5 ha i głębokość dochodzącą do ponad 22 m. Zdaniem lokalnych badaczy miało ono powstać ok. 10 tys. lat temu w wyniku osuwiska sprowokowanego przez trzęsienie ziemi.

BIBLIJNY POTOP W USA

Przykładem wielkiej powodzi, ewidentnie związanej z naturalnymi



Podjęcie ciał ofiar powodzi z dachu zniszczonego domu w Betrawati Bazaar, Nepal, 31 sierpnia 2026 r.
FOT. STRINGER/REUTERS/FORUM

zmianami klimatycznymi, jest powódź, której ślady odkryto w stanie Waszyngton. J Harlen Bretz opisał tam liczne kanały erozyjne i koryto wodospadu o progu utworzonym przez 120-metrową ścianę skalną, pięciokrotnie szerszym od Niagary. Szacowane przepływy o prędkości przekraczającej 100 km/h 10-krotnie przekraczały łączny przepływ wszystkich obecnych rzek świata, co było silnym argumentem na rzecz katastrofizmu – teorii wywodzącej się od biblijnego potopu. Zwolennicy dominującej w geologii teorii aktualizmu, stworzonej przez Huttona w XVIII w., uważali, że „teraźniejszość jest kluczem do przeszłości", a ich poglądy wiązały się z odrzuceniem biblijnej narracji co do wielkiej katastrofy z czasów Noego.

Bretz spotkał się z ostrą krytyką. Jego opinia o tym, że jednorazowy epizod powodziowy mógł tak drastycznie przemodelować podłoże zbudowane m.in. z bazaltów, zbyt przypominała katastroficzną narrację o potopie.



Zasięg osuwiska i powodzi błyskawicznej w Nepalu w sierpniu 2026 r.
FOT. USGS.GOV

Debata na temat pochodzenia struktur opisanych przez Bretza, która trwała cztery dekady, stała się jedną z największych kontrowersji w historii geologii. Dopiero dowody zgromadzone w ciągu kolejnych 30 lat badań przez J.T. Pardee'ego, wskazujące na glacjalne jezioro Missoula jako źródło powodzi, doprowadziły do uznania dorobku Bretza, który w roku 1979 otrzymał najwyższe odznaczenie Amerykańskiego Towarzystwa Geologicznego – Medal Penrose'a – w uznaniu jego wkładu w rozwój jednej z najwspanialszych idei w naukach o Ziemi.

Zgodnie z aktualnym stanem wiedzy wschodnia część stanu Waszyngton została spustoszona przez ponad 40 gigantycznych powodzi podczas ostatniego zlodowacenia. Do powodzi tych dochodziło, gdy wody polodowcowego jeziora Missoula przebijały się przez tamę lodową i spływały do płaskowyżu rzeki Kolumbii. Reasumując, można stwierdzić, że katastrofy spowodowane naturalnymi zmianami klimatu mają znacznie większą skalę niż to, co można ewentualnie przypisywać działalności człowieka.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest profesorem nauk o Ziemi, emerytowanym pracownikiem Uniwersytetu Wrocławskiego.

eprasa.pl 92d46bc765



JACEK KOMUDA

POCZET POLSKICH WODZÓW

Stanisław Czapliński, pierwszy po Lisowskim

11 października 1616 r. pod Starodubem od starej rany w nogę z łuku umarł Aleksander Józef Lisowski, twórca i dowódca formacji lekkiej jazdy zwanej później od jego nazwiska lisowczykami. Wbrew temu, co można by sądzić, śmierć wodza była tylko początkiem niezwykłej historii tej formacji lekkiej jazdy, która zasłynęła w wojnach przeciwko Moskwie, Turcji, a na koniec w czasie wojny trzydziestoletniej. Hetmanowi Janowi Karolowi Chodkiewiczowi, odpowiedzialnemu za obronę pogranicza przed Moskwą, zależało na utrzymaniu w służbie całego pułku, zaproponował zatem na dowódcę rtm. Mikołaja Ruckiego. Został on niechętnie przyjęty przez ludzi Lisowskiego. Jednak pułk zagończyków odbył pod jego komendą wyprawę na Kursk, który zdobył i spalił. Pobił także pod Kromami znaczny oddział wroga, a potem zawrócił w granice Rzeczypospolitej i rozłożył się na leżach zimowych w okolicach Rzeczycy. Wciąż niejasna była sprawa dowódcy. Hetman chciał narzucić swojego kandydata, ale koło chorągwiane akceptowało na razie tylko brata zmarłego Lisowskiego. W marcu 1617 r. zagończycy gotowi byli przyjąć kolejnego kandydata hetmana, starostę parnawskiego Janusza Kiszkę. Przygotowywali się także do wymarszu na nową kampanię. Jednak kiedy 12 maja przybyli pod Smoleńsk, dowodził nimi nie Kiszka, ale Stanisław Czapliński, o którym – jak pisze Henryk Wisner – trudno powiedzieć, czy był wyznaczony przez hetmana czy też został wybrany przez lisowczyków. Wybór dowódcy stał się później zwyczajem „towarzystwa", które wybierało, a czasem i zrzucało ze stanowiska swojego pułkownika. Pierwszym sukcesem Czaplińskiego było odblokowanie Smoleńska, który został oblężony przez Moskwę. Po nadejściu oddziałów lisowskich, w nocy z 16 na 17 maja, Moskale porzucili umocnienia i wycofali się do Białej.



FOT. DOMENA PUBLICZNA

O nowym dowódcy lisowczyków niestety wiadomo niewiele. Stanisław Czapliński pochodził z rodziny szlacheckiej herbu Drogosław, a służbę wojskową zaczynał w czasie wojny moskiewskiej jako rotmistrz chorągwi petyhorskiej. W 1609 r. znalazł się w wojsku Dymitra Samozwańca II, w pułku Józefa Budziłły, później pojawił się w oddziałach Jana Piotra Sapiehy. W listopadzie 1610 r., po przejściu oddziałów Sapiehy na stronę króla Zygmunta i Rzeczypospolitej, zbuntował kilkuset żołnierzy i przeszedł znowu do Dymitra, który przebywał w Kałudze. Nie przyniosło mu to szczęścia, ponieważ w grudniu jego oddział został pobity przez Piotra Urusowa, który później zamordował samego Dymitra Samozwańca II. Co dalej porabiał Czapliński, nie wiadomo, gdyż pojawił się wśród lisowczyków dopiero po śmierci ich twórcy. Jego żywot przypomina zatem typową karierę awanturnika zagończyka z czasów wojen okresu wielkiej smuty w Moskwie.

Wkrótce po odblokowaniu Smoleńska pułk lisowski pod wodzą Czaplińskiego wziął udział w wyprawie królewicza Władysława na Wielkie Księstwo Moskiewskie, w celu odzyskania carskiej korony. Oddział ten składał się z 10 chorągwi i liczył ok. 1 tys. jeźdźców, chociaż „wieszały" się przy nim różne watahy powiększające ogólną ich liczbę nawet do 5 tys. ludzi. Lisowczycy pełnili funkcję straży osłonowej dla gromadzących się powoli wojsk i odnieśli wiele zwycięstw. Przede wszystkim zdobyli Mszczewsk, osłaniając obóz wojsk królewicza od strony Kaługi. W grudniu 1617 r. pobili oddział kniazia Dymitra Pożarskiego pod Kaługą. Drugi raz odnieśli tu zwycięstwo w marcu 1618 r. W lipcu Czapliński połączył się z główną armią Władysława pod Krzemieńskiem i brał udział w pochodzie na Moskwę oraz w kolejnych starciach pod Możajskiem i Borysowem. Zagony lisowczyków i kozaków pod wodzą Piotra Konaszewicza-Sahajdacznego pustoszyły i łupiły kraj zarówno w czasie pochodu na stolicę, jak i później – w trakcie oblężenia oraz toczących się rokowań pokojowych.

Niestety, płk Czapliński nie dożył końca wojny i rozejmu w Dywilinie. 25 października 1618 r. ten drugi w kolejności dowódca lisowczyków poniósł śmierć w czasie jednego ze starć. Jak pisał Jakub Sobieski: „Nowina przyszła żałosna wojsku wszystkiemu, że na czacie w ostróżku jednym bojarskim [...], zabito Czaplińskiego, pułkownika i starszego wojska lisowczyków, człowieka bardzo ochotnego, rycerskiego i posłusznego". Jeźdźcy, zwani później także elearami, nie rozproszyli się jednak, a na pułkownika wybrali Walentego Rogawskiego. ©℗

eprasa.pl 92d46bc765

GWM (GREAT WALL MOTOR) DEBIUTUJE W POLSCE



FOT. JAP

Aerodynamiczna sylwetka (współczynnik oporu powietrza Cx = 0,26), przednie reflektory niemal jak w Porsche i przełączniki na konsoli środkowej od razu przywodzące na myśl Mini Coopera. Do tego napęd hybrydowy nowej generacji o łącznej mocy 223 KM, przyspieszenie od 0 do 100 km/h w 7,7 s, ponad 1000 km zasięgu na jednym tankowaniu oraz system kamer 540 stopni w standardzie – to najważniejsze elementy kompaktowego SUV-a marki GWM, który jeździ już po polskich drogach.

Że niby jakiej marki? Znowu jakiś Chińczyk? Otóż tak. W Polsce, w której oficjalnie w salonach można już kupić ponad 20 różnych chińskich marek, w zeszłą środę do wyścigu po polskiego klienta dołączyła bowiem firma Astana Motors Poland, czyli oficjalny dystrybutor chińskiej marki Great Wall Motor (GWM).

Od początku swojej działalności GWM sprzedało już ponad 20 mln aut, a tylko w ubiegłym roku było to 1,32 mln samochodów. Szefowie marki obecnej już w ponad 170 państwach dotychczas stawiali na rozwój w Azji Południowo-Wschodniej, RPA, Ameryce Łacińskiej i Australii. W bardzo konkurencyjnych czasach Chińczycy z Great Wall Motors poszli w ślady swoich rodaków i wzięli na celownik także Europę. Auta GWM najpierw pojawiły się w Niemczech, Wielkiej Brytanii i Irlandii, a teraz zaczynają wchodzić na rynki w Polsce czy we Włoszech.

Polski oddział ambitnie podchodzi do rozwoju sieci sprzedaży. Obecnie GWM ma już w Polsce 15 salonów dealerskich, a do końca obecnego roku marka zamierza otworzyć co najmniej pięć kolejnych. Deklarowany cel na ten rok: sprzedać pierwszy 1 tys. egzemplarzy. W przyszłym roku plan znalezienia nabywców na 6 tys. aut GWM. Czy to nie są zbyt ambitne plany? – Oceniamy ten cel jako ambitny, ale realny. Jesteśmy przekonani, że oferujemy dobry produkt, który świetnie trafia w zapotrzebowanie polskich klientów. Wchodzimy na rynek z ORA 5, czyli samochodem z segmentu SUV i jesteśmy pełni optymizmu – powiedział „Do Rzeczy" kierujący ofensywą marki GWM Piotr Laube.

W ciągu najbliższych kilkunastu miesięcy nad Wisłą ma się pojawić ponad 10 modeli GWM, a do końca grudnia ORA 5 oraz HAVAL H7. Ten pierwszy sprawia dobre pierwsze wrażenie. I oferuje atrakcyjny stosunek jakości do ceny. Mierzące 4471 mm długości auto z prześwitem wynoszącym 175 mm, napędem hybrydowym, podgrzewanymi fotelami przednimi w wersji Signature kosztuje 118 990 zł. Promocyjna cena wariantu Infiniti (z podgrzewanymi i wentylowanymi fotelami, panoramicznym szklanym dachem, oświetleniem ambientowym, bezprzewodową ładowarką 50 W oraz systemem audio z dziewięcioma głośnikami) wynosi 129 990 zł. ORA 5 bez hybrydy (z silnikiem benzynowym 1.5 o mocy 160 KM, który pozwala na sprint do setki w 8,9 s) to wydatek odpowiednio 109 900 zł lub 120 900 zł.

KOSIARKA ECOVACS GOAT A3000

Dwie tarcze tnące, bezprzewodowe wyznaczanie obszaru koszenia, wysoka wydajność, trymer docinający trawę przy krawędziach, klasa szczelności IPX6 oraz prostota montażu i obsługi – to najważniejsze zalety automatycznego robota do koszenia trawy chińskiej marki Ecovacs.

Testowane urządzenie zgodnie z nazwą niczym koza codziennie dokładnie skraca wybrany fragment trawnika, wyręczając człowieka w zadaniu, którego chyba nikt nie lubi. Model Goat A3000 ma nad kozą tę przewagę, że kosiarka jest wyposażona w dwie obracające się z prędkością 3000 obr./min tarcze tnące oraz 13-poziomową regulację wysokości ostrzy (w zakresie od 3 do 9 cm). Można też nakazać robotowi, aby w jednej części ogrodu zostawił trawę dłuższą, a w drugiej krótszą. Szerokość koszenia wynosi 33 cm, a robot potrafi skutecznie kosić na terenie o maksymalnym kącie nachylenia wynoszącym 27 stopni (50 proc.).

W przeciwieństwie do pierwszego pokolenia kosiarek automatycznych, Ecovacs nie wymaga montażu w ogrodzie żadnych przewodów ograniczających. Dzięki nowoczesnym technologiom służącym do mapowania trawnika i nawigacji po nim – łączącym radar LiDAR z kamerą z AI oraz przednimi czujnikami 3D-ToF – zarządzanie robotem jest proste i odbywa się bezprzewodowo za pomocą aplikacji. Robot porusza się precyzyjnie i kosi równomiernie. W smartfonie ustawia się też harmonogram pracy oraz kod zabezpieczający (aby nikt naszej „kozy" sobie nie pożyczył).



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

To, co wyróżnia testowany model od propozycji konkurentów, to specjalny trymer żyłkowy (w zestawie) docinający trawę na krawędziach. Dzięki temu konieczność sporadycznego użycia podkaszarki jest ograniczona do minimum.

Potężny akumulator o pojemności 7400 mAh sprawia, że ten robot daje sobie radę z trawnikiem o powierzchni do 3 tys. mkw. Doładowanie energii trwa zaledwie 70 minut, po czym „koza" wraca na miejsce, w którym skończyła.

Wady? Po pierwsze, trymer do krawędzi czasem jednak coś pominie. Po drugie, robot mógłby mieć większe koła, aby lepiej radzić sobie z nierównościami. Po trzecie, kolor biały wygląda ładnie, ale jest mało praktyczny. Do niedawna minusem była też cena (ok. 9,5 tys. zł). Pod koniec sezonu testowany model – przeznaczony do ogrodów o powierzchni do 3 tys. mkw. – staniał jednak do 7200 zł. Wersja do trawników o wielkości 1,6 tys. mkw. kosztuje 4799 zł. Sporo, ale automatyczna kosiarka daje użytkownikowi to, czego nie da się kupić za pieniądze: wiele godzin wolnego czasu.

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **JACEK PRZYBYLSKI**

eprasa.pl 92d46bc765



MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK I ANNA POPEK Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Francuskie leczo

Warzywa, szczególnie te na przełomie lata i wczesnej jesieni, wnoszą do naszej kuchni bogactwo wyjątkowych smaków. Grillowane duszone cukinie, bakłażany, kabaczki to obowiązkowe dania, które rozpoczynają festiwal jesiennych, wyjątkowych popisów kulinarnych. Jesienią warzywa smakują najlepiej, wygrzane w letnim słońcu mają zupełnie inny aromat i smak niż te wiosenne spod folii. Możemy z nich wyczarować przepyszne pożywne zupy, zapiekanki lub wykorzystać do domowych przetworów, z których chętnie skorzystamy zimą. Jesienią szczególnie lubimy przyrządzać potrawy jednogarnkowe, składające się z warzyw wszelakie jarskie gulasze, warzywne leczo czy zapiekanki. Bardzo nam smakują pożywne zupy z cukinii, kabaczka czy dyni, których wariacji nie sposób zliczyć. Ratatouille to francuska potrawa wywodząca się z Nicei, oparta głównie na bakłażanie, cukinii, cebuli i pomidorach, właściwie znana i popularna w całym basenie Morza Śródziemnego. To danie przygotowuje się bardzo szybko, a zamiast świeżych pomidorów możemy wykorzystać passatę lub przecier pomidorowy. Ratatouille doskonale smakuje jako dodatek do tradycyjnej pszennej bagietki, grillowanego mięsa czy smażonej ryby. Czasami dodajemy odrobinę sera typu feta lub pleśniowego, aby wzbogacić smak tego dania, ale wtedy nie jest to tradycyjne ratatouille, tylko nasza wariacja. Zachęcamy zatem, aby wykorzystać i jak najdłużej smakować letnie smaki w postaci warzywnych dan.

FOT. ADOBE STOCK



Ratatuille

- 2 cebule cukrowe
- 2 cukinie
- 1 średni bakłażan
- 2 średnie
- 2 ząbki czosnku
- passata pomidorowa i/lub przecier pomidorowy
- sól, pieprz, czerwona papryka mielona
- zioła: tymianek, oregano, rozmaryn, mogą być suszone
- 3 łyżki oliwy z oliwek

Na dużej patelni podgrzać oliwę, w tym czasie pokroić warzywa na małe kawałki, cebule pokroić w kostkę, czosnek przecisnąć przez praskę. Na rozgrzaną oliwę wrzucić cebulę i czosnek, następnie bakłażana, po kilku chwilach cukinie i wszystkie pokrojone warzywa. Dusić ok. 20 min pod przykryciem, a następnie dodać przyprawy i passatę pomidorową. Wszystko razem poddusić jeszcze kilka minut i gotowe. Podawać jako dodatek lub z bagietką. ©℗



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Dolly

Nie przepadam ani za muzyką country, ani za westernami, nie należę do fanów serialu „Yellowstone", który namiętnie oglądał cały świat, a z nim pan Bojańczyk. Wszystko to może dlatego, że mało znam środkową, wiejską Amerykę, a jak się czegoś nie zna, to trudno to polubić.

Śmierć Dolly Parton, amerykańskiej supergwiazdy muzyki country, w Polsce przejęła niewielu. W USA żałoba narodowa, prezydent Trump nakazał opuszczenie flagi do połowy masztu. Dolly umarła w Nashville. Czy gwiazda country może umrzeć gdzie indziej? W hołdzie przed jej domem przejechały setki, tysiące samochodów uwielbiających ją fanów. Sama też mogę się do nich zaliczyć; nie znam wielu jej piosenek, ale po obejrzeniu dokumentalnego filmu o niej przestałam oceniać ją tylko na podstawie kiczowatych scenicznych przebrań. Zobaczyłam człowieka, a ona człowiekiem była przez duże C.

Dolly Rebecca Parton urodziła się 19 stycznia 1946 r. jako córka analfabety dzierżawcy, czwarta z dwanaściorga dzieci, w jednopokojowej chałupce nad rzeką Little Pigeon River w stanie Tennessee. Rodzina była tak biedna, że lekarzowi przyjmującemu poród jednego z dzieci zapłacono workiem kukurydzy. Nie mieli kanalizacji ani prądu. Dolly pierwsza w rodzinie skończyła szkołę średnią. Ale zawsze powtarzała, że miała szczęśliwe dzieciństwo.

„Widziałam, jak ręce taty pękają i krwawią / I widziałam, jak haruje, aż zesztywnieje jak deska" – śpiewała. „Widziałam mamę leżącą w cierpieniu i chorobie / Potrzebującą lekarza, na którego nas nie było stać. / Wszystko było dla nas więcej, niż mieliśmy / W dobrych, starych czasach, kiedy czasy były złe".

Koledzy wyśmiewali się z płaszcza pikowanego ze szmat uszytego przez matkę. O tym zaśpiewała. Przekroczyła stereotypy, żeby stworzyć własny, ludowy szyk – glamour dziewczyny ze wsi. Piętrowe peruki, błyszczące kombinezony powiewające frędzlami, złote i srebrne siatki, cekiny, frędzle, czego tam nie było. Kicz, ale więcej niż sztafaż, to było szczere. Stała się międzynarodową gwiazdą, koncertowała na stadionach, grała w hollywoodzkich filmach, zbudowała imperium biznesowe i pojawiła się na okładce magazynu „Rolling Stone". Zaśpiewała trzy tysiące piosenek, wiele z nich nagrali inni artyści: Tina Turner, Norah Jones, Whitney Houston.

Była wielką filantropką. Oferowała stypendia absolwentom szkół średnich; w 2000 r. dodała pięć stypendiów uniwersyteckich. W 2007 r. zorganizowała koncert charytatywny, którego celem była zbiórka pieniędzy na nowy szpital w hrabstwie. Zebrała milion dolarów. „Kiedy myślisz o Ameryce, pomyśl o Dolly. To najlepsze z nas" – skomentował internauta po jej śmierci. ©℗

eprasa.pl 92d46bc765



PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O pogardzie

Stefano Bonaccini to jeden z tuzów włoskiej lewicy. Co prawda, na chwilę zaparkował w Parlamencie Europejskim, ale ma 59 lat i ogromne szanse na dalszą błyskotliwą karierę polityczną.
Był już gubernatorem Emilii-Romanii, fortecy włoskich postępowców. Jest organizacyjnym przewodniczącym największego lewicowego ugrupowania – Partii Demokratycznej – i to z szansami na partyjne przywództwo, jeśli liderka Elly Schlein przegra przyszłoroczne wybory. Zna go każdy dorosły Włoch, bo Bonaccini od wielu lat pojawia się w najważniejszych publicystycznych programach telewizyjnych. Zaczynał w komunistycznej młodzieżówce i z pierwszym powiewem wiatru zmian w Sowietach przepoczwarzył się w socjaldemokratę. Słowem, a nawet trzema, jest włoskim lewicowcem modelowym.

Potwierdził to brawurowym wywiadem dla popularnego portalu IVG [skrót od „Wasz dziennik" – przyp. P.K.]. Przedstawił w nim socjologiczną analizę interkontynentalną: „Pierwszy i drugi wybór Trumpa, Brexit, popularność AfD w Niemczech, Le Pen we Francji, także zwycięstwo Giorgii Meloni we Włoszech, a przedtem Salviniego – w wyborach do PE –34 proc. – świadczą dobitnie o tym, że zwyciężyły głosy ludzi niewykształconych, bez studiów, z problemami ekonomicznymi, mieszkający w biednych dzielnicach i na peryferiach miast".

W ustach faceta, który ukończył liceum o profilu mat-fiz, wytykanie komuś braku dyplomu ukończenia studiów brzmi cokolwiek pretensjonalnie. Natomiast zupełnie porażające jest to, że mimochodem, w imieniu własnym i towarzyszy, przyznał się do ideologiczno-politycznej klęski. Czy to aby nie siły postępu miały walczyć w obronie najbiedniejszych i najsłabszych, tych z najmniejszymi szansami na życiowy sukces? Tymczasem, jak nie bez pogardy utyskuje Bonaccini, ci głupi i biedni głosują na prawicę!

Giorgia Meloni pyta, czy Bonacciniemu i towarzyszom nie przyszło przypadkiem do głowy, że ci głupi i biedni na własnej skórze przekonali się, do czego prowadzi polityka lewicy i mają dość, szczególnie nieznośnego moralizatorstwa i pouczeń, jak żyć, myśleć i głosować, udzielanych przez lewicowe elity z zamkniętej, luksusowej bańki.

Tam włoscy postępowcy są w swoim żywiole. Utwierdzają się nawzajem w przekonaniu o własnej wyższości kulturowej i moralnej, co po politycznej porażce nieuchronnie prowadzi do pogardzania tymi, którzy na nich nie głosowali. Naturalnie nigdy nie ma mowy o tym, że lewica pobłądziła, że kandydaci byli do bani. Zawsze winien jest głupi naród. Może za poradą Brechta Bonaccini i jego towarzysze powinni znaleźć sobie jakiś inny naród? ©℗



JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Testowy pakt senacki

24 sierpnia zmarł senator gen. Mirosław Różański. Według przepisów powinny odbyć się wybory uzupełniające w wakującym okręgu w Lubuskiem. Terminy takich wyborów wypadają w okolicach przełomu lat 2026 i 2027. Zaistniała sytuacja daje pewne polityczne możliwości.

Zarówno kampania, jak i poprzedzające ją ustalenia polityczne dają możliwość przetrenowania możliwości „małego paktu senackiego". O „dużym pakcie senackim" mówi się od dłuższego czasu, trwają podobno (to nadzieja prawicy, ale bardziej jej zwolenników niż samych jej polityków) zakulisowe rozmowy nad tym, żeby w wyborach do Senatu pójść razem. Pytanie, czy takie rozmowy przede wszystkim są i czy uczestniczą w nich wszyscy, czyli i Korona Brauna, i Rozwój Plus Morawieckiego, i czy do czegoś strony doszły.

Jeśli pakt senacki nie zaistnieje po stronie prawicowej, to Senat odtworzy jeszcze bardziej pogłębiony prymat anty-PiS. Sam Senat ma w ustroju właściwie dwie ważne funkcje, jeśli jest w rękach opozycji.

Po pierwsze, może spowalniać tylko procesy legislacyjne parlamentu. Trzeba odczekać ok. 30 dni do każdej ustawy, żeby po „pracach" w Senacie parlament i tak zrobił po swojemu. Tak męczył się PiS w latach 2019–2023. Tak jak w latach 2015–2019 demonstracyjnie nie męczył się, kiedy miał Senat po swojej stronie, gdy to ustawy przechodziły przez legislaturę w jeden dzień, łącznie z „pracą" w Senacie.

Druga ważna cecha Senatu leży w konstytucji. To od jego zgody uzależniony jest „prezydencki" tryb referendum konstytucyjnego, do którego przymierza się prezydent Nawrocki. I nawet gdyby prawica przegrała większość w parlamencie, to mając „swój" Senat, mogłaby zainicjować referendum konstytucyjne. Przy przekroczeniu progu 50 proc. frekwencji ustalenia referendum stają się obligatoryjne. Co prawda, na etapie „wdrażania" może dojść do wielu wypaczających i przedłużających procederów, ale sam ruch przy takiej frekwencji wywierałby dużą presję na rządzących, a także konsolidowałby społeczeństwo wokół skonkretyzowanej idei.

Wakat lubuski może być użyty przez prawicę jako poligon doświadczalny przed „właściwymi" wyborami. Można przetrenować koncyliacyjność stron przy wyłanianiu kompromisowego kandydata. Można też temat kunktatorsko odpuścić, bo a nuż się przegra i wyśle zły sygnał na przyszłość. Jeśli prawica nie podejmie tej szansy, to może pokazać słaby potencjał podobno toczących się rozmów na temat „dużego" paktu senackiego". A może żadnych rozmów nie ma i nie będzie, każdy się buduje na swoje, co może oznaczać, że „wśród wielu przyjaciół" psy zająca (znowu) zjedzą. ©℗

eprasa.pl 92d46bc765



SPODE ŁBA

Okopy równości płci

DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

Ciekawą opinię wygłosił ostatnio emerytowany amerykański gen. Keith Kellogg, który do końca 2025 r. pełnił funkcję specjalnego wysłannika prezydenta USA, Donalda Trumpa do spraw Ukrainy. Światowe media przedstawiały go zawsze jako polityka szczególnie życzliwego Ukrainie, a prezydent Zełenski nagrodził go, przed rokiem, ukraińskim Orderem Zasługi. W udzielonym niedawno wywiadzie

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA



gen. Kellogg spytany został, czy Ukraina powinna poddać kobiety przymusowej mobilizacji. „Czy uważam, że kobiety powinny zostać zmobilizowane do wojska? Moja odpowiedź brzmi: tak, ponieważ walczą one niegorzej niż mężczyźni. Bardzo ważne jest to, aby kobiety, jako część społeczeństwa, wstąpiły do służby" –odpowiedział Amerykanin, uzasadniając to doświadczeniem rodzinnym. „Moja żona i córka były spadochroniarkami i skakały ze spadochronem. Żona walczyła na Grenadzie, a córka – w Afganistanie". Amerykański generał zapomniał niestety dodać, że wojownicze damy wstąpiły do US Army na ochotnika.

Podobne refleksje nachodzą gen. Kellogga coraz częściej. W sierpniu 2026 r., podczas konferencji w Kijowie, nie mógł się on nachwalić ukraińskich żołnierek. „Kobiety służące w armii jako strzelcy wyborowi, operatorzy dronów, ratownicy medyczni i dowódcy, a jest ich w armii ukraińskiej ponad 60 000, pokazują, jak przekraczać bariery, i udowadniają, że odwaga nie zna płci". Były ukraiński minister obrony Ołeksij Reznikow także objawił się właśnie jako obrońca „gender equality". „Równość płci oznacza, że kobiety także powinny służyć w wojsku. Natychmiast podwoi to nasze możliwości mobilizacyjne [...]. Musimy odpowiedzieć sobie na pytanie, czy nasze społeczeństwo jest już gotowe przyznać, jak to ma miejsce w Izraelu, że uda nam się przetrwać tylko wtedy, gdy każdy zaakceptuje obowiązek uczestnictwa w obronie Ukrainy". Jak stwierdził były minister, ukraiński parlament z łatwością może wprowadzić stosowne przepisy.

W tym kontekście niepokojąco zabrzmiały słowa ważnego ukraińskiego polityka, gen. Kyryła Budanowa. Oświadczył on, że dla utrzymania frontu Ukraina musi mobilizować miesięcznie 30 tys. nowych rekrutów. „Musimy znaleźć w sobie odwagę i nazwać rzeczy po imieniu – nie możemy mobilizować mniej [...]. To minimalna liczba niezbędna do zachowania tego, co mamy" – ogłosił Budanow. Czy to miesięczne „minimum" może mieć jakiś związek z ponoszonymi przez Ukraińców stratami?

Sytuacja Ukrainy jest dzisiaj dramatyczna. Odległą w czasie, lecz godną rozważenia analogią historyczną może się wydawać wojna, toczona przez Paragwaj z koalicją Brazylii, Argentyny i Urugwaju. Trwała ona w latach 1864–1870. Potencjał ludnościowy, gospodarczy i militarny trójstronnej koalicji wielokrotnie przewyższał siły małego Paragwaju. Stracił on, walcząc „do ostatniego", od 60 proc. do 90 proc. całej populacji i stanął na krawędzi biologicznego wyginięcia. Na wojnie zginęło ponad 85–90 proc. mężczyzn w wieku poborowym – od 15 do 40 lat. Po tym, jak w uporczywej obronie i szaleńczych, beznadziejnych atakach utracono dorosłych weteranów, przymusowej mobilizacji poddano dzieci w wieku 9–15 lat. Na głowy chłopców, dla zmylenia przeciwnika, zakładano czapki ze słomianymi brodami i wąsami. Dzieci ginęły tysiącami. Po wojnie w Paragwaju zostało przy życiu 220 tys. mieszkańców, w tym tylko 28 tys. mężczyzn – w większości inwalidów, byłych jeńców wojennych i imigrantów. Prezydent Paragwaju Francisco Solano López, szermierz fanatycznego frazesu, zginął z okrzykiem „Umieram wraz z moją ojczyzną".

Słowa skorumpowanego tyrana okazały się fałszem. Stało się tak za sprawą kobiet, które zdołały ocalić swój naród, rodząc dzieci i samotnie utrzymując potomstwo. Paragwajski dyktator, w obronie swojej władzy gotowy mordować nawet członków najbliższej rodziny, kobiet paragwajskich, dla ocalenia głowy, nie odważył się jednak posłać na front. Współczesne Ukrainki mogą nie mieć już tyle szczęścia. ©℗

eprasa.pl 92d46bc765



JOANNA SIEDLECKA

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Dwa lata jak dla brata

W Związku Sowieckim anegdotczycy budowali Kanał Białomorski, u nas, w najweselszym z socjalistycznych baraków, za dowcip polityczny groziło do dwóch lat obozu pracy w Mielęcinie, Jaworzu, karnych brygadach w kopalni, których istnienie ukrywano. Choć w więziennej kminie mówiło się, że dwa lata to jak dla brata, wychodziło się stamtąd ze zrujnowanym zdrowiem, „hakiem" w życiorysie. Zsyłał tam, działający w latach 1945–1955, haniebny, stalinowski twór, Specjalna Komisja do Walki z Nadużyciami i Szkodnictwem Gospodarczym, a w istocie z ledwo już dychającą inicjatywą prywatną, „spekulantami", oraz z tzw. szeptanką – rozpowszechnianiem fałszywych wiadomości, dowcipów, plotek wyrządzającym szkodę interesom Polski Ludowej oraz znieważającym jej dostojników. Panicznie bali się ośmieszenia, karząc wszelkie przejawy oporu i wolności, nienajwyższych często lotów, ale autentycznych, oddających klimat i nastroje tamtych czasów. W ciągu 10 lat swojej działalności Komisja zwana Kagańcem w trybie natychmiastowym, bez obrońców i apelacji, wysłała do obozów ok. 90 tys. osób. Najczęściej „szeptanka" dotyczyła „przejściowych", zdaniem władzy, braków w zaopatrzeniu. I nawet Mrożek by tego nie wymyślił, bo za jedno krytyczne o tym zdanie pięć miesięcy obozu otrzymał Józef z Gdańska, który po śmierci Stalina krzyczał w tramwaju: „Żałoba żałobą, a ja głodny jestem!". Osiemnaście miesięcy obozu zarobił Antoni ze wsi Popielawy za przeróbkę znanego szlagieru: „Na lewo skład, na prawo skład / a w środku węgla nie ma / Na ciele chłód, w żołądku głód / w kieszeni forsy nie ma / Za mięsem stój / Za chlebem stój / a ludzka skarga płynie". Dziewięć miesięcy obozu kosztowała dwóch robotników z Wejherowa kolejna wersja szlagieru: „Na lewo most / na prawo most / a dołem wódka płynie / mięso i słonina dla baćki Stalina / a my, biedne Polaczki / jemy gnaty i flaczki". Tylko sześcioma miesiącami ukarano Wacława z Lublina za rozpowszechnianie ulotek: „Kochany Trumanie / przyjeżdżaj do nas na bombardowanie / bo nie wytrzymamy w sześcioletnim Planie / Stalinie, oddaj nam świnie / bierz swoje talony i bony / uciekaj do żony". Trzynaście miesięcy obozu otrzymała Stanisława z Białegostoku za przechowywanie i kolportaż nostalgicznej „Ody do świni": „O, świnio, marzeń mych upojna tęsknoto / Dziś te czasy minęły, kiedy można było / napawać się widokiem przeróżnych wyrobów / jak serdelki, parówki, pieczone wątroby / szynki, boczki, salami, różne balerony / Dziś dają cię po troszeczku i tylko na kartki". Bogdan, znajomy Stanisławy, usłyszał wyrok 15 miesięcy za rozpowszechnianie „Planowania", wiersza wyszydzającego socjalistyczną gospodarkę; jej bohaterką był babcia klozetowa, która z powodu swoich wygłodniałych klientów nie mogła wykonać nałożonych na nią norm i skarżyła się do Srajrady: „Według planu trzyletniego / naród żyje dziś w sytości / ale co wynika z tego / kogo widzę – same kości / jedzą tylko galop-zupki / coraz mniejsze robią kupki / wszyscy, co tu przesiadują / moją normę sabotują / A gdzie mój plan, moja premia?" – szkalował.

Najwybitniejsi poeci pisali wtedy panegiryki o naszych przywódcach, naród kpił z nich i drwił. Na przykład z marszałka Kostii Rokossowskiego, któremu poszerzają w szpitalu klatkę piersiową na kolejne medale. Z Bolka Bieruta – agenta – prezydenta, sowieckiego czyścibuta. Za jego zniewagę 12 miesięcy obozu otrzymał chłop ze wsi Wygnanka; nie puścił bowiem swojej córki do pracy w SP, Służbie Polsce, oświadczając publicznie: „Jak Bierut przyjdzie do mnie robić, córka pojedzie, w przeciwnym wypadku – nie!". Na 18 miesięcy obozu skazano Stanisława z Lęborka za antypaństwowe piosenki, m.in o Bierucie: „Drobne liście na kapuście / nie daj dupy komuniście / gdy się Bierut o tym dowie / to ci dupę upaństwowi". Najcięższe obscena powstawały jednak o Wodzu Ludzkości. Dwa lata w obozie przesiedział Ignacy, robotnik z Garwolina, za śmiały wierszyk: „Ciekawy jestem / czy też wielki Stalin / tak samo sra / jak zwykły człowiek – / na przykład ja / A ci, co do niego wielkość czują / dlaczego tego / dokładnie nie opisują?". Najwięcej wyroków za „szeptankę" zapadało po śmierci Chorążego Pokoju; dwa lata obozu otrzymał też Antoni z Pszczyny, który szkalował go, mówiąc: „Tyle osób przez niego wycierpiało, tyle zginęło, a on zmarł śmiercią naturalną, powinien więcej wycierpieć!". Choć najczęściej wędrowano do obozów za opijanie śmierci Stalina na konto tego, „że wreszcie zdechł i ludzie trochę odetchną". O łaskę dla oskarżonych zwracały się do prezydenta Bieruta ich żony, dzieci, starzy rodzice, w sprawie rolnika z Dębnicy Kaszubskiej cała wieś, prosząc tylko o urlop dla niego na czas żniw, w przeciwnym wypadku jego rodzinie grozi nędza, ale wszystkie prośby zostały oddalone. ©℗

Korzystałam z książki „Szeptane procesy. Z działalności Komisji Specjalnej 1945–1954", opracował: Maciej Chłopek, Warszawa 2005, wyd. Baobab.

eprasa.pl 92d46bc765

GROŹBY



FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOŚNICKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

W zeszłym tygodniu obchodziliśmy dwie rocznice – powstania Solidarności oraz wybuchu drugiej wojny światowej (to się powinno nazywać nie żadnym „wybuchem wojny", lecz zbrojną napaścią Niemiec na Polskę).

Dwie rocznice. Obie bez znaczenia. Prezydent wygłosił ładne przemówienia i to też jest bez znaczenia. Są rocznice, które się pamięta, i są takie, o których naród stopniowo zapomina.

Żadna z tych rocznic nie pasuje do miłego letniego popołudnia przy grillu, piwku i telewizorku. Prezydent coś chrzani na smutno, a tu słonko za oknem. Zmień kanał!

Rocznica wybuchu drugiej wojny światowej to musiałaby być wielka manifestacja antyniemiecka. W Unii? Nie da rady. Niemcy to nasi sojusznicy, więc nie wypada pamiętać, że to mordercy. Nie wypada pamiętać, że robili Polakom to samo co Ukraińcy na Wołyniu, tylko sprzęt mieli bardziej nowoczesny. Stawiali cywilów pod ścianą do rozstrzelania karabinem maszynowym. Bez wyroku. Utworzyli nawet specjalny obozik koncentracyjny dla małych dzieci (w Łodzi jest muzeum, można się zapoznać z kulturą tysiącletniego narodu niemieckiego, który dał światu Beethovena oraz Cyklon B).

A rocznica Solidarności? To z kolei musiałaby być manifestacja antysocjalistyczna. W Unii? No nie da rady, bo w Unii rządzą socjaliści, socjaldemokraci, socjal coś tam, socjal wszędzie. Unia to dziś Międzynarodówka Socjalistyczna, więc wspominanie o antysocjalistycznym zrywie polskiego narodu nie pasuje. Zmień kanał!

***

Dwie rocznice. Jakaś manifestacja, pochód czy wiec? E tam. Ludziom nie chce się wychodzić z domu. Lenistwo wywołane „dobrobytem". (Dobrobyt jest pozorny, ale lenistwo już prawdziwe). Biała dmuchana bułka z padliną oraz plastikowym pomidorem z supermarketu daje poczucie komfortu i satysfakcji, a opuszczenie tej strefy wymaga wysiłku, zaangażowania intelektualnego… Człowiek zarobiony po szyję woli po arbajcie uwalić się na kanapie i nie myśleć o rocznicach.

Energia w narodzie polskim opadła razem z testosteronem u mężczyzn. Cukier, pieczywo z modyfikowanej pszenicy, kurczaki dokarmiane paszą z hormonami, facetom rosną babskie cycki, 30-latki zachowują się jak nastoletnie panienki i beczą, gdy ich ktoś odlubi w sieci. (A Hołownia beczy nad konstytucją, którą napisał komunista Kwaśniewski Aleksander). Sflaczały naród, to i rocznice sflaczały.

***

Podczas uroczystości z okazji 46. rocznicy Porozumień Sierpniowych prezydent przemawiał pod hasłem: „Co jeszcze w nas zostało z Solidarności". Samo sformułowanie sugeruje odpowiedź – NIC. Ja o Związku Zawodowym Solidarność od dawna nie słyszałem NIC. Ogólnie związki zawodowe poznikały. Formalnie istnieją, ale nie jako siła napędowa lub siła stawiająca opór. I to nie tylko w Polsce – szerzej w Unii, a jeszcze szerzej na całym świecie zmierzamy w kierunku systemu feudalnego. Z jednej strony władcy/bogacze/korporacja, a cała reszta to lumpenproletariat, czyli plebs, czyli pospólstwo, chamy, tłuszcza, czerń. Związki zawodowe nie pasują do tego układu, bo zajmują się protestami i walką o prawa pracownicze. A teraz przecież udzielaniem i odbieraniem praw zajmują się politycy, więc związek zawodowy jako jakaś siła boczna przeszkadza w sprawnym zarządzaniu. Po co komu związki zawodowe, skoro partia PiS walczy o płace minimalne, a komuniści z SLD walczą o równouprawnienie płci, tyle że tych płci jest teraz więcej niż dwie? Z kolei feministki walczą o prawa grupy zawodowej prostytutek. Chodzi o wysługę lat i zaliczanie okresu pracy zawodowej prostytutki do emerytury. Urzędnikom się zalicza ich „dupogodziny" wysiadywania za biurkiem, to dlaczego nie prostytutkom? W tym nowym układzie związki zawodowe są koncepcją przestarzałą i sflaczałą.

***

Niemcy to wróg Polski od tysiąca lat. Czy z wrogiem można się zaprzyjaźnić? Z wrogiem można. Ale z Niemcami nie.

Rosja to wróg Polski od setek lat. Czy z wrogiem można się dogadać? Można. Ale z Rosją nie, bo Rosja chce Polskę wchłonąć. Nie zawsze może, ale zawsze chce.

A Ukraina?

***

Ukraińcy oficjalnie grożą Polakom. Cytuję: „Ukraiński sierżant Jurij Sirotiuk z batalionu systemów bezzałogowych 5. Oddzielnej Brygady Szturmowej (zadeklarowany obrońca Bandery) w ostrym wywiadzie dla lwowskiego kanału NTA zagroził Polsce i Węgrom, stwierdzając, że po wojnie żołnierze z »roztrzaskanymi psychikami« zamiast ambasadorów przyjadą osobiście do tych, którzy będą »dopiekali«" Ukrainie, i »skończy się to źle«".

„Czy Polacy są gotowi na wojnę z Ukraińcami? Czy są gotowi na ukraińskie drony lecące w ich miasta? Na śmierć własnych ludzi?" – pytał retorycznie wojskowy, sugerując, że zamiast migrantów zarobkowych Europa może dostać uzbrojonych weteranów.

Opozycyjny ukraiński dziennikarz Anatolij Szarij, który opublikował nagranie, skomentował, że w takim razie należy już teraz zamykać granice przed takimi „niestabilnymi psychicznie facetami", i wezwał Polskę oraz Węgry do nagłośnienia tych gróźb.

Co w tej sprawie robią polskie władze?

Minister sprawiedliwości Waldemar Żurek powołał 100 prokuratorów, którzy razem z policją będą ścigać przypadki nienawiści wobec Ukraińców „bo teraz obserwujemy falę nienawiści wobec Ukraińców". Żurek bawił się wraz z Ukraińcami w Warszawie na Dniu Niepodległości Ukrainy.

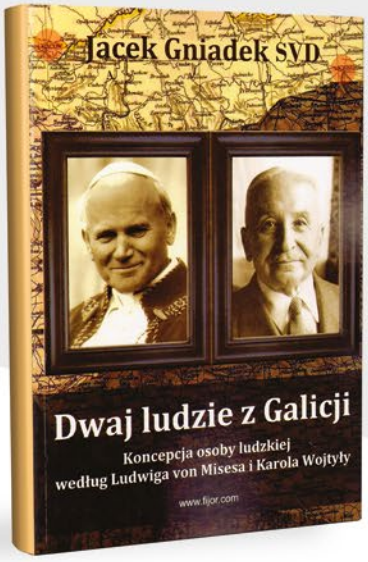
Ukraińcy obchodzili swoją rocznicę hucznie. Obchodzili ją hucznie na swojej ziemi oraz na naszej ziemi. Są żywotni, ekspansywni, roszczeniowi, sprawni, agresywni, zjednoczeni, antypolscy. Są twardzi, dumni i gotowi walczyć. Zdobywają nowe ziemie, przejmują przedsiębiorstwa. A kogo mają za przeciwnika? Sflaczały naród. (To nie wyrzut. To fakty). ©℗

eprasa.pl 92d46bc765

Oferta promocyjna

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY”



W PREZENCIE

KSIĄŻKA

JACEK GNIADEK SVD: „DWAJ LUDZIE Z GALICJI” ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~1040~~ ZŁ

517,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 523 ZŁ

Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

- Wpłata na konto bankowe: Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, nr konta: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006. W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
- Na stronie: www.subskrypcja.dorzeczy.pl.

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki czemu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon.-pt. od 10:00 do16:00) INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl 92d46bc765

Od ponad dekady tworzymy jedno
z najbardziej opiniotwórczych mediów w Polsce

SPÓŁKA AKCYJNA
DO RZECZY



Do Rzeczy S.A.
Spółka notowana na rynku **NewConnect (GPW)**
Symbol giełdowy: **DRZ**

WOLNOŚĆ SŁOWA MA WARTOŚĆ - TAKŻE GIEŁDOWĄ

Od 28 kwietnia 2026 możesz nas nie tylko czytać,
ale również zostać akcjonariuszem Do Rzeczy S.A.

ZAINWESTUJ
W NIEZALEŻNE MEDIA
Twoje media. Wspólna sprawa.

Dowiedz się więcej:
www.DoRzeczySA.pl

eprasa.pl 92d46bc765